

**MAREK HŁASKO**

# PIĘKNI DWUDZIESTOLETNI

Wydawnictwo Alfa

Warszawa 1988

Tom

całość w #c tomach

PWZN

Print 6

Lublin 1995

Przedruku dokonano na podstawie pozycji wydanej przez

Wydawnictwo Alfa

Warszawa 1988

ISBN 83\_85987\_08\_8

Redakcja techniczna wersji brajlowskiej:

Małgorzata Pietrzyk

Piotr Kaliński

Druk, skład i oprawa:

pwzn Print 6 sp. z o.o.

20\_218 Lublin, Hutnicza 9 tel./fax:

0\_81 746\_12\_80 e-mail: [print6@lublin.top.pl](mailto:print6@lublin.top.pl)

## OD WYDAWCY

Wydawnictwa „Alfa” przekazują do rąk Czytelników „Pięknych, dwudziestoletnich”, utwór Marka Hłaski napisany w 1966 roku i dotąd w Polsce nie publikowany. Zawiera on wiele osobistych poglądów i refleksji autora, wielokroć jednostronnie oceniających ludzi i wydarzenia. Autor - przebywający w tym okresie na emigracji, nie mogąc powrócić do kraju - w widzeniu spraw, ludzi i przeżytych zdarzeń zawarł wiele żalu i przepelniającej go goryczy. Wychodząc z założenia, że jest to zbyt ważny utwór Marka Hłaski, aby polski czytelnik nie mógł się z nim zapoznać, zdecydowaliśmy się go wydać, nawet z tą świadomością, że wiele osób może być urażonych poglądami i ocenami autora, jak też wiele jego ocen wydarzeń sprzed lat - w świetle obecnie posiadanej wiedzy społecznej - może się wydać niesprawiedliwymi.

## SZNUROWADELKA, PASECZKI, KRAWACIK

W roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym, w lutym, wysiadłem na lotnisku Orly z samolotu, który wystartował z Warszawy. Miałem przy sobie osiem dolarów; miałem dwadzieścia cztery lata; byłem autorem wydanego tomu opowiadań oraz dwóch książek, których wydać mi nie chciano. Byłem także laureatem Nagrody Wydawców, którą otrzymałem na kilka tygodni przed wyjazdem z Warszawy. I jeszcze jedno: zostałem uznany za człowieka skończonego i stwierdzone zostało ponad wszelką wątpliwość, że niczego już nigdy nie napiszę. Jak powiedziałem, miałem dwadzieścia cztery lata - ci, którzy pogrzebali mnie szybko z wprawą zawodowych grabarzy, byli ludźmi starszymi ode mnie o lat trzydzieści lub więcej. Adolf Rudnicki napisał kiedyś, że najmodniejszym kierunkiem w literaturze polskiej jest miażdżenie i niszczenie. Ten sam Adolf Rudnicki, kiedy wydrukowałem swoje pierwsze opowiadanie, zapytał mnie: „Czy pańscy koledzy mówią już, że pan się skończył? - „Dlaczego?” zapytałem. „Bo ja,” powiedział Rudnicki, „kiedy napisałem Szczury, moją pierwszą książkę, spotkałem Karola Irzykowskiego i Irzykowski spytał: „Czy pańscy koledzy mówią już, że pan się skończył?”

Wysiadając z samolotu na lotnisku w Orly myślałem, że najpóźniej za rok będę z powrotem w Warszawie. Dzisiaj wiem, że nie wrócę do Polski już nigdy; pisząc to jednak wiem także, że chciałbym się omylić. Przez wiele lat nie mówiłem po polsku; żona moja jest Niemką; wszyscy moi przyjaciele są Amerykanami lub Szwajcarami i z przerażeniem zauważyłem, że począłem myśleć w obcym języku i tłumaczyć to sobie na polski! Wiem, że to oznacza mój koniec; moi grabarze z Warszawy nie pomylili się. W tym zawodzie człowiek myli się najrzadziej.

Nie mówiłem nigdy nikomu o motywach, które skłoniły mnie do pozostania na Zachodzie. Kiedy pytali mnie dziennikarze - odpowiadałem im najgłupiej jak tylko umiałem; wreszcie odczepili się ode mnie. Nie umiałem odpowiedzieć, dlaczego opuściłem mój kraj, ponieważ nie opuściłem go nigdy. Spróbuję jednak napisać o tym, dlaczego mieszkam w innym kraju, a właściwie w innych krajach: mieszkałem już w Anglii, Hiszpanii, w Niemczech, w Szwajcarii, Francji, Austrii, Danii, Izraelu i jeszcze paru innych.

Zacząłem pisać mając lat osiemnaście; winna jest moja matka, która dawała mi książki do czytania - tak, że stało się to moim drugim nałogiem. Szkoły nie ukończyłem; częściowo na skutek komplikacji rodzinnych, częściowo na skutek idiotyzmu, stwierdzonego przez nauczycieli. Nie jestem pewien do dzisiaj, czy między fizyką, algebrą i matematyką i chemią zachodzi jakakolwiek różnica i nigdy się tego nie dowiem. Nie wiem, czy czterdzieści

dziewięć da się w ogóle podzielić przez jakąś cyfrę; jeśli się to w ogóle jakimś cudem uda, to na pewno nie mnie. Przez szkołę powszechną przepychałem się tylko dlatego, że nauczycielem matematyki był ten sam nauczyciel, który uczył języka polskiego. Kiedy w czasie wojny chodziłem do szkół sióstr zakonnych w Warszawie na Tamce, panował tam zwyczaj, że najgorszemu uczniowi przyczepiano olbrzymie ośle uszy z papieru; nosiłem je przez cały czas. Po wojnie, „jak wybuchła nowa Polska”, sytuacja moja polepszyła się nieco; nie potrzebowałem nosić oślich uszu - po prostu stałem sobie w kącie, odwrócony twarzą do ściany. W tych warunkach ciężko nauczyć się czegokolwiek; ale do ósmej klasy dawałem sobie jakoś radę, „jadąc” na wypracowaniach z polskiego.

Potem zaczęła się katorga. Ze szkoły ogólnokształcącej wyrzucono mnie za głupotę: była to szkoła numer dwa imienia La Gauradii, potem – Marii Konopnickiej. Na wniosek kuratora posłano mnie do poradni - nie jestem pewien, czy dobrze zacytuję nazwę - psychotechnicznej czy coś takiego.

Kazano mi układać jakieś klocki, kazano mi do jakichś idiotycznych tekstów wpisywać brakujące słowa, zadawano mi szokujące pytania dotyczące moich rodziców i krewnych; wreszcie kazano mi się rozebrać do naga i uznano za niezdolnego do nauki w szkole typu humanistycznego; posłano mnie do szkoły handlowej we Wrocławiu - czy też do Spółdzielni Handlowej, wychodząc widocznie z założenia, że idioci niezbędni są w handlu; być może chodziło tu o dobro kupujących. Nie wiem.

Kariera moja skończyła się po paru lekcjach matematyki. W tym czasie utworzono w Warszawie Szkołę Techniczno-Teatralną; pojechaliśmy tam z moim bratem Józefem - przez trzy miesiące mój brat odrabiał za mnie zadania z matematyki, chemii i algebry, jednak na skutek tak zwanej waśni rodowej zaprzestał; wyrzucono mnie znowu. Była to dobra szkoła; mieściła się w gmachu YMCA w Warszawie i mieliśmy basen. Dyrektorem szkoły był - o ile pamiętam - Żmigrodzki, imponujący brodac, który mógłby grać kapitana statku z opowiadania Conrada „U kresu sił”. Tam też poznałem Basię Świdzińską, ślicznego, rubensowskiego aniołka, i zapalałem ku niej uczuciem. Bez wzajemności.

Wróciłem do Wrocławia, gdzie zacząłem pracować i chodzić jednocześnie do wieczorowej szkoły rzemieślniczej; już nie pamiętam, dlaczego mnie wyrzucono. Wtedy zacząłem grać w klubie sportowym jako środkowy napastnik.

Nie byłem utalentowanym graczem, ale na boisku odznaczałem się zwierzęcym okrucieństwem. Jak w tym opowiadaniu Capka, przed każdym meczem sekretarz klubu wzywał mnie, mówiąc: „Hłasko - jeśli nie skosisz przynajmniej dwóch, zostaniecie usunięci z klubu dyscyplinarnie”. W tymże klubie sportowym nauczyłem się również grać w pokera;

tamże poznałem Tadek Mazura, który był „bratankiem” jednego z pisarzy nie ulegającego w sposób przesadny wdziękom kobiecym. Tadek sam próbował pisać; przychodziłem do niego i w ten sposób poznałem jego „wujka” - był to pierwszy człowiek piszący, którego poznałem osobiście. Tam też poznałem „Kape” - innego kolegę, który był potem naszym lewym napastnikiem i który umiał kopać przeciwnika najpierw w piszczel, a padającego już - w twarz. Kape - to strzał prawą lub lewą stroną buta; oczywiście zewnętrzną. Kape potrafił tak kopnąć przeciwnika, że sędzia nie mógł tego zauważyć. Był przy tym bardzo grzeczny: zawsze podnosił skopanego i kłaniał się sędziemu. Widziałem potem podobnego gościa: był to bokser wagi lekkiej, Debisz z Łodzi. „Gentelman ringu”; potrafił w mgnieniu oka uderzyć jednocześnie poniżej pasa i doprawić łokciem w łuk brwiowy; po czym ze skruszoną miną kłaniał się sędziemu. Wygrywał dziewięćdziesiąt procent walk przez techniczne K.O.

Tadek, Kape i ja chodziliśmy co niedziela do Hali Stulecia we Wrocławiu, gdzie odbywały się mecze bokserskie. Nie dysponując jednak funduszami chodziliśmy przez dach, co nie wykluczało utraty życia. Gospodarzem hali był wtedy sędzia Mikuła - atletyczny grubas, który wyrzucał nas kopniakiem; potem jednak polubił nas wszystkich za fanatyzm i wpuszczał nas bez biletów. Naszym ideałem był wówczas Ryszard Waluga - chyba z IKS Wrocław.

Był to dobry figber o silnym ciosie i świetnej technice; potem jednak kochaliśmy wszyscy Kaspereczka „Laleczkę”, naszego pierwszego powojennego Mistrza Europy. Chodząc na mecze poznałem - z daleka - dwóch innych pisarzy. Jednym był Staś Dygat, siedzący zawsze w pierwszym rzędzie z miną pełną dezaprobaty; a w czasie mistrzostw Polski w roku 1949 ujrzałem „Strasznego Józia” Prutkowskiego. Widziałem wtedy najpiękniejszą walkę mojego życia: Antkiewicz - Bazarnik w piórkowej. Ale ideałem naszym był „Tolek”. Żeby zobaczyć walkę Tolka z Czechosłowakiem Tormą jechaliśmy weszliśmy na salę i bez biletów wróciliśmy do Wrocławia.

My wszyscy: Tadek, Tolek i ja żyliśmy z pokera, grając - jak to się mówiło - na RGO. Pomału interesy zaczęły się psuć: za hazard usunięto nas z klubu; Tadek poszedł do więzienia, a ja z Kapem wzięliśmy się za bandytyzm.

Pierwszą poważną pracę przeprowadziliśmy w szkole handlowej; o możliwościach tej imprezy poinformował nas inny kolega klubowy, „Kaczor”.

Kaczor wybił, niby to niechcący, okno w szatni szkolnej wychodzące na sąsiednią ulicę. Następnego dnia Kape czekał już tam, a ja wzięwszy teczkę wszedłem z innymi uczniami do szatni i ukryłem się za paltami. Byłem wtedy chłopcem małym, o szczerym spojrzeniu Słowianina, który kłamie. Lekcja się zaczęła; woźny zamknął szatnię na klucz, a

wtedy ja wybierałem co cenniejsze sztuki z garderoby i podawałem je Kapemu; potem wyszedłem przez okno z garderoby i już po godzinie sprzedaliśmy wszystko na Placu Biskupa

Nankiera, gdzie mieścił się czarny rynek. Dowiedzieliśmy się pewnego dnia, że w drugim ogólnokształcącym gimnazjum, przy ulicy Stalina, odbędzie się zabawa szkolna i że wyjdzie tam porucznik UB, który kochał się w jednej z uczennic. Wierzyliśmy głęboko, że porucznik zostawi pistolet w szatni, a ja już tam byłem. Broń przydała nam się parę razy, potem jednak Kape upił się i zgubił pistolet i rozwiązaliśmy spółkę.

Skończyłem wtedy szesnaście lat i ustawowo, jako nie uczący się, musiałem zacząć pracować. Pracowałem jako pomocnik szofera w PPB; potem w firmie „Paged”, w bazie Bystrzyca Kłodzka. Napisałem o tym książkę; wiele lat później Krzysztof Toeplitz, w swym artykule „Święci Młodziankowie”, napisał, że jest to opowieść o ludziach, jak to sobie wyobraża mały Mareczek. Pytano mnie wielokrotnie, czy rzeczywiście było tam tak, jak o tym napisałem. Nie, nie było tak. Było o wiele gorzej: wstawaliśmy rano o czwartej, a o dziesiątej wieczór kończyliśmy rozładunek na stacji; potem jechało się jeszcze czterdzieści kilometrów do domu, co przy samochodzie typu GMC z przyczepą, po górskich drogach, zabierało około dwóch godzin.

Potem jeszcze gotowaliśmy sobie jeść, a potem dopiero kładliśmy się spać.

Niedziel i świąt nie było; pod koniec miesiąca kierownik bazy w Bystrzycy Kłodzkiej oświadczał nam, że wyrobiliśmy około czterdziestu, czasami około czterdziestu pięciu procent normy. Pracowałem tam stosunkowo niedługo; odszedłem, gdyż groziło mi więzienie za sabotaż i jeden wypadek złamania kręgosłupa; zresztą ten też zdaje się umarł już w szpitalu, gdyż nie byliśmy w stanie odtransportować go natychmiast; nasze samochody przystosowane były do wozu kłonic, więc nie można go było położyć.

Zarabiałem wtedy około siedmiuset złotych miesięcznie.

Tadeusz Konwicki powiedział mi: to nie jest książka, to jest western.

Miał rację. Nigdy nie mogłem zrozumieć, na czym polega nieszczęście literatury polskiej. Logicznie rzecz biorąc, mało który naród ma tak wiele szans na dobrą literaturę jak my, Polacy. Mamy wszystko: nieszczęścia, mordy polityczne, wieczną okupację, donosicielstwo, nędzę, rozpacz, pijaństwo - czegoż jeszcze trzeba na Boga? Żyjąc w Izraelu, mieszkalem z najgorszymi szumowinami, nigdy jednak nie spotkałem ludzi tak zrozpaczonych, zwierzęcych i nieszczęśliwych jak w Polsce. Genezą westernu jest obsesja sprawiedliwości: samotny człowiek, który musi niszczyć zło i przemoc. To nieważne, że robi się tysiące szmir, ale Jesse James, Earp i inni szybkożący są postaciami prawdziwymi. Taką postacią mógłby być komunista; człowiek który wprowadza ład i spokój w spalonym kraju i

wśród ludzi zdeprawowanych nieszczęściami - gdyby o to chodziło commies (Gwarowe amerykańskie określenie komunistów). Wśród tysięcy śmieci, które przeczytałem o commies, nie spotkałem takiego człowieka. Tylko jeden Jerzy Andrzejewski pokazał komunistę: to Podgórski z Popiołu i Diamentu.

Podgórski sędzi człowieka, który był kapo w więzieniu, ale ten pierwszy pojedynek przegrywa. Jest jeszcze człowiekiem; w parę lat później stałby się prawdopodobnie majorem z arcydzieła Andrzeja Mandaliana. Lub sędzią Gletkinem z Koestera. Ale najprawdopodobniej Rubaszowem którego sędzi Gletkin.

Jeśli o mnie chodzi, nie mam nic przeciw commies. Tak długo jak oni popełniają świństwa, a ja mogę o tym pisać - wszystko jest dla mnie O.K.

Jestem tylko świadkiem w procesie oskarżenia; sprawa jest dla mnie obojętna, byleby proces był ciekawy. To wszystko. Życie które mi dano, jest tylko opowieścią; ale jak ja ją opowiem, to już moja sprawa. Jedynie o to mi chodzi.

Pisząc to, zapytałem jednego ze swych przyjaciół, czy mam rację mówiąc, że my, Polacy, mamy wszystko co trzeba, żeby dobrze mówić. Powiedział, że nie; powiedział, że Polacy są zbyt zmęczeni i ogłupieni; i zbyt zrezygnowani. Nie rozumiem; czy chirurg ma prawo do zmęczenia, jeśli przywiozą mu kogoś, kogo trzeba operować. Nie wiem. Pamiętam, że stojąc kiedyś z Pawłem Hertzem w barze, skarżyłem się kiedyś na kłopoty, na brak pieniędzy, na trudności z redaktorami. Hertz spojrział na mnie z niesmakiem.

Powiedział: „O ile dobrze pana zrozumiałem, pan chce się zająć pisaniem. To nie jest zajęcie przyjemne ani dla pana, ani dla ludzi, którzy będą pana czytać. Czegóż pan oczekuje?” Odwrócił się wzruszywszy uprzednio ramionami; nasza rozmowa była zakończona.

Więc odszedłem wtedy z lasu i wróciłem do Warszawy; zacząłem pracować w firmie „Metrobudowa”. Pracowałem jako ładowacz; po jakimś czasie zacząłem pracować w dziale zaopatrzenia. Była to świetna praca; po prostu chodziłem po mieście z zamówieniami na części samochodowe do rozmaitych firm i tam przybijano mi pieczętkę: CZEŚCI BRAK. Potem szło się do tak zwanego sektora uspołecznionego - czyli do małych wytwórni rzemieślniczych. Jedyna różnica między sektorem państwowym a uspołecznionym polegała na tym, że w państwowym przybijali pieczętkę: CZEŚCI BRAK, a w uspołecznionym – CZEŚCI NIE MA. To wszystko. Wtedy robiło się tak zwany „protokół konieczności zakupu”, który podpisywali kierownik zaopatrzenia, kierownik rady zakładowej i sekretarz partii oraz kierowca unieruchomionego samochodu, jak również kierownik warsztatu. Potem ja brałem butelkę wódki i jechałem do znajomego magazyniera z innej firmy, który mi dawał brakującą część.



Następnie szedłem do sklepu komisowego na Chmielnej, gdzie część tę zastawiałem, mój wspólnik przychodził za godzinę i wykupywał; potem urządzaliśmy przyjęcie towarzyskie. Był to mój własny system: wtedy nauczyłem się myśleć dramatycznie.

Któregoś dnia przysłała jakaś starsza baba i wezwał mnie kierownik bazy.

- Do partii należysz?

- Nie.

- Do TPPR?

- Nie.

- Do Związków Zawodowych?

- Nie.

- To będziesz korespondentem robotniczym.

Ta straszna baba była z Trybuny Ludu. Trybuna Ludu miała swoich tak zwanych „korespondentów terenowych”, którzy pisali o tym, że brakuje części zamiennych, że samochody mają zbyt długie przestoje, ponieważ jest zbyt mało pomp benzynowych, które w dodatku nie są automatyczne, i o tego rodzaju sprawach. Pewnego dnia wezwano mnie do Trybuny Ludu. Dostałem nagrodę; była to powieść Anatola Rybakowa pt. Kierowcy. Tej nie zapomnę.

Była to pierwsza socrealistyczna książka, jaką przeczytałem; muszę przyznać, że wpadłem w osłupienie. Tak głupio i ja potrafię, powiedziałem sobie. I zacząłem.

Z „Metrobudowy” wyrzucono mnie. Nie mogłem znaleźć pracy; za dużo było kierowców, za mało wozów. Trybuna Ludu wsadziła mnie do Warszawskiej Spółdzielni Spożywców; kiedy zorientowałem się, że jestem konfidentem policji, było już za późno.

Praca w WSS była bardzo ciężka; baza mieściła się przy ulicy Sokołowskiej - ja mieszkałem tuż przy Marymoncie. O czwartej rano musiałem już być „na bazie”, jak to się mówiło; wstawałem często o drugiej i maszerowałem przez Powązki. Szedłem śpiąc: można nawet i tak. Potem zaczynał się koszmar; silnik nie chciał zaskoczyć; trzeba się było kłaść pod karterem z zapaloną lampą benzynową, gdyż gorąca woda grzana dla nas przez nocnych kierowców pomagała tyleż, co wyskakującemu bez spadochronu odmawianie pacierza.

Wreszcie jechało się na „Zieleniak” - tam już czekali chłopci-badylarze, którzy jechali przez noc; Warszawa musiała mieć o siódmej rano warzywa.

Jechaliśmy zawsze w cztery: ja, mój pomocnik, konwojent i ładowacz.

Konwojent płacił chłopu gotówką, warzywa dzielono na trzy kategorie.

Kategoria pierwsza była płatna najwyżej: konwojent wypisywał chłopu kwit na pierwszą i płacił za trzecią. Chłop nie miał wyboru; nasi konwojenci mieli z WSS umowę z

konwojentami MHD. Jeśli chłop nie chciał sprzedać - nie kupił nikt i musiał wracać do domu i wyrzucić warzywa. Zmowy tej nikt nie złamał: ani nasi z WSS, ani tamci z MHD; za to groziła, jak to nazywają gazety, „rozprawa nożowa”. Bardzo słuszna nazwa.

W ten sposób dorabiało się nieco na bloku; kiedy wracaliśmy około godziny siódmej na bazę - czekała tam zawsze policja i sprawdzała, czy nie jesteśmy pijani; to już punkt zahaczenia. Zajęcie ich o tyle pozbawione było sensu, że kierowca WSS - jak powiadają chłopci - „nie mieli prawa” być trzeźwi. W tym celu zakupowano wódkę, którą wręczało się policjantom czekającym „na bramie”. Tak robiliśmy my, kierowcy z Zieleniaka. Kierowcy z Ząbkowskiej, czyli monopolowi, dawali sobie radę na swój sposób. Wódkę ciężko jest ukraść, w wypadku stłuczenia butelki należy pokazać szyjkę z zalakowaną główką i załączyć protokół zniszczenia; ale na to szkoda było czasu.

Nabywało się więc strzykawkę lekarską z igłą do zastrzyków domięśniowych; wyciągało z każdej butelki setkę wódki i uzupełniało wodą.

Potem przeniesiono mnie z Zieleniaka na „rzeźnię”. Tam najciężej było kraść; ale kradło się i tam. Po wjeździe na wagę kierownik wpisywał wagę wozu, potem jechało się na halę okrężną drogą. Ja stawałem i mówiłem do pomocnika: „Zdzisiek, spuszczaś wachę”. Pomocnik kładł się pod wóz i otwierał kurek chłodnicy: w ten sposób wóz kładł się lżejszy o dwadzieścia kilo - tę różnicę inkasowaliśmy w mięsie. Potem, tuż za bramą rzeźni, nalewało się znów wody. Wreszcie ci z rzeźni się skapowali' wtedy spuszczało się benzynę. Gdzie „odpalało” się mięso - dwadzieścia kilo - pozostanie moją tajemnicą.

Przekleństwem naszym, kierowców z WSS, była tak zwana „akcja ziemniaczana”. Jechało się wtedy po kartofle na wieś; ale kartofli sprzedać nie było komu. My, warszawscy kierowcy, i tu znaleźli kolorowego ptaka.

Jechało się „na akcję” w kilkanaście wozów; lepsze wozy ciągnęły słabsze; licznik wybijał kilometry, a potem benzynę sprzedawało się taksówkarzom prywatnym. Miałem wtedy osiemnaście lat; pisząc o tym dzisiaj, nie wstydę się tego. Niech się wstydzą ci, którzy mnie do tego zmusili. Pracując po czternaście godzin dziennie, włącznie z niedzielami i świętami, zarabiałem około siedmiuset złotych miesięcznie. Nie miałem mieszkania, mieszkalem na korytarzu. Pierwsze ubranie sprawilem sobie mając dwadzieścia dwa lata.

Dzisiaj niepotrzebne mi nawet i ubranie, i tak nie mam dokąd iść.

Siła commies polega na tandecie ich ideologii; robotnik niemiecki oblicza sobie, że z chwilą kiedy majątek Thyssenów czy Kruppów zostanie upaństwowiony - jego dochody wzrosną o tysiąc procent. Siła commies polega na fantastyczności zjawiska. Gdybym powiedział robotnikowi niemieckiemu, że pracując czterysta dwadzieścia godzin w miesiącu

mogłem sobie kupić za to kiepską parę butów - wzruszyłby ramionami i odszedł. I teraz, gdybym powiedział swojemu pomocnikowi: „Zdzisiek - niemiecki kierowca może w ciągu roku kupić sobie samochód; za swoją miesięczną pracę cztery ubrania; może pojechać do Włoch na urlop” - dostałbym w zęby tak, jak nigdy jeszcze nie dostałem. Dziennikarze niemieccy zawsze mówili do mnie: „Niech pan nie zapomina o tym, że to oni pierwsi weszli na niebo”. Nie jestem inżynierem; ale wydaje mi się, że o sukcesie technicznym można mówić tylko wtedy, jeśli zna się koszty inwestycji. Jeśli kosztem tysięcy drzew wyprodukuje się tysiąc wykałaczek, to wtedy jest tylko zabawa. Kennedy czy Johnson musi się wyklócać z Kongresem o każdy grosz, który idzie na space-action; naród amerykański zna te cyfry z prasy i telewizji; przez lata śmieli się siedząc przy telewizorach i obserwując pociski spadające po trzech sekundach lotu.

Nie wiem, ilu ludzi zamęczono i zlikwidowano, zanim Gagarin ukazał światu swoją twarz; i nie wiem, ile było nieudanych prób. Dopóki nie dowiem się tego, nie będę umiał się cieszyć sukcesem moich kapryśnych braci.

A wtedy, w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim, nie myślałem jeszcze o tym. Myślałem o zupełnie innych rzeczach tego dnia, kiedy stałem w Pałacu Mostowskich, a dyżurny milicjant powiedział do mnie:

- Paseczek. Sznurówadełka. I krawat.
- Nie noszę krawatu - powiedziałem i podpisałem kwit.

Mistrzem mojej młodości nie był Hemingway ani Jerzy Andrzejewski. Był nim Tadeusz Barwiński, oficer Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Jak powiedziałem, pracowałem w Warszawskiej Spółdzielni Spożywców jako kierowca skierowany tam przez kierownika wydziału korespondentów terenowych Trybuny Ludu. Był to rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty drugi. W owych czasach, w każdym dużym przedsiębiorstwie, był tak zwany „Samodzielny Wydział Wojskowy”; kiedy indziej nazywało się to: „Samodzielny Wywiad Ochrony”; i jeszcze inaczej. Była to komórka Urzędu Bezpieczeństwa; referent - taki był tytuł tego bezpieczniaka - miał swoich kapusi wśród pracowników odnośnego urzędu, którzy dostarczali mu informacji o ludziach; a on już wiedział, co z tym robić dalej.

Pewnego dnia około godziny siódmej po południu kiedy - jak to się mówiło - „zjechałem” na bazę, dyspozytor powiedział do mnie:

- Masz iść do „samodzielnego”.
- Pracujesz dziś na noc? - zapytałem go.
- Tak. Do szóstej.

- Jeśli nie powrócę, powiedz mojej matce.

- Gdybyś miał nie wrócić, zgarnęliby cię z domu - powiedział.

Gdybym w owych czasach czytał Hemingawaya, odpowiedziałbym mu: To jedna z tych rzeczy, których się nigdy nie wie. Powiedziałem jednak tylko: „Bóg to jedyny wie”.

Poszedłem. Siedział tam mały facet w okularach; drzwi były obite skórą; chodziło pewnie o to, aby w przesłuchaniu wywołać nastrój grozy. Wszystko jak w kiepskich filmach. Kiedyś widziałem taki film, czy może czytałem książkę:

- Czy wiesz, co to jest - zapytał Sean, biorąc ze stołu leżącą tam łyżeczkę do herbaty.

- Srebro - powiedział Jack. - Kupiłeś to od Hary-Konia. To z tej roboty na 77 Street. Można tym mieszać herbatę. Dajesz bardzo kiepską herbatę, Sean. Czy taką pijają u was w Dublinie?

- Nie tylko taką - rzekł Sean uśmiechnąwszy się krzywo. - Dostaniesz dobrą w takiej jednej, która nazywa się „Dirty Dick”. A co do łyżeczki, to można nią także wyłupać oko.

Tego krzyku Treppengelande już nie zapomni.

Albo inaczej:

Strzał z czterdziestki piątki szczeknął krótko, a ja strzeliłem jej prosto w brzuch, myśląc: Micky, tam przecież siedzi twoje dziecko. Ale nie mogłem inaczej; Chryste Panie - naprawdę nie mogłem inaczej. Pomyślałem o tym, jak Nick szedł na fotel, i o jego wystrzyżonej głowie, którą mu ostrzygli, aby lepiej przylegała elektroda. Gdyby nie Nick, może mógłbym inaczej. Ale nie mogłem; przechyliłem się na nią i widziałem konające światło w jej oczach.

- Jak mogłeś - szepnęła.

Milczałem przez chwilę, potem rzekłem:

- To nie było wcale takie trudne.

Może zresztą nie cytuję dokładnie. Nie o to jednak chodzi. Ze mną nie było aż tak zabawnie. „Samodzielny” kazał mi usiąść.

- Jak się nazywacie?

- Marek Hłasko.

- Urodzony?

- Czternasty, pierwszy, trzydziesty czwarty.

- Gdzie?

- W Warszawie.

- Ojciec.

- Maciej.

- Zawód.

- Adwokat.

„Samodzielny” zdziwił się.

- Adwokat?

- Adwokat.

- Żyje?

- Nie.

- Matka?

I tak dalej i tak dalej. Wreszcie powiedział:

- Wy zostaliście tutaj skierowani przez Trybunę Ludu?

- Tak.

- Jako korespondent terenowy?

- Tak.

- Dlaczego przestaliście pisać?

- Pracują po czternaście godzin na dobę. Nie mam kiedy.

- Nie potrzebujecie więcej pisać - powiedział „Samodzielny”. - O wszystkim będziecie mówić mnie.

- O czym?

Teraz zaczyna się Mike Hammer. Może zresztą Lord Lister, czyli tajemniczy nieznajomy. We wszystkich tych książeczkach zawsze było: „czyli”. Lord Lister - czyli tajemniczy nieznajomy. Ken Manyard - czyli mściciel prerii.

Jerzy Rolkicz - czyli szesnastoletni chłopiec wśród Tbugów. Ale najlepszy był Lister. Moja matka, która kazała mi czytać, wepchnęła mi kiedyś Żeromskiego: miałem wtedy dziesięć lat. Przeczytałem zdanie: „Śnica zapuścił sępie spojrzenie swoich źrenic na jej duszę.” Poczulem się zwolniony na zawsze od obowiązku czytania Żeromskiego; wziąłem pełne wydanie Mortkowicza i zaniósłem na ulicę Ciepłą, gdzie był warsztat naprawy lalek i jednocześnie antykwariat; zamieniłem komplet Żeromskiego na Lorda Listera i o tym drugim który zawsze mówił: „Już nie pamiętam jak się nazywał ten szybkoręki”. Dostałem od matki pasem, który został jeszcze po moim dziadku, dziadek był komendantem Straży Pożarnej Miasta Stołecznego Warszawy, a wszyscy wiemy, że pasy strażackie są najszersze i mają najwięcej miedzianych sprzączek.

Mike wyjął pistolet.

- Wiecie, co to jest?

- Wiem.

- Co?

- Radziecki pistolet TT.

- A skąd to wiecie?

- Widziałem to na filmie z Pawłem Kadożnikowem. Paweł Kadożnikow był radzieckim wywiadowcą i musiał zabić niemieckiego szpiega. Wyciągnął pistolet i powiedział: „Mocą i prawem danym mi przez ojczyznę...”

„Samodzielny” przerwał mi:

- Macie narzeczoną?

- Mam.

- Jak się nazywa?

Powiedziałem. I tak bredziliśmy przez dwie godziny; a on wychodził i zostawiał pistolet na stole; wracał i znów wychodził: to było śledztwo psychologiczne. W końcu podpisałem protokół, że mam narzeczoną Wandę, i że pistolet typu TT jest mi znany tylko z filmu; że byłem napastnikiem w klubie; i tak dalej, i tak dalej. Kiedy dzisiaj to piszę, samemu nie wydaje mi się to zbyt prawdopodobne. Ale wtedy, przy podpisywaniu protokołu, pomyślałem sobie: Poczekaj synu. Niech ja się przynajmniej dowiem, jak cię ochrzcili. Protokół musi być podpisany przez przesłuchiwanego i przez prowadzącego śledztwo. Nazywał się Tadeusz Barwiński.

Aresztowano mnie w parę dni później za odmowę współpracy. Argumentacja oficera policji - tym razem odbywało się to w Pałacu Mostowskich - była prosta: ponieważ pracuję w firmie powszechnie znanej ze złodziejstwa, muszę wiedzieć, co się tam dzieje; ponieważ odmawiając współpracy zapobiegam tym samym wykryciu faktów sabotażu gospodarczego, podlegam karze z artykułu i tak dalej i tak dalej. Wtedy właśnie zdjąłem paseczek, krawacik i sznurowadełka; Polacy lubią eufemizmy. Nic nie mogę na to poradzić; nie pytano mnie o radę przy urządzaniu Państwa Polskiego.

W więzieniu zawsze jest wesoło, jeśli się do tego podejrze w sposób właściwy. Wszyscy są zawsze niewinni; wszystko to jest omyłką, która się niedługo wyjaśni. W więzieniu w Palermo spotkałem człowieka, który zabił narzeczoną i jej matkę; spodziewał się zwolnienia za parę dni. W więzieniu w Monachium siedziałem z facetem, który dokonał siedemnastu rabunków; spodziewał się zwolnienia za parę dni. W więzieniu w Jaffie zaprzyjaźniłem się z człowiekiem trudniącym się przemytnictwem narkotyków od czasu powstania państwa Izrael; spodziewał się zwolnienia za parę dni.

W ogóle nie jest tak źle, jeśli tylko zaufa się szaleństwu. Mieszkając w Warszawie,

byłem stałym gościem komisariatu przy ulicy Bednarskiej za opilstwo i bójki towarzyskie. Po jakimś czasie miałem już tam przyjaciół wśród milicjantów i sypiałem nie „na deskach”, lecz w dyżurce, a rano odwozili mnie do domu. Był to najprzyjemniejszy komisariat w Warszawie, tam lądowali wszyscy wychodzący z „Kameralnej” i z „Krokodyla”.

W roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym odbywał się Festiwal Młodzieży; przyjechał wtedy teatr Bim-Bom ze Zbyszkiem Cybulskim. Spotkałem Romka Polańskiego przed wejściem do teatru; Romek miał bilet, ale nie chciano go wpuścić, ponieważ naładowało się mnóstwo publiki bez biletów i sala była przepelniona. Polański tak długo upierał się, żeby wejść i pokazywał przy tym swój bilecik, aż wreszcie zabrali go dwaj policjanci z „jedynki”. Byli to jednak policjanci nowi i nie znali mnie. Polańskiego prowadzili między sobą, a ja szedłem za nimi.

Romka zamknięto, a ja poszedłem do mojego sierżanta, który mnie zwykle pozbawiał paseczka.

- Puść go - powiedziałem.

- To twój kumpel?

- Tak.

Polańskiego wypuścili; nabyliśmy litr wódki i razem z Romkiem, jego dziewczyną i tymi samymi policjantami, którzy go przed dziesięcioma minutami aresztowali, udaliśmy się w pobliskie gruzy celem konsumpcji.

Potem nabyliśmy jeszcze dwie butelki; nie wiem dlaczego przysła mi ochota, aby deklamować Apokalipsę. Milicjanci patrzyli na mnie, mówiąc od czasu do czasu:

- Panie Mareczku - ostrożnie, ostrożnie...

Miotają nimi sprzeczne uczucia: z jednej strony chcieli bawić się dalej, z drugiej - nie wiedzieli, czy Apokalipsa jest tekstem wrogim czy też nie.

Ta sytuacja, że człowieka zupełnie niewinnego wypuszczają za poręczeniem alkoholika - wydaje mi się świeża, dlatego o tym piszę.

Jak powiedziałem: szaleństwo jest jedyną rzeczą, której można zaufać. We Włoszech zaaresztowano mnie za strzelaninę; chciałem w przystępie szaleństwa zabić jednego pana, który mi powiedział, że nie zabija się sześciu milionów ludzi bez powodu - rozmawialiśmy o Żydach. Na drugi dzień sędzia śledczy zapytał mnie:

- Pan go chciał zabić?

- Tak - powiedziałem. - I chciałem zobaczyć włoskiego sędziego, który skaze mnie za to, że chciałem obronić pamięć sześciu milionów zamęczonych ludzi.

Popatrzył na mnie przeciągle; oddał mi moje rzeczy; znów popatrzył na mnie i oddał

mi broń. Lektura faktów z życia Napoleona może się przydać nawet w sprawach bagatelnych. Nie wiem, czy mój włoski sędzia nie był odpowiednikiem naszego Rzeckiego; wiem tylko, że zniszczy akta sprawy.

W Pałacu Mostowskim nie siedziałem długo. Pomyślałem sobie: potrzymają cię do śledztwa, a potem dostaniesz swojego piąta. To nieważne, że nikt nie będzie wiedział dlaczego: wymiar sprawiedliwości nie polega na pytaniu, kto jest winien a kto nie; chodzi o to, aby mieć winnego.

Nie czytałem wtedy jeszcze Koestlera, gdzie sędzia śledczy prowadzi długie, serdeczne rozmowy z gościem, którego chce zlikwidować. Nie czytałem wtedy Orwella, gdzie Wielki Brat ma zęza widlastego; nie czytałem nawet Krywickiego. Książki warto pisać tylko wtedy, jeśli przekroczy się ostatnią granicę wstydu; pisanie jest rzeczą bardziej intymną od łóżka; przynajmniej dla mnie. Commies przekroczyli tę granicę: kiedy Jeżow likwidował Jagodę, powiedział zebranym członkom GPU, że znany jest mu fakt, iż Jagoda pracował dla Ochrony. Nikt nie zaprotestował; w czasie kiedy istniała Ochrona, Jagoda miał dwanaście lat. Pomiędzy tymi, tam z GPU byli na pewno ludzie, którzy walczyli przeciw Kołczakowi, Denikinowi i Piłsudskiemu. Kiedyś byli odważni; ale nikt nie wstał i nie powiedział, że dzieci mając do wyboru jazdę na hulajnodze albo rozmowy z urzędnikami - wolą jednak hulajnogę. Commies przekroczyli tę granicę: stworzyli świat fantastyczny, w który nie można uwierzyć. To ich siła.

Ja wtedy, w Pałacu Mostowskich, powiedziałem sobie: Balzak ci nie pomoże.

Żeromski też nie; ale pomoże ci Lord Lister. W ten sposób zostałem konfidentem policji pracującym pod kryptonimem „Wanda”. Wanda to imię mojej dziewczyny; uważałem, że tak będzie zabawniej.

Poszedłem do mojego dyspozytora na bazę.

- Przenieś mnie z Zieleniaka - powiedziałem.

- Dlaczego?

- Nie chcę nic wiedzieć.

- Chcesz iść na rzeźnię?

- Nie. Znam rzeźnię.

- Na monopol?

- Znam i monopol.

Byliśmy sami.

- Zrobili cię za psa? - zapytał.



- Tak.

- Poczekaj - powiedział. Przeniosę cię na opła-blitz 167. To taki wóz, że się go codziennie ściąga z miasta. A ja powiem chłopakom, że jesteś lewy.

- Powiedz im.

Mój opel-blitz nie zawiódł mnie nigdy; już za bramą wysiadało mi sprzęgło; drugiego dnia - karburator. Pojechałem do warsztatu; majster wiedział o wszystkim - oddaliśmy karburator do naprawy. Trwało miesiąc; potem było delko; potem sprzęgło; potem spalał trzy razy tyle benzyny, ile powinien - odstawialiśmy go do ekspertyzy. Ja chodziłem po „bazie” i nie wiedziałem nic.

Od czasu do czasu zjawiało się u mnie dwóch facetów wyglądających jak łapsy z filmu. Już nigdy chyba nie dowiem się, czy ci w filmach wyglądają tak jak ci w życiu, czy też ci w życiu wyglądają jak ci z filmu.

Kiedy w Londynie chodziłem na body-bulding, widziałem treningi zawodowych średnich. Było tam dwóch managerów, którzy wyglądali tak jak ci z „The Champ” i ci z „The Golden Boy”. Nosili meloniki i kamizelki; palili cygara, od czasu do czasu jeden do drugiego mówił: Harry is over the bill. Potem pluł; potem to samo mówił drugi.

Ci moi dwaj mówili: „Oj, bo się pogniewamy”. Nigdy nie dodawali niczego więcej, a potem zaczęła się największa zabawa w moim życiu.

Trzeba było przekroczyć tę granicę wstydu. Mój pomocnik zaprosił mnie kiedyś na imieniny do swojej siostry. Było nudno: w samym centrum zabawy ukradliśmy patefon, wynieśliśmy go na schody, a potem wróciliśmy i wraz z innymi gośćmi czyniliśmy bezskuteczne poszukiwania. Milicjanci przenieśli mnie z WSS do MHD i tam rozpocząłem swoją działalność pisarską uskrzydłony myślą, że jestem jedynym na świecie konfidentem a' rebours. O partyjnych pisałem, że są dwulicowi i że pragną powrotu ustroju kapitalistycznego; o ludziach, którzy mówili źle o Gospodarzu - pisałem, że są szczerymi demokratami kochającymi Ziutka Słoneczko i tak dalej. Donosy pisałem regularnie; dzwoniłem w tym celu do komendy głównej i podając swój kryptonim prosiłem, aby połączyć mnie z porucznikiem Jankiem - to jeden z moich łapsów. Narobiłem im strasznego burdelu; nie połapali się nigdy. Nie moja wina: sami tego chcieli.

W tym czasie zacząłem już pisać; kiedyś spotkałem Tadek Mazura, który przypadkowo znajdował się na wolności, i powiedziałem mu, że zacząłem pisać. Tadek powiedział, abym mu pokazał. Wziął i poszedł do swojej cioty; ta ciota powiedziała mu, abym spróbował napisać coś dłuższego. Nie miałem jednak gdzie; poprosiłem moją matkę, aby posprzątała kuchnię i w trzy noce napisałem dwustronicową powieść. Tę powieść

przeczytał Bogdan Czeszko: napisał do mnie list. Napisał, że książka do niczego, ale że jego zdaniem powinienem próbować dalej; zwrócił mi uwagę na wiele rzeczy. Bogdan był mądrym i kochanym człowiekiem - przynajmniej dla mnie. List ten mam do dzisiaj. Bogdan zwracał mi uwagę, że niepotrzebnie nadużywam słów ordynarnych i bardzo mi to odradzał; potem poznałem Bogdana osobiście.

Wyglądał jak niedźwiedź; poruszał się jak silne zwierzę. Kiedy mówił, to z trudem udawało mu się wtrącić słowo. Pamiętam, jak kiedyś powiedział do kelnerki: „Niech pani da mi tej w d... j.. wody. Jestem sp.. jak k...”. To najkrótsze, co mu się udało powiedzieć, mnie gani. Nikt z nas, jeszcze jako młodych, nie potrafił pisać tak pięknym językiem jak ten miś; Jego Tren mogę czytać, kończyć i zaczynać. Jest jedynym pisarzem młodego pokolenia, który od początku znalazł swój własny głos i pozostał sobie samemu wierny.

Tego nie potrafił ani Brycht, ani Nowakowski ani ja.

W tym czasie przepisałem książkę Rybakowa pod tytułem Kierowcy, podpisałem ją pod swoim nazwiskiem, nazwałem „Baza Sokołowska” i zaniósłem do Związku Literatów. Po jakimś czasie Newerly - będący wówczas opiekunem Koła Młodych - zawezwął mnie na rozmowę. Newerly pomógł mi bardzo; pytał mnie o moje warunki, powiedział mi o usterkach „Bazy” i dał mi jedną radę - najmądrzejszą radę, jaką słyszałem od człowieka piszącego: „Jeśli pan chce coś napisać, niech pan o tym opowiada. Wszystkim. To nieważne, czy pana ludzie rozumieją, czy nie. Niech pan mówi; za każdym razem opowiadając, musi pan budować swoją historię od początku do końca; po jakimś czasie zrozumie pan, które elementy są ważne, a które nie. Chodzi o to, aby pan sam to umiał sobie opowiedzieć.” I tak zacząłem opowiadać; mówiłem o tym ludziom w Polsce, w Izraelu; mówiłem o tym poważnym Niemcom; i Arturowi Sandauerowi, który co chwila mi przerywał, mówiąc: „Do czego pan zmierza?”

Nie wiem: o to właśnie chodzi, że nie wiem. Wiem tylko, że będę biegł przez całą drogę; i że będę mówił przez cały czas.

## WROCLAW, OBORY, WYSPA RÓŻ

Igor Newerly załatwił mi trzymiesięczne stypendium Związku Literatów Polskich; ponieważ nie miałem mieszkania w Warszawie - wyjechałem do Wrocławia.

Newerly bardzo mi pomagał. W tym czasie znajdował się u szczytu powodzenia: jego Pamiątka z Celulozy uznana została za arcydzieło; nie było tygodnia, aby nie pisano o nim; chodzono przed nim na dwóch łapach; nachodziły go dziesiątki ludzi i właściwie miał mało czasu do pracy.

Newerly'emu nie uderzyła woda sodowa do głowy; był skromny, nie cierpiał pochlebców. Pamiętam, że kiedyś powiedziałem mu, iż wolę jego książki od książki Gorkiego Życie Matwieja Kożemiakina; Newerly zachnął się, było mu nieprzyjemnie. Wreszcie powiedział: „Chciałbym, aby moja książka przeżyła choćby jeden plan pięcioletni, to wszystko.” Wiem, że powiedział prawdę.

Celuloza jest książką bardzo dobrą; czytałem ją wielokrotnie. Nie wiem dlaczego, Newerly pisze tak mało; ostatni raz widziałem go dwanaście lat temu. Wyklął mnie wtedy; zachowywałem się nieznośnie i wreszcie stracił cierpliwość. Jeśli o mnie chodzi, to wszyscy tracili cierpliwość; ja natomiast zyskiwałem inne rzeczy. To jak w tej opowieści o dwóch Żydach, którzy razem zaczęli robić interesy; jeden z nich miał pieniądze, drugi - doświadczenie; po jakimś czasie pierwszy zyskał doświadczenie, drugi - pieniądze.

Newerly mówił mi czasem o sobie; był człowiekiem z opowiadań Londynu; miał dziesiątki zawodów; był przez jakiś czas sekretarzem Janusza Korczaka.

Mówił mi zawsze, przy każdej rozmowie, że najniebezpieczniejsze w mojej sytuacji będzie przejście na wczesne zawodowstwo. „Te książki, których pan nie przeczytał, a które musi pan przeczytać, przeczyta pan nocami,” powiedział do mnie. „I nauczy się pan wielu rzeczy potrzebnych, aby pisać wcześniej, niż pan przypuszcza. Inni ludzie panu pomogą. Ale, na Boga, nie przechodź pan na zawodowstwo. Niech pan to zrobi koło czterdziestki. Niech pan popatrzy na tych wszystkich młodych. Niech pan zapyta, ile kosztuje kilo cukru; żaden z nich panu tego nie odpowie. Wiedzą natomiast, że do budowy domów używa się betonów. Ale dowiedzieli się tego z innych książek.

I w ogóle proszę pisać jak najmniej. Niech pan robi wszystko co chce, tylko niech pisze pan jak najmniej.”

Kiedy po roku wróciłem z Wrocławia do Warszawy, opowiedziałem mu pewien pomysł. Newerly popatrzył na mnie i powiedział: „Pan jesteś człowiekiem chorym.” Nie wiem, czy Newerly pamięta tę naszą rozmowę; ja pamiętam.

Wyjechałem więc do Wrocławia, gdzie zamieszkałem u wuja. Miałem trzymiesięczne stypendium i trochę pieniędzy, które dostałem ze Sztandaru Młodych za moje opowiadanie „Baza Sokołowska”. Był to piękny czas; byłem nareszcie sam, mogłem czytać, pisać, chodzić do teatru - ale nie wiedziałem, co mam robić najpierw. Kiedy zaczynałem pisać - zdawało mi się że powinienem czytać, gdyż to pomoże mi w pisaniu; kiedy czytałem - zrywałem się i wybiegałem na miasto, gdyż wydawało mi się, że powinienem podglądać ludzi; rozmawiałem z ludźmi i wtedy znów wydawało mi się, że tracę czas na rozmowy, a przecież powinienem pisać- Chryste Panie, myślałem, że zwariuję. Czytałem jednego dnia Misia-Czeszkę, drugiego - Balzaka; potem odrywałem się od Dostojewskiego, aby czytać słownik Lindego; nocami szukałem wuja i znów wracałem do swoich książek. Nie wiem, ile książek przeczytałem tego roku we Wrocławiu; przypuszczam, że kilkaset. I z każdym dniem wiedziałem mniej, i z każdym dniem popadałem w rozpacz, że nigdy nie przeczytam tego, co powinienem przeczytać. Wreszcie dano mi Gombrowicza do czytania i wtedy już oszalałem zupełnie.

Nieprawdą jest to, co sam Gombrowicz pisze o sobie w którymś ze swoich Dzienników, że oceniono jego pisarstwo zbyt późno - zdaje się, że to miało jakiś związek z artykułem Sandauera. Nie wiem co powiedział, czy też napisał Sandauer; wiem natomiast, że Gombrowicz był uwielbiany przez młodych i starszych. Ja sam pożyczyłem Ferdydurke - ale musiałem zastawić za to swój zegarek, gdyż właściciel nie miał do mnie zaufania; i słusznie.

Exemplarz Ferdydurke, który ja czytałem w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim, przeszedł już przez setki rąk; kartki były posklejane, pobrudzone. To samo z Pamiętnikiem z okresu dojrzewania. Tych książek nie można było kupić, pożyczano się je na dni; czasem na pół dnia.

Tego oczywiście Gombrowicz wiedzieć nie może; a ja tam byłem i widziałem.

We Wrocławiu nie czułem się dobrze; jestem warszawiakiem i nie bardzo umiałem żyć bez Warszawy. Pracując w „Pagedzie” miałem kolegów warszawiaków i postanowiłem tam pojechać; aby przynajmniej móc z nimi pomówić w języku warszawiaków; w tym języku, którego żaden polski aktor, nawet Dymśa, naśladować nie potrafi.

Odnalazłem ich; doznałem przyjęcia więcej niż zimnego. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego; potem jednak powiedziano mi - chodziło o moje opowiadanie wydrukowane w Sztandarze Młodych. Przestałem już być w ich pojęciu robotnikiem; natomiast stałem się piewczą dozorczy niewolników. Inni natomiast byli dla mnie przesadnie czuli i uprzejmi; ale ani tamci, ani ci nie byli już tymi ludźmi, z którymi spałem, jadłem, pracowałem.

A jeszcze trzy lata temu chodziliśmy razem przez granicę, aby dorobić sobie trochę.

Brało się spirytus i słoninę; z Czechosłowacji przynosiliśmy pończochy, sztuczną biżuterię. Granica była częściowo zabronowana, ale wyżej, górami, można było przejść, gdyż góry znaliśmy lepiej niż żołnierzy WOP-U. W tym celu brało się tylko za pazuchę kilka kotów; słysząc ujadanie psa prowadzonego przez żołnierza WOP-u puszczało się kota i wtedy pies - choćby najlepiej trenowany - biegł za kotem. Inni okręcali nogi szmatami umoczone w ropie naftowej, ale to nie był system pewny. Jest rzeczą zabawną, że sami Czesi nigdy nie przechodzili na naszą stronę - bali się.

Po pewnym czasie ktoś zasypał pomysł z kotami i wtedy zaczęto się interesować, skąd nagle pojawiła się w okolicy taka ilość miłośników zwierząt. I nie można już było przejść na Czechy. Nasi koledzy z bazy wpadli na pomysł jeszcze lepszy i stwarzający możliwości lepszego przerzutu towarów. Mieszkając blisko granicy podpalali jakąś chatę, a ponieważ nasza polska straż ogniowa była dość daleko - biegli pędem do żołnierza z WOP-u i zawiadamiali go o pożarze, żołnierz telefonował po czeską straż pożarną.

Tam już Czesi ładowali swoje pończochy i błyskotki, a nasi kierowcy odpalali im spirytus i słoninę, o którą wtedy w Czechosłowacji było tak trudno. W ten sposób puszczano co prawda z dymem kilkadziesiąt chałup, ale przypuszczam, że per saldo musiało się jednak opłacać. Byłem świadkiem podobnej sytuacji jako gość Bawarskich Wymiarów Sprawiedliwości. Otóż każdej niedzieli wchodził rankiem do naszej celi Wachmeister i pytał, ilu jest kandydatów na Gottesdiens. Nigdy przedtem nie myślałem, że wiara chrześcijańska jest jednak rzeczą tak silną i głęboko zakorzenioną; meldowali się wszyscy - włamywacze, szantażyści, oszuści matrymonialni i sutenerzy. I tak szliśmy do kościoła, a tam dokonywało się handlu wymiennego z facetami z Izby Chorych - chodziło o to, że chorzy nie mieli możliwości palenia i spacerów, tak, że jedyną sposobnością wymiany towarowej była msza w kościele.

Wróciłem z powrotem do Wrocławia i dalej próbowałem pisać. Nie znałem we Wrocławiu nikogo prócz Stefana Łosia i Tadeusza Zelenaya. Stefana Łosia wypuszczono właśnie z więzienia; siedział około roku, po czym oświadczone mu, że stała się mała pomyłka i wypuszczono go. Wkrótce potem zmarł; rozmawiając z jednym z lekarzy dowiedziałem się, że śmierć nastąpiła właśnie na skutek pobytu w więzieniu i nieludzkiego traktowania, co przy słabym zdrowiu Łosia przesądziło sprawę. Od tamtego Łosia nigdy nie dowiedziałem się, co przeszedł; znał mnie od dziecka, mimo to bał się.

Oświadczył mi krótko, że przy zwolnieniu z więzienia podpisał deklarację, że z nikim na te tematy nie będzie rozmawiać; gdyż w wypadku gawędziarstwa grozi mu ponowny pobyt w więzieniu, z tym jednak, że tym razem nie będzie już żadnej pomyłki.

Wiem jednak od innych ludzi, co wyprawiali z Łosiem. W tych relacjach na temat tortur zadawanym ludziom przez UB nigdy oczywiście nie wiadomo, co jest, a co nie jest prawdą; fakt jednak, że nie musiało być najlepiej, jeśli mówiono o tym, że oficerowie bezpieczeństwa biją ludzi wyciorami od karabinów, plują na nich, oddają im mocz na twarz i tak dalej, nie mówiąc już o prostych sposobach, jak bicie człowieka do nieprzytomności. Łosia stawiano w karczerze w lodowatej wodzie do pasa, pozostawiając mu czas do kontemplacji i wspomnień z okresu dzieciństwa, po czym znów prowadzono go na kolejne przesłuchanie. Łosiem zainteresował się serdecznie pułkownik Jacek Różański; Łoś do chwili mojego ostatniego widzenia z nim nie wypowiedział nigdy nazwiska Różański. Mówił: brat pana Borejszy. Samo nazwisko Różański przyprawiało go o atak hysterii.

Mówiąc już o Łosiu, chciałbym napisać parę słów o pułkowniku Różańskim, którego poznałem w dwa czy trzy lata później. Interesowali mnie zawsze oprawcy; ciekaw byłem, jak wyglądają ci, którzy innym ludziom wrywają paznokcie, włosy i łamią żebra. Ułatwiono mi kontakt z Różańskim i poszedłem do niego. Był to pan o wyglądzie fanatyka i o tym wiedział. Mówił interesująco, jego aktorstwo było dobre i gdybym chciał porównać go z jakimś aktorem, porównałbym go z Marlonem Brando, który także mówił bardzo wolno, nieefektywnie, męczy się jakby w czasie wypowiedzania dialogu, co stwarza złudzenie, że Brando nie szuka własnych słów i własnych sformułowań.

Tak więc i z Różańskim; było nas tam parę osób i Różański rozpoczął gawędę.

- Cóż wy - powiedział Różański - wiecie o Rewolucji? Piszecie o tym tyle, jest parę dobrych pozycji, ale co wy o tym wiecie? Ja miałem podwładnego w partyzantce i kochałem go jak syna. Dzielny żołnierz, ideowy, inteligentny.

Po wojnie wzięłem go do aparatu bezpieczeństwa i zrobiłem go majorem.

Kiedyś przesłuchiwał jakiegoś sabotażystę. Ten sabotażysta był głupim chłopakiem, ale w czasie przesłuchania zachowywał się bezczelnie i prowokująco w stosunku do prowadzącego śledztwo. Ten mój chłopak był tak wykończony nerwowo, gdyż nie spał już od paru nocy, że w pewnym momencie nie wytrzymał i dał mu w pysk.

- I co? - zapytaliśmy?

- Musiałem mu dać pięć lat - powiedział Różański. - Był majorem bezpieczeństwa i nie wolno mu było uderzyć człowieka podczas przesłuchania.

Ale nie to wam chciałem powiedzieć. Wiecie, ile dostał ten sabotażysta? Dwa lata. To był wiejski głupek i sam nie wiedział, co robi, tak, że trzeba go było sądzić z zastosowaniem wszelkich okoliczności łagodzących. Ale wobec pracownika aparatu bezpieczeństwa, który łamie konstytucję będąc powołanym do jej obrony - okoliczności łagodzących zastosować nie

można było. To jest rewolucja.

Potem opowiedział nam inną anegdotę; otóż wioząc kiedyś samochodem z Łodzi do Warszawy jakąś młodą kobietę musiał ulec jej prośbie i zatrzymać samochód, aby młoda dama mogła sama pójść do lasu. Pułkownik Różański zapytał ją, iż da mu słowo honoru, że nie będzie uciekać, tak, by nie musiał wysyłać z nią strażnika, który mógłby ją krępować w czasie wykonywania czynności fizjologicznych; młoda dama dała mu słowo honoru i rzeczywiście wróciła.

Pamiętam, że wyszliśmy potem na ulicę i jeden z moich przyjaciół powiedział mi:

- To jest silny człowiek. Pomyśl: słowo honoru, które dała, mogło go drogo kosztować...

- Nic go nie mogło kosztować - przerwał któryś. - Po prostu nie ma dokąd uciekać.

Różański opowiadał mi także, że przez wiele lat nie mógł się pozbyć uczucia strachu, gdyż wiedział, że wiele osób chce go zabić - mówię to o chwili pierwszych lat powojennych, kiedy działały jeszcze szczątki organizacji politycznych walczących przeciw reżymowi. Ale aby przemóc ten strach w sobie, zrezygnował z przysługującej mu eskorty osobistej i udawał się codziennie pieszo do pracy. Pamiętam tę opowieść o sabotażyście i nieszczęsnym majorze; jak również i tę o młodej kobiecie, która słowo honoru ceniła wyżej nad wolność osobistą - prawdopodobnie tylko dlatego, że mówił to wszystko człowiek, o którym wiadano, że jest jednym z najbardziej okrutnych ludzi aparatu bezpieczeństwa. Pomyśl, aby poświęcić mu parę rzewnych słów, przyszedł mi do głowy teraz, kiedy piszę o Stefanie Łosiu, który do końca swego życia bał się wymówić nazwisko tego człowieka.

Łoś był nieszczęśnikiem: przed wojną napisał dość głupią książeczkę dla młodzieży pod tytułem Strażnica; była to zdaje się opowieść o dzielnych żołnierzach Korpusu Ochrony Pogranicza, gromiących bolszewickich agentów.

Po wojnie oczywiście go nie wydawano i biedak zagłodził się. Pamiętam, że nazywano go „Kuzynem Pensem”, gdyż zawsze zjawiał się u znajomych w porach posiłków. Ludzie pomagali mu jak mogli. Tadeusz Schmidt, nasz najprzystojniejszy chłopak w filmie, zawsze go zapraszał do domu pod rozmaitymi pretekstami, aby go nieco podkarmić; tak samo inni ludzie.

Jednak pobyt w więzieniu pozbawił go kłopotów w zdobywaniu środków na życie. Napisał do mnie przed śmiercią list już ze szpitala; list ten nie zastał mnie; a kiedy chciałem mu odpisać, dowiedziałem się, że biedak już nie żyje.

Drugim piszącym człowiekiem, którego poznałem we Wrocławiu, był Tadeusz Zelenay. Był to dziwak chodzący w dziwny sposób, przechylony w lewo.

Pamiętam, że ktoś tam umarł, a ja z nudów poszedłem na pogrzeb, aby popatrzeć na wdowę rzucającą się do grobu ukochanego męża. Staliśmy wszyscy w deszczu słuchając kolejnego mówcy; nagle pędem nadbiegł zadyszany Zelenay i wręczył oniemiałej wdowie pudełko czekoladek. „Nie mogłem zdobyć kwiatów,” oświadczył. W kilka lat później, przeglądając stare roczniki Przekroju, zobaczyłem identyczny dowcip, tak, że do dziś nie wiem, czy to Zelenay naśladował genialnego Marianna Eile, czy też Eile zastosował practical joke.

Nie bardzo mi szło pisanie we Wrocławiu. Nigdy przedtem nie miałem tak wiele czasu dla siebie; teraz mogłem czytać i pamiętać uczucie rozpaczyny pogłębiające się we mnie z dnia na dzień. Zrozumiałem, że nie starczy mi życia na przeczytanie wszystkiego, co chciałbym poznać - miałem trzymiesięczne stypendium. Nie chciałem się jednak poddać; postanowiłem pracować na over-time i znajomi koledzy dawali mi kombinacje z benzedryną, abym nie sypiając mógł pracować dzień i noc. Obawiałem się, że stanę przed Newerly z pustymi rękami i będę musiał wrócić do pracy, a wtedy koniec z pisaniem.

Trudno mi już dzisiaj powiedzieć, co z przeczytanej przeze mnie masy książek zrobiło na mnie wrażenie, a co nie. A przede wszystkim - nie umiałem czytać. Czytując artykuły w starym Odrodzeniu czy Kuźnicy nie rozumiałem połowy z tego, co czytam; nie było w dodatku nikogo, kto mógłby o to spytać, gdyż w połowie czytanego artykułu musiałem odkładać pismo i szukać książki, o której autor tylko wspomniał, aby podbudować swą tezę. I starałem się zrozumieć, na czym polega zagadnienie typowości w literaturze; zdaje się, że byłem wtedy jedynym durniem w Polsce, który starał się o zrozumienie tej metody. Nie używam w tym momencie cudzysłowiu i czynię to świadomie.

Ponieważ na temat typowości w literaturze bełkotali wtedy wszyscy i zupełnie niczego nie można było zrozumieć, postanowiłem zabrać się do tego na swój sposób. Poszedłem do biblioteki miejskiej i odszukałem wszystko, co napisano na temat Popiołu i Diamentu, aby w ten sposób poznać opinię wszystkich mędrców na temat mojej ukochanej książki. Wtedy wpadłem w osłupienie.

Krytycy zazwyczaj rozplywali się w zachwytach, zarzucając jednak Andrzejewskiemu, że komuniści w jego książce są postaciami nie tak silnymi jak postać Maćka Chełmickiego czy też postacie negatywne - również i teraz świadomie nie używam cudzysłowiu. Pamiętam, że profesor Stefan Żółkiewski napisał: „Postać Szczuki poznajemy od strony najbardziej konwencjonalnej - od strony poglądów moralnych.” Szczuka, człowiek zmęczony, człowiek bez złudzeń nie wierzący w możliwość szybkiego zwycięstwa rewolucji - nie wydawał się krytykom marksistowskim postacią prawdziwą.



Te same zarzuty stawiane były Podgórskiemu, innemu komuniście z Popiołu i diamentu. Podgórski przegrywa swój pierwszy pojedynek z nową rzeczywistością; jego system ocen moralnych i etycznych kruszy się w zetknięciu z doświadczeniem i Podgórski rezygnuje z możliwości uwięzienia człowieka, który pełnił funkcję kapo w obozie koncentracyjnym. Podgórski usiłuje człowieka sądzić, ale sądzić innego można miarą własnego doświadczenia; Podgórski nie był w obozie koncentracyjnym; nie przeżył tego, co przeżyć musiał mistrz jego młodości, i nie czuje się na siłach skazać człowieka, którego wystawiono na zbyt ciężką próbę. I puszcza go wolno; na tym polega świetność tej sytuacji. Krytycy marszystowscy z tego właśnie czynili zarzuty Andrzejewskiemu; wtedy zrozumiałem, że rozumu nie można zastąpić wiedzą o tym, jak należy myśleć.

Po wojnie wszyscy się zachwycali książką Borowskiego *Pożegnanie z Marią* i na mnie także książka ta wywarła wrażenie. Ale czegoś mi tam brakowało i przez całe lata myślałem czego; nie umiałem tego sformułować. Zrozumiałem to wiele później, czytając przypadkowo list jednego z naszych najlepszych pisarzy do mego przyjaciela; pisał, co drażni jego osobiście w literaturze polskiej lat wojny - brak uczucia zazdrości. Pomyślałem sobie, że tego mi brakuje u Borowskiego: elementu zazdrości u bitego. I tego, że bity wolałby być bijącym. I tego, że marzy, aby bić; ci dobrze bili i ci źle bili.

Pięcioletnie wydanie dzieł Borowskiego powinno być lekturą obowiązującą ludzi zaczynających pisać w Polsce. Borowski zaczyna jak anioł gniewu, a kończy jak szpicel. Zaczyna od tego, iż pragnie pokazać prawdę i tylko prawdę; kończy nazywając faszystą, kanałią i piewcą bomby atomowej i wojen bakteriologicznych Faulknera, którego książek prawdopodobnie nie czytał; Faulknera, którego obsesją jest stosunek do bliźniego.

W roku 1954 odbył się w Oborach Zjazd Młodych, na który i ja pojechałem.

Niewiele już pamiętam z tego zjazdu; mówiono znowu dużo o typowości w literaturze; my z kolegą Bernsteinem spaliśmy na zmianę; on pięć minut, ja pięć minut, po czym jeden budził drugiego. Z daleka wyglądało to dobrze, jeden z twarzą ukrytą w dłoniach i pogrążony w głębokiej kontemplacji; drugi siedzący sztywno z wytrzeszczonymi oczyma - jak to powiada Szwejk - jak kocur srający w sieczkę. Po czym następowała zmiana; jeden budził drugiego i ten z kolei zaczynał wytrzeszczonymi oczyma, a drugi chował twarz w dłoniach. Po zakończonych obradach szliśmy znów z Bernsteinem na nocne uciechy.

Była tam jedna dziewczyna, której nazwiska nie mogę sobie przypomnieć; pamiętam tylko, że była ładna wyjątkowo. Pewnego dnia odczytała nam fragment swojej prozy; była to opowieść o funkcjonariuszach bezpieczeństwa.

Panowie ci, po długich i serdecznych rozmowach, przekonywali więźniów, nad którymi została im powierzona opieka, iż ci działali niewłaściwie, i więźniowie rzucali im się na pierś z łkaniem wyrażając skruchę i obiecując poprawę. To wszystko co pamiętam z tego zjazdu; było tam wielu commies, ale nawet oni zachowywali pełne żenady milczenie, a ja patrząc na śliczną buzię czytającej myślałem sobie: „Dlaczego ona nie może zostać po prostu dziwką?

Dlaczego musi jeszcze pisać?

Potem wyjechaliśmy z kolegą Berensteinem na Mazury. Edward był piękny jak młody Bóg i czytając Biesy myślę zawsze o nim. Podczas gdy ja miotłem się przez całe życie, on był wyjątkowo i przerażająco spokojny. Był poza tym mistrzem bójki towarzyskiej obdarzonym niezwykle siłą fizyczną; boksował przez jakiś czas. Ilekroć dochodziło do rozpraw, Edward ustawiał sobie przeciwnika tak jak fotograf ustawia model przed wykonaniem zdjęcia i dopiero wtedy uderzał w szczękę; nie musiał nigdy uderzać po raz drugi.

Nawet w bójce zachowywał jakiś przerażający i niezrozumiały spokój.

Pamiętam, jak kiedyś w Orzyszu pijany tajniak rąbnął mnie w zęby, trzymając w lewej ręce pistolet: Edward spokojnie podszedł do niego nie zwracając uwagi na broń i huknął go w czaszkę.

Był i jest moim największym przyjacielem. Na Mazurach opowiadał mi o książkach, które przeczytał, a których ja, nie znający wówczas niemieckiego ani angielskiego, nie znałem. Mieszkaliśmy w miejscowości nazwanej malowniczo Wyspą Róż i za towarzystwo mieliśmy czterech rybaków wyrzuconych z „Dalmoru” za pijaństwo i za bójki. Jeden z nich miał jednak żonę i dziecko, które postanowił ochrzcić; w tym celu nabył pięknego prosiaka i zapowiedział uroczystość. Tak więc wszyscy śledziliśmy z napięciem, z dnia na dzień, czy prosię przybiera na wadze w sposób proporcjonalny do naszych apetytów. W tym czasie nie było łatwo o mięso; myśmy z Edwardem jedli węgorze, które Edward mistrzowsko przyrządzał. W dzień łaziliśmy po wyspie i próbowaliśmy pisać; wieczory schodziły nam wesoło, ponieważ ci z „Dalmoru” również z entuzjazmem śledzili pracę Polskiego Monopolu Spirytusowego.

Nie pamiętam już, czy to ja, czy Edward zgłosił projekt zaproszenia na rzezone chrzciny Wilhelma Mach; w każdym razie Mach odpisał, że przyjedzie, i rzeczywiście zjawił się tak zwanego fatalnego poranka - jak o tych sprawach piszą gazety. Mach zjawił się i po nieprzespanej nocy poszedł spać, a my wszyscy pracowaliśmy nad przyrządzaniem prosięcia, które tegoż ranka pozbawiłem życia strasznym ciosem noża. Ci z „Dalmoru” zachowywali się

niespokojnie; czekało ich pijaństwo i spodziewali się towarzystwa kobiet, którego pozbawieni byli od miesięcy. Trzeba tu dodać, że do najbliższego miasta było około dwudziestu kilometrów, tak, że ulubionym tematem rozmów i pieśni była nikczemność i przewrotność kobiet. Wreszcie zjawili się goście; ale była tam tylko jedna, ale za to bardzo ładna dziewczyna; posadzono ją po prawej stronie Wilhelma Macha, któremu, zapewne dzięki jego głodnemu wyglądowi, ci nożownicy z „Dalmoru” nadali tytuł profesora. Trzeba wyjaśnić, że Wilhelm Mach nie interesował się w sposób przesadny kobietami, co było dziwne przy jego sile rozwiniętych instynktach rodzinnych; mam na myśli jego bratanków. W czasie biesiady zauważyłem skurcze przerażenia i wstrętu przebiegające po twarzy Macha i domyśliłem się, że młoda dama czyni mu daleko idące awanse. Zauważyli to także nożownicy z „Dalmoru”, którzy ostrzyli sobie zęby w związku z pobytem owej młodej damy, i usłyszałem, że w rozmowach poruszają sprawę porachunków z profesorem”. I rzeczywiście, około północy zaczęła się ogólna rzeź; My z Wilhelmem zamknęliśmy się na górze, a tamci gonili się po całej Wyspie Róż uzbrojeni w noże do patroszenia ryb. Nie wiem, co by z nami było, gdyby nie kolega Bernstein, który z początku zachowywał w stosunku do walczących pełną życzliwości neutralność, ale kiedy ryki ich pozbawiły go - jak to genialnie mówi poeta - możliwości zasłużonego wypoczynku, uniósł ze snu skroń i w sposób pełen szlachetnej prostoty pozbawił ich wszystkich przytomności: jednego po drugim. Nazajutrz przerażony i postrzały o lat dwadzieścia Mach opuścił Wyspę Róż.

Potem pojechałem znów do Warszawy i zgubiłem się Edwardowi. Po jakimś czasie zacząłem go szukać; ale ponieważ zarówno kolega Bernstein jak i ja znajdowaliśmy się w ciągłych konfliktach z władzami wymierzającymi sprawiedliwość - nie posiadaliśmy stałego adresu i nie łatwo nam było się znaleźć. Wreszcie spotkałem pewnego kolegę, który skończył akurat szkołę filmową i wstąpił w związek małżeński. On także znał Edwarda; siedzieliśmy na tarasie w kawiarni, w której on umówiony był z żoną, na którą czekał; wysłuchawszy mnie rzekł:

- Możesz go spotkać w bardzo łatwy sposób. Jeśli usłyszysz od jakiejś kobiety, że czytała Biesy i że jest zachwycona, to znaczy, że jest przyjaciółką Edwarda. Przez nią zdobędziesz jego adres.

W kilka minut później nadeszła oczekiwana przezeń żona.

Przedstawiono nas sobie wzajemnie i młoda osoba powiedziała:

- Właśnie czytałam Biesy. Co pan o tym sądzi?

Ujrzałem, że twarz mojego kolegi powleka się upiorną bladością; zapłaciłem co rychło i wyszedłem. Jego pomysł był prosty, ale też i niełatwy: krąg miłośniczek Dostojewskiego

okazał się zbyt duży i nie naprowadził mnie na ślad.

W tym czasie moje łapsy pojawiły się znów. Na próżno tłumaczyłem im, że żyję sam i wszystko co mogę zrobić, jest napisanie donosu na samego siebie, i że chętnie to zrobię. Łapsy wysłuchały mej mowy i powiedziawszy: „Oj, bo się pogniewamy” - odeszły. Pamiętam do dziś ich smutne twarze i zapach ich gumowych płaszczy. Wracając parę dni później do domu zobaczyłem przyjaciela i wybelkotałem mu całą sprawę prosząc, abym mógł u niego zostać przez parę dni, a może coś wspólnie wymyślimy. On zgodził się, jego żona także. Zrobił herbatę, a ona wyszła. Siedziałem naprzeciwko niego i widziałem krople potu spływające po jego twarzy. W pewnym momencie wstał, wziął mnie za rękę i wyprowadził na korytarz. Powiedział mi, że żona jego poszła po milicję i poradził mi, abym uciekał. Powiedziałem mu na to, że jestem już zmęczony tym wszystkim i nie będę uciekał; niech przyjdą, niech mnie wezmą i niech robią ze mną wszystko, co chcą. Wtedy zapukał do sąsiednich drzwi, wepchnął mnie tam i powiedział do jakiejś młodej zaspanej osoby: „Ukryj go. Szuka go milicja”. Po czym zniknął; owa młoda osoba, samotnie mieszkająca, okazała się studentką; nocami przychodził jej narzeczony i zaczynały się pertraktacje do świtu. Narzeczony przyjeżdżał pod okno na motocyklu z niewyłączonym silnikiem zaczynał mowy w stylu klasycznym, budowane na wzór mów Cicerona. A więc najpierw od argumentów najważniejszych: miłości i pożądania, potem przechodził na argumenty ogólnoludzkie, co nie było jego silną stroną, znów powracał do miłości, następnie o świecie apelował do jej poczucia sprawiedliwości i kończył na kwestii początkowej, na - miłości i pożądaniu. Od czasu do czasu włączał przy tym silnik na pełen gaz, motor był starego typu i gasł, do mów jego włączali się sąsiedzi, budzeni potężnym rykiem silnika o pojemności sześciuset kubików; jedni dawali mu dobre rady, drudzy ostrzegali przed kobietami, inni przeklinali go i grozili milicją; a jeszcze inni okraszali jego dramat szyderczymi komentarzami i mówili, co by uczynili na jego miejscu. W ten sposób cała kamienica brała udział w tym dramacie; od czasu do czasu zjawiali się milicjanci wzywani przez któregoś z widzów, pozbawionego uczucia tragizmu i chcącego spać; wyrzucano go, lecz następnej nocy powracał znowu. I długo to trwało.

W parę lat później przypomniała mi się znów cała ta historia. Było to już w Izraelu; mieszkając w Tel-Awivie chodziłem od czasu do czasu do kina na Ben-Jehuda; było to kino bez dachu, gdzie wyświetlano tylko filmy z Eddie Constantinem. Filmy te odznaczały się szlachetną prostotą akcji; po prostu Eddi Constantine bije przez dwie godziny innych artystów po twarzy. Ale tu należy dodać, że nie bije ich pięścią, lecz otwartą dłonią, co sprawia niezapomniane efekty akustyczne. Ponieważ jest przy tym producentem własnych filmów,

może być nieszczęśliwych aktorów jak tylko chce, co sprawia, że dramat przybiera na ostrości i na wyrazie. W kinie tym, którego nazwy już nie pamiętam, nie było połowy krzesel - gdyż widzowie zaczęli bić się w czasie przedstawienia, jeśli ktoś rzucał pod adresem Constantine'a parę szyderczych uwag, nie przekonany co do słuszności jego działania. I tam również widzowie - jak warszawscy mieszkańcy kamienicy - włączali się do akcji, dając artystom dobre rady lub przeklinając ich głupotę i nie było w tym żadnego szyderstwa, lecz po prostu chęć uczestniczenia w dramacie.

Jeśli jednak poczynano wyrywać krzesła i bić nimi po głowach - kierownik kina wyłączał obraz i dawał widzom czas na zakończenie bójki, po czym projekcja zaczynała się od nowa. Kierownikiem kina był zapewne jakiś miłośnik Constantine'a, który chciał, aby walczący na sali nie tracili nic z toczącego się przed ich oczami dramatu. Wchodząc do tego kina widzowie nie zwracali uwagi na tytuł filmu. Pytano po prostu biletera: „Ilu trupów?”. Jeśli ilość przez niego podana odpowiadała ich wymogom duchowym, nabywano bilet. Potem kino to spalono; jak mi opowiadali przyjaciele z Tel-Awivu, wyświetlano tam obraz pod tytułem Panna, produkcji amerykańskiej. Była to historia bohaterskiej Niemki, amerykańskiego jeńca i nikczemnych sowieckich oficerów, których przedstawiono w sposób prosty, wyrazisty: otóż jeden z nich grając na fortepianie przerywa produkcję duszoszczepiatelnych pieśni tylko po to, aby celnym strzałem położyć następnego członka osłupiałej rodziny niemieckiej, której rzeczona już panna była córką. Tak się skończyła historia tego kina, gdzie bilet kosztował tylko sześćdziesiąt piastów. Obraz duszy rosyjskiej przedstawiony w ten sposób wydał się publiczności izraelskiej zbyt uproszczony; kino puszczono z dymem, a kierownika, ciężko pobiwszy - z torbami.

Nasz narzeczony stał się wreszcie dla mnie tym samym koszmarem, co moi dwaj o smutnych twarzach i płaszczach pachnących gumą. Skończył był jednak w ten sposób, w jaki powinien był skończyć; zleciał po pijanemu wraz ze swoim wiernym rumakiem stalowym z jakiegoś mostu i połamawszy ręce i nogi zamienił się z pełnego wigoru młodego mężczyzny we wzruszającego inwalidę.

Nie byłoby w tym nic przykrego, gdyby nie fakt, że ewentualnym kandydatem do małżeństwa stałem się ja; drogą tak zwanej naturalnej eliminacji.

Wyszeptalem wtedy niezbędną ilość najświętszych słów i oddaliłem się w sobie tylko wiadomym kierunku.

Wiedziałem, że nie da mi się już więcej bawić z moimi łapskami i drzałem na myśl, że dokonują analizy mych donosów i posunął się poza analizę stylu.

Poszedłem do jednego z moich znajomych piszących, o którym wiedziałem, że

pracował kiedyś w Informacji Wojskowej, i opowiedziałem mu o wszystkim.

Uśmieł się serdecznie i obiecał pomoc. Powiedział przy tym:

- Nic się nie przejmuj synu. Powiadają, że młody Adaś Mickiewicz też się zajmował donosami. Daniel Defoe był agentem policji. Tak samo mówią o Kraszewskim; tak samo o Brzozowskim. Idź dalej śmiało tą drogą. Ale jeśli nie chcesz, pomogę ci.

I nigdy już ich nie widziałem; pamiętam tylko ich smutne twarze i zapach gumowych płaszczy, i łączący się z tym wspomnieniem ryk motocykla od świtu do nocy. Nie jestem właściwie pewien, czy postępuje fair pisząc o moich łapsach tak krótko i bez sympatii; oni przecież dali mi podniechęć twórczą i czasami pisząc donosy ponosiła mnie fantazja, a wtedy cytowałem wymyślone przeze mnie wypowiedzi i wkładałem je w usta swoich ofiar. Dbałem jednak przy tym, aby każda z postaci mówiła odrębnym stylem i używała odrębnych sformułowań. W literaturze nie wydaje się to konieczne; w literaturze decyduje wizja i szaleństwo; to dobrze, jeśli ludzie mówią tak samo, i depczą sobie po piętach i bredzą bez przerwy o tym samym. Jednak forma donosu policyjnego wymaga absolutnego klasycyzmu formy i stylu, oraz pewnego wykwintu, który może dobry jest u początkującego pisarza, ale drażni u prawdziwego mistrza. Jeśli chodzi o formę donosu policyjnego, tak zawsze aktualną w polskiej literaturze, należy dbać o to, aby każda z działających postaci mogła własnymi i prostymi sformułowaniami zasłużyć na parę lat ciężkiego więzienia. Ale - trzeba również strzec się kwietyzmu, gdyż może to wzbudzić nieufność przełożonych policji. Istnieją wypadki, kiedy trzeba użyć określeń topornych i ciężkich, męskich brutalnych - to dla więźniów długoterminowych, i pozbawionych prawa palenia tytoniu w więzieniu. Wypadki bagatelne, powiedzmy do dwóch lat kryminały - można opisywać stylem felietonowym, cytując anegdoty i opatrując je własnymi komentarzami krępuje postać działającą na scenie. Mając powyższe na uwadze, napisałem kilka donosów uskrzydłych myślą, że jestem prawdopodobnie jedynym na świecie informatorem a' rebours. Dzisiaj, kiedy myślę o nich, zaczynam czuć coś w rodzaju wdzięczności: zjawili się wtedy, kiedy nie pomyślałem nawet o tym, aby bawić się w życiu piórem i gdyby nie ich proste, a pełne zachęty słowa, obiecując mi przykry okres abstynencji - miast pisania traciłbym zapewne zdrowie w restauracjach opowiadając moim przygodnym towarzyszom i towarzyszkom historię mojego życia. Myślę, iż w tym właśnie okresie, z konieczności, która stała się później upodobaniem, nabrałem miłości do formy krótkiej i zwięzłej. To jedyne, co w tej zabawie liczy się dla mnie naprawdę. Tysiąc policjantów można zmienić jednego dnia i tysiąc więźniów można pognać jednego dnia przez tysiące kilometrów. Ale nie to jest ważne. Ważne jest tylko to, że w twoim życiu może nadejść tysiąc dni, w ciągu których nie zdołasz napisać ani jednej kartki. Gdyby mój

dorobek pisarski upoważniał mnie do dawania rad młodym, powiedziałbym im: Każdy z was powinien przez jakiś czas pracować dla tajnej policji, aby wyrobić sobie styl i jasność myślenia. Książki trzeba pisać tak jak donosy, pamiętając przy tym, że głupio napisany donos może zniszczyć przede wszystkim ciebie.

Skończyłem z moimi łapsami; nie miałem jednak w dalszym ciągu ani pieniędzy, ani mieszkania. Poszedłem do Józka Lenarta ze Sztandaru Młodych i poprosiłem go, aby wysłał mnie na reportaż; Lenart dał mi zaliczkę i pojechałem gdzieś w okolice Wrocławia, gdzie miałem odszukać młodą lekarkę, która dostała przed rokiem nakaz pracy na wsi, i opisać jej sytuację oraz słoneczność jej światopoglądu. Odnalazłem tę wieś i zacząłem pytać o panią doktor; zdziwiło mnie jednak, że chłopci, których pytałem, dają mi dziwaczne odpowiedzi patrząc na mnie błędnymi oczyma i zachowując się przy tym jak Ofelia w scenie szaleństwa. Wreszcie ona sama zjawiała się. Zapytałem ją, co jest właściwie z tymi ludźmi, z których każdy wygląda jak lunatyk. Z początku ta młoda osoba tłumaczyła mi to w ten sposób, iż są to chłopki zza Buga, którzy nie mogą przeboleć straty swej ziemi rodzinnej i pożerani tęsknotą nie bardzo już wiedzą, w którym kościele dzwoni. Ta interpretacja, jakkolwiek oparta na motywach psychologicznych i historycznych nie wydała mi się jednak prawdopodobna. Wreszcie, skonsumowawszy z panią doktor poważne ilości leczniczego spirytusu, udało mi się wykryć prawdę: otóż była to wieś morfinistów. Lekarka, zarabiając grosze nie wystarczające na utrzymanie się, wpadła na genialny w swej prostocie pomysł: zmorfinizowała całą wieś i chłopci stawszy się nałogowcami, płacili jej haracz, aby otrzymać niezbędną już do życia porcję narkotyków. Zapytałem co zrobi, jeśli jej pomysłem zainteresuje się prokuratura. Powiedziała mi, że już ma dość wszystkiego i jeśli dowie się w jakiś sposób, że grozi jej aresztowanie, to duża dawka morfiny z barbituranami bez trudu przeprowadzi ją od życia do śmierci. Nic nie wyszło z mojego reportażu.

Także i drugim razem moja kariera reportera zakończyła się w sposób dziwaczny. Otóż posłano mnie do jednego z Państwowych Gospodarstw Rolnych, gdzie udało się chłopom stworzyć teatr amatorski, którego duszą była żona owego kierownika PGR. Pojechałem tam w sobotę; w niedzielę miała odbyć się premiera sztuki któregoś z naszych mistrzów realizmu socjalistycznego. Nie pamiętam już treści tej sztuki: chodziło zdaje się o konflikt człowieka pracującego na wiertarce z człowiekiem pracującym na obrabiarce. I w tym wszystkim kryła się myśl o walce pokoleń. Nic bliższego nie jestem już w stanie o tym napisać.

Przyjechałem wieczorem: kierownik PGR zorientował się natychmiast, że istnieje okazja uczczenia gościa z Warszawy i zaprowadził mnie do głównego amanta swego teatru.

Amant był właśnie zajęty sporządzaniem kielbas ze świni, którą uprzednio wraz z dyrektorem PGR ukradł i pozbawił życia.

Prowadziliśmy rozmowę towarzyską na najwyższym poziomie, wznosząc puchary i konsumując kielbasy; po czym udaliśmy się spać. Następnego dnia wieczorem zebraliśmy się wszyscy w świetlicy. Znowu, żeby uczcić gościa z Warszawy, kierowniczka teatru kazała miejscowemu tenorowi odśpiewać coś przed przedstawieniem. Na scenę wybiegł młody człowiek i zaryczał: „San Remo, białe miasto nad morzem - jak ja kocham ci...” Zdumieni chłopcy siedzący w watowanych kurtkach wytrzeszczali oczy; ale ja bawiłem się dobrze.

Następnie zaczęła się sztuka; w momencie kiedy główny bohater - postać szlachetna i pełna patosu - wygłaszał długą tyradę na cześć obrabiarek, przyjaźni ze Związkiem Radzieckim i tym podobne, na scenę wbiegł jakiś człowiek o dzikim spojrzeniu i z okrzykiem „A ty, Jadźki p... nie będziesz...” wraził bohaterowi nóż w klatkę z piersiami. Chodziło o jakieś osobiste zatargi na tle miłosnym. Nic z reportażu.

Wróciłem do Warszawy. Miałem już w tym czasie umowę wydawniczą z „Iskrami”. Kierowniczka „Iskier”, Celina Miłska, wiedząc, że jestem nałogowym żebrakiem, wysłała mnie do Władysława Broniewskiego, abym dokonał wraz z nim wyboru wierszy, przeznaczonego dla młodzieżowego czytelnika „Iskier”, które były domem wydawniczym nastawionym na czytelnika młodzieżowego. Również i w tym wypadku nie używam świadomie cudzołowy.

Oczywiście, że można po prostu napisać „czytelnika młodego”. Ale pisząc to wszystko pragnę zachować język tamtych czasów: ową dziwną mieszaninę slangu, komunikatów urzędowych, języka używanego na wiecach partyjnych i na ulicy. Jestem jeszcze zbyt młody i zbyt mało znaczący, żeby pisać pamiętniki.

Piszę o ludziach, których znałem i których kochałem. Jak już powiedziałem: pragnąłbym dla tych ludzi napisać, dlaczego nie mieszkam w Warszawie.

Pragnąłbym to napisać dlatego, że wiele tym ludziom zawdzięczam - natrafiłem na następujące zdanie: „Kiedy równo dwa lata temu pewien młody człowiek z dworu, „jeden z nas” wyjechał, i w Paryżu zaczął na nas psy wieszać, zadawałem sobie pytanie: „Dadzą mu więcej pieniędzy, więcej swobody, więcej wszystkiego, ale czym zastąpią mu dwór?” Czyżbym to ja był owym młodym człowiekiem? I na kimż to ja psy wieszałem? Czyż jeśli powiem, że pragnę tylko żyć w takim kraju, gdzie gest braterstwa nie zmienia się w gest samozniszczenia - czy wszystkie książki Rudnickiego nie są tym samym wołaniem o tę, jedyną sprawę? Czy też Rudnicki przestał już o tym myśleć?

Tak więc poszedłem do Władysława Broniewskiego, który mieszkał wtedy na



Mokotowie. Broniewski nie chciał rozpocząć dyskusji na temat wyboru swoich wierszy bez uprzedniego pokrzepienia się alkoholem; po strasznej walce wewnętrznej uległem jego prośbie. Dziwny to był człowiek; oficer legionów, komunista nie należący do partii, więzień naszych kapryśnych braci, najbardziej polski poeta, jakiego można sobie wyobrazić - a komunizm potrzebny mu był tylko z jednego powodu; ponieważ on, Broniewski, najbardziej lubił pisać o komunizmie. Żadne inne względy nie mogły tu wchodzić w rachubę i nie interesowały go zupełnie. Był przy tym zadziornym szlachciurą; opowiadał mi, że Bierut zaprosił go kiedyś do Belwederu i wzięwszy go pod ramię poszedł z nim do ogrodu, a w pewnym momencie powiedział: „To Hymn Narodowy”. Broniewski wysłał go do wszystkich diabłów.

Po czym napisał wiersz, że kłania się rewolucji radzieckiej po polsku, czapką do ziemi.

Ze swego pobytu u Broniewskiego niewiele pamiętam już poza jedną tragiczną sytuacją. Pewnego dnia Broniewski przestał pić i zaczął pisać nowe wiersze i nawet dobrze mu szło. Po jakiejś godzinie ktoś do niego zadzwonił i zapytał, co u niego słychać. Broniewski powiedział, że zabrał się do roboty i że ma nadzieję miesiąc lub dwa solidnie popracować. Na własne nieszczęście powiedział przy tym, że nie pije; jego rozmówca pogratulował mu i rozmowa się skończyła; Broniewski znów zabrał się do pisania. Po piętnastu minutach znów telefon; dzwonił ktoś inny, kto rozmawiał z uprzednim rozmówcą Broniewskiego i dowiedziawszy się, że Broniewski postanowił nie pić, gratulował mu i prosił, aby wytrwał w postanowieniu; Broniewski pogratulował mu i znów zabrał się do pracy. Po dziesięciu minutach znów telefon; znów przestroga i znów podziękowanie ze strony Broniewskiego. Ósmy telefon był od towarzysza Jakuba; Broniewski blady, roztrzęsiony, przyszedł do mnie i powiedział: „Idź po wódkę.” Po czym opowiedział mi, że po śmierci swej jedynej ukochanej córki został zabrany wprost z pogrzebu do Wonieścia, szpitala dla alkoholików - z polecenia KC.

Gdyby ludzie wiedzieli, że nie ma lepszego sposobu na wpędzenie w powtórny alkoholizm, jak przypominanie człowiekowi który pił, o tym, co się stać może z chwilą, kiedy znów pić zacznie - może przestaliby udzielać tych przeklętych, dobrych rad. Ludzie wciąż jeszcze nie wiedzą, że w uczuciu wdzięczności jest piekielnie dużo nienawiści. Nie pisałbym o tym, gdyby nie to, że ludzie obrzydzili mi połowę mego życia wtrącaniem się w moje sprawy i dawaniem mi przestroóg.

Tak więc Broniewski rozpoczął cykl, który miał trwać wiele dni. Dziwny był to pijak; mógł być śmiertelnie pijany i zataczać się z kąta w kąt, ale z chwilą, kiedy ja mu

deklamowałem na przykład „Ulicę Miłą” i pomyliłem się choćby o jedno słowo - Władysław Broniewski natychmiast korygował mnie i to w sposób dość ostry. Żał mi go; zamęczyli go ludzie i na pewno ludzie męczyli go przez całe życie. I był dziwakiem: kapitan Legionów, kawaler orderu Virturi Militari był dumny, że zdobył ten order walcząc przeciw bolszewikom, którym kłaniał się czapką do ziemi. Więzień Stalina, kiedy zapytasz mnie, co o nim sądzę, usłyszał, że trudno mi go osądzić, ponieważ boję się bandytów, przed którymi nie ma gdzie uciec - dostał ataku furii, który mógł skończyć się dla mnie tragicznie, o czym poniżej. Nie to było ważne, że Ziutek-Słoneczko wymordował ileś tam milionów ludzi i zbudował największy na świecie obóz koncentracyjny, nie to było dlań ważne, iż on sam siedział w więzieniu sowieckim - ważne dla niego było to, że on, Władysław Broniewski, napisał wiersz na cześć człowieka, którego ja obraziłem. Pobiegł na górę dygocząc z wściekłości; po jakiejś chwili zbiega na dół przerażona służąca i mówi mi; abym wynosił się natychmiast, ponieważ pan Broniewski jest pijany i dzwoni do Urzędu Bezpieczeństwa. Złapałem palto i rażno wybiegłem w mrok.

Po roku 1956 ten stary i chory już człowiek miał na tyle odwagi, że do mnie, pętaka, podszedł i powiedział, iż prosi o przebaczenie. Nie, że przeprasza, ale że prosi o przebaczenie. Zrobiło mi się nieprzyjemnie; poszliśmy znów na wódkę i znów Broniewski mnie korygował aż do chwili, kiedy wspólnie straciliśmy przytomność usnąwszy na jednym łóżku, przy czym ja spałem przytulony do niego, jak szczenię do sukki. Myślę o nim często; myślałem o nim czytając znakomity esej Miłosza o Gałczyńskim. Czyżby również i Broniewski był poetą dworskim? Mieroszewski napisał o nim, że Broniewski nie miał pojęcia o marksizmie, dialektyzmie, ekonomii i polityce. Komunizm urzekał go stroną malarską - pędzące nań w roku dwudziestym [...] Tuchaczewskiego, piece Magnitogorska, elektrownie na Wołdze, Kanał Białomorski, w czasie budowy którego straciło życie ileś tam tysięcy, sybirskie bataliony idące na odsiecz Moskwy, mowy wojenne Generalissimusa Stalina, w których Stalin swym twardym i chropowatym głosem nakazał narodowi radzieckiemu wojnę świętą i ojczyźnianą - to był komunizm, który interesował Broniewskiego, Inne sprawy go nie interesowały; wybaczył im nawet pobyt w więzieniu; ponieważ mógł o tym wszystkim pisać wiersze. Na całe moje szczęście ludzie nie brali nocnych telefonów Broniewskiego na serio, mogło się to skończyć dla mnie w sposób mało zabawny.

Cóż mi jednak z tego, kiedy ja jestem takim samym Polakiem jak i on? Nie potrafię o nim myśleć inaczej jak dobrze; nie potrafię przestać czytać jego wierszy; i nie potrafię przestać ich kochać. I kiedy myślę o nim, przypomina mi się najgenialniejsza scena śmierci, jaką czytałem w Wojnie i pokoju, kiedy jeden człowiek umiera, a drugi pyta: „I gdzie on teraz

jest?”

Ja także pytam się siebie: I gdzie on teraz jest? Ten komunista nie znoszący partii; ten bolszewik zdobywający order za dzielność w walce przeciw innym bolszewikom; ten więzień Stalina, który chciał uwięzić innego człowieka za to, iż obraził jego oprawcę; ten wielki, nieszczęśliwy poeta i dobry człowiek - gdzie on teraz jest? Czy istnieje dla nas, ludzi, takie miejsce - jak w tej murzyńskiej pieśni - gdzie spotykamy się wszyscy: czyści, dobrzy i bez gniewu. A jeśli spotykamy się tam, to o czym będzie pisał i w co będzie wierzył?

## REPORTER NAJBARDZIEJ BOJOWEGO PISMA W POLSCE

Już nie pamiętam, w jaki sposób przypętałem się do grupy Po prostu. Kiedy dziś usiłuję natężyć pamięć, aby wyjaśnić samemu sobie, jak zostałem pracownikiem Po prostu i jak w ogóle tam trafiłem, przychodzi mi na myśl tylko jedyne logiczne wyjaśnienie tej nękającej mnie zagadki” otóż na dole tego gmachu, w którym mieściła się redakcja najbardziej bojowego w swoim czasie tygodnika polskiego, był bar „Jontek. Być może, kiedyś się pomyliłem i przez pomyłkę poszedłem do redakcji Po prostu, aby zażądać dużej wódki w cienkim szkle i śledzia po japońsku. Natomiast zupełnie nie wiem, dlaczego nie wyrzucono mnie stamtąd od razu i bez wdawania się w zbędne wyjaśnienia.

Zresztą wyrzucono mnie w parę miesięcy potem, tak, że zmysł kompozycji mego losu nie został naruszony.

Bar „Jontek” nie należał do lokali wykwintnych. W tym czasie chodziło się do „Kameralnej”. „Kameralna” była restauracją pomyślaną bezbłędnie i dzieliła się na trzy części: „Kameralna” dzienna pierwsza, „Kameralna” dzienna druga, „Kameralna” nocna. Odkrywczość tego pomysłu gastronomiczno-architektonicznego polegała na tym, że można było zacząć pijaństwo w „Kameralnej” drugiej dziennej już wcześniej rano; po czym można było przejść na obiad do „Kameralnej” pierwszej, bawić się kielichem do wieczora, kiedy to otwierano „Kameralną” nocną i tam dopiero wyrobić towarzysko i dramatycznie. Do „Kameralnej” dziennej pierwszej i drugiej mógł wejść każdy łachudra, natomiast w „Kameralnej” nocnej obowiązywała pewna etyka: otóż gość musiał mieć krawat i marynarkę. To nieważne zupełnie, że konsument mógł zostać akurat wyciągnięty po dwudziestu czterech godzinach ze śmietnika: musiał mieć tylko marynarkę i krawat.

Ponieważ ja sam w owym czasie nie miałem stałego miejsca zamieszkania, a garderobę gubiłem na skutek częstych zatargów z innymi mieszkańcami stolicy, wpadłem na pomysł wręcz spartański w swej prostocie: Otóż nabyłem w Państwowym Domu Towarowym welwetową marynarkę i krawat i zostawiłem ją w garderobie w „Kameralnej” nocnej. Dzięki temu natychmiast po przyjsciu przemieniałem się z biednego łachudry w młodzieńca z klasycznym wykształceniem, rokującego nadzieję na przyszłość, i w radosnych podskokach wbiegałem na salę.

Nad moralnością publiczną i zachowaniem spokoju czuwali szatniarze oraz kierownik sali. Pamiętam, jak kiedyś p strasliwej bójce, którą już zlikwidowano i pozmiatano z parkietu zęby kierownik nocnej wszedł i tragicznie wzniósłszy prawicę zawołał: „Panowie! Ogólna buźka i spokój”, po czym Sarmaci poczęli bawić się dalej. Jeśli któryś z Sarmatów wyróżniał

się przesadną wesołością i trzeba było wzywać do niego milicję, otrzymywał zakaz wstępu do „Kameralnej” na czas ustalony kolegialnie przez kierownika sali i szatniarzy; ale była to kara straszliwa. Wszedłszy kiedyś do „Kamery” ujrzałem widok następujący: dwaj moi przyjaciele, Andrzej Roman i Paweł Minkiewicz, nieśli przez salę jakieś zwłoki krzycząc przy tym:

„Uwaga, niesiemy kasę.” Zwłokami okazał się Jurek Cukrowski, który zbyt wcześnie wyłączył się z otaczającej go rzeczywistości, a panowie Roman i Minkiewicz nieśli go do baru gdyż etykieta nie pozwalała im na wyjęcie pieniędzy z kieszeni nieszczęsnego fundatora. Rokujący świetne nadzieje na przyszłość alkoholik, kolega Wojciech Frykowski, zirytował się pewnego dnia na zbyt opieszałego kelnera i aby mu dać znak do rozpoczęcia działalności, rzucił w niego ogórkiem, ponieważ jednak stopień rozbawienia kolegi Frykowskiego uniemożliwił mu celność ciosu, ogórek trafił w barmana, poważnego starca w okularach, po czym odbił się od okularów i trafił w samotnego konsumenta trującego się przy barze, który nie czekając na wyjaśnienia wymierzył barmanowi cios w czaszkę, co stało się hasłem do ogólnej bójki w myśl zasady wszyscy przeciwko wszystkim. Akurat znajdowałem się w szatni, kiedy wbiegł barman.

- Trzy radiowozy z bananami! - krzyknął do szatniarza.

Szatniarz wbiegł na salę i przez chwilę taksował walczących fachowym spojrzeniem. Po czym wrócił do szatni.

- Dwa z bananami też będzie dosyć - oświadczył; następnie zaczął łączyć się z milicją. Zainteresowany fachową a nie znaną mi dotychczas terminologią, poprosiłem o wyjaśnienia i udzielono mi ich z całą życzliwością. Otóż stopień rozbawienia gości obliczano na radiowozy policyjne, a czym jest „banan?”, wie każdy, i nie należy się o tym rozpisywać. Tak więc przy małej bójce zamawiano jeden radiowóz; przy większej dwa, górna granica nie została jeszcze ustalona i może stanowić obiekt niegasnącego zainteresowania badaczy.

Najsympatyczniejszym szatniarzem był pan Miecio; straszliwy olbrzym, który nigdy nie bił gości po głowach i szczękach, lecz tylko zgarniał ich do kupy - zupełnie jak oko radaru kondensujące tysiące mil morskich - i wyrzucał za drzwi z siłą tornada, tak że goście rozplaszczali się na murze po przeciwległej stronie ulicy Foksal, najpierw Młodzieży Jugosłowiańskiej, a jeszcze przedtem Pierackiego. Inni szatniarze wyrzucali za gośćmi ich palta, kapelusze i laski jak również inne atrybuty męskiej elegancji, życząc im przy tym dobrej nocy lub mówiąc: „Pan redaktor jest już zmęczony”.

Życie okrutnie obeszło się z panem Miciem. Wracalem akurat z pogrzebu Prezydenta Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, Bolesława Bieruta. Było to zaiste widowisko godne

zapamiętania, Ponieważ towarzysza Tomasza wieziono z lotniska na Okęciu, wzdłuż całej trasy zebrały się tłumy, aby nic nie stracić z widoku ostatniej wędrówki ukochanego Gospodarza i myśliciela, Wynikł oczywiście straszliwy burdel i trumna z ciałem gdzieś się zakorkowała po drodze. Pijani ludzie na ulicy wciąż pytali: „Czy ciało już przeszło?” Albo: „Co jest z ciałem? Przecież mieli je czas zapeklować.”

Inni odpowiadali uspokajająco: „Stygnie, stygnie”. Wreszcie ciało przeszło i zgnębieni ludzie rozeszli się do domów. Wtedy spotkałem Miecicia. Twarz jego pokryta była troską. Złożyłem mu kondolencje, on mi też. Zapytałem go, czy troska ocieniająca mu czoło wynika z faktu, że towarzysz zmienił się w ogólnie szanowanego nieboszczyka. Okazało się jednak, że Miecicio ma inne kłopoty - wyrzucono go z „Kamery”. - Za dobry byłem dla was - dodał nieszczęśnik.

Aby zilustrować swą dobroć opowiedział mi, że wpadłszy w lekkie rozdrażnienie pobił któregoś z natarczywych konsumentów kluczem po głowie, konsumenta trzeba było odwieźć do szpitala, gdzie stwierdzono dwanaście ran ciętych. Aby jednak sprecyzować sytuację, trzeba wyjaśnić, że drzwi do nocnej „Kamery” opatrzone były potężnym zamkiem kowalskiej roboty, a jeśli chodzi o klucz, to tak właśnie przedstawiony jest Święty Piotr, który, jak wiemy z opowieści i obrazów, dzierży w ręku olbrzymiej wielkości klucz francuski, jakiego zazwyczaj używają hydraulicy, w tak zwanych jednak sferach skłonnych do ekstazy religijnej „Kluczem do Królestwa”.

O „Kamerze” napisał w swoim czasie Poldek Tyrmand i nie będę już dłużej o tym mówić. Miałem tam swoje dobre dni i noce; przez wiele lat szukałem takiego lokalu po całym świecie i nie mogłem go nigdzie znaleźć. W Jaffie był na przykład lokal, gdzie panowała całkowita ciemność i gdzie wpuszczano tylko ludzi w towarzystwie kobiet; na próżno tłumaczyłem im, że jestem człowiekiem samotnym, a moje życie erotyczne stanowią nieśmiałe próby onanizmu zakończone fiaskiem. Nie wpuszczono mnie. Niemieckie lokale są nudne jak nagła cholera; w Zurichu jest tylko jeden nocny lokal, który zamykają o godzinie dwunastej. Wreszcie, po latach badań i starań; udało mi się wypełnić tę tak bolesną w moim życiu pustkę; odkryłem lokal „La Bohe'me” w Paryżu przy rue de L'Odessa. Kiedy wszedłem tam po raz pierwszy w życiu trzeźwy jak dziecko, i podążałem do baru wypełniony pragnieniem jak najszybszego stracenia przytomności - dostałem od razu po zębach od jakiegoś pijanego Irlandczyka który wziął mnie za swego brata bliźniaka, z którym był w stanie waśni. Nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyby nie to, że ja jestem chudym szatynem o melancholijnym spojrzeniu, podczas gdy tamten był gruby i mały. Właściciel lokalu, Tony, wyjaśnił mi, że zaszła pomyłka i że w ogóle nie ma o czym mówić. Jest to

zdziewający lokal; kiedy ostatni raz przyszedłem tam zakrwawiony od stóp do głów, nie wzbudziłem nawet najmniejszego zainteresowania: po prostu wzięto mnie do kuchni i znieczulono za pomocą Tony Specjal; jest to trunko stanowiący połączenie czystego spirytusu z Martini-Dry. Przy czym kelner Jack, ku mojemu zdziwieniu, wyciągnął olbrzymie pudło z lancetami, piłami, szczypcami oraz klamrami i nićmi do szycia po operacjach. Fachowym ruchem obmył ręce czystą wódką, którą potem wlał do butelki; pozszywał mnie i pospinał moje rany klamrami, a następnie znudzonym głosem kazał mi przyjść za sześć dni - na zdjęcie klamer. Chciałem go zapytać, gdzie nabył wiedzę anatomiczną, ale nie było na to czasu: właśnie wniesiono do kuchni człowieka z nożem w udzie i Jack rażno zabrał się do dzieła.

Klientami lokalu są przeważnie amerykańscy żołnierze, których dochody nie są proporcjonalne w stosunku do ich planów rozrywkowych. Tony wynalazł sposób: po prostu każdemu wchodzącemu stemplują łapę. Ale i to na niewiele się zdało: cwani Murzyni nie myli łap po kilka dni, aby wejść za „frajer”; wtedy Tony zamówił kilka tuzinów stempli fosforyzujących, które widać tylko w świetle latarni jarzeniowej; i zmienia stempel każdego wieczoru. Wejście do „La Bohe'me”, wygląda więc tak: że każdego wchodzącego łapie w przejściu olbrzymi Murzyn i ogląda jego rękę podnosząc do lampy: jeśli stempel zgadza się z harmonogramem ustalonym przez Tony'ego - gość zostaje wpuszczony, jeśli nie - Murzyn wyrzuca gościa kopniakiem w tyłek. Gdyby wieszcz Mickiewicz żył w teraźniejszości, to miałby o czym dumać na paryskim bruku: po prostu latałby przez cały dzień i kombinował, gdzie pożyczyć parę groszy, aby wieczorem móc wyrobić się dramatycznie w „La Bohe'me”.

Nie wiem, dlaczego tak dużo napisałem o „Kamerze” i o „La Bohe'me”.

Myślę, że dzieje się tak jak z tym uczniem z ostatniej ławki, któremu wszystko kojarzyło się z dupą. Jest to dowcip stary, ale pamiętając o tym, że Kulturę czyta młodzież wstępująca w życie, przytaczam go tutaj w całości, aby wyjaśnić dlaczego tak bardzo odbiegam od historii najbardziej bojowego i bezkompromisowego pisma w Polsce. Robię to ze względu na czytelnika młodego; ludzie doświadczeni nie muszą czytać.

Szkoła. Nauczyciel bada stopień inteligencji swoich uczniów. Wyjmuje z kieszeni białą chusteczkę.

Nauczyciel: - Kowalski - z czym ci się ta chusteczka kojarzy?

Kowalski: - Z dymem ognisk i mgłami.

Nauczyciel: - Dlaczego?

Kowalski: - Bo jesienią mam zawsze katar, a mgły i dymy z pastuszych ognisk widzimy najczęściej jesienią.

Nauczyciel: - Doskonale, Kowalski. Masz przed sobą przyszłość. Siadaj.

(do następnego) Rappaport. Z czym ci się ta chusteczka kojarzy?

Rappaport: - Z wakacjami.

Nauczyciel: - Dlaczego?

Rappaport: - Bo kiedy wyjeżdżam na obóz młodzieży katolickiej, to mama zawsze stoi na peronie i powiewa mi chusteczką.

Nauczyciel: - Doskonale, Rappaport. Masz przed sobą przyszłość. (do następnego) Sierzputowski - z czym ci się ta chusteczka kojarzy?

Z ostatniej ławki podnosi się ponury olbrzym. Pyszczały. Widać, że mimo najszczerzych wysiłków woli nie udaje mu się przerobić jednej klasy w terminie krótszym jak trzy lata. Kamera najeżdża na twarz Sierzputowski.

Close up. Widać olbrzymi wysiłek myśli, malujący się na twarzy nieszczęsnego olbrzyma.

Sierzputowski: (bełkoce ku ogólnemu zadowoleniu) - Z dupą, panie profesorze.

Close up to the teacher.

Nauczyciel: - Z dupą? Chusteczka? Dlaczego?

Close up to Sierzputowski.

Sierzputowski: (zwycięsko) - Bo mnie się wszystko z dupą kojarzy.

Tak więc i ze mną: cokolwiek bym napisał, wszystko mi się kojarzy z pijaństwem.

Po raz pierwszy wyjechałem na reportaż dla „Po prostu”, kiedy nie byłem jeszcze stałym pracownikiem, lecz tylko wolnym strzelcem. Pojechałem do Lublina: dwóch chłopców, mieszkających w bursie, zamordowało swojego wychowawcę i zrabowało mu przedmioty wartości około trzystu złotych. Obaj byli niepełnoletni, nie można więc było zastosować wobec nich kary głównej.

Dostałem akta sprawy: chłopcy byli grzeczni, uczyli się nieźle i byli faworytami owego wychowawcy, tak, że mogli do niego przychodzić wieczorami, gdyż ten samotny i stary człowiek pokochał ich. Tu należy dodać, że wychowawca ich nie był homoseksualistą, lecz po prostu samotnym człowiekiem, któremu obecność tych dwojga sprawiała przyjemność.

Rozmawiając z obrońcą tych dwojga specjalnie zapytałem go, czy nie zaszedł tam wypadek szantażu wobec homoseksualisty; obrońca odparł mi, że stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że wychowawca był człowiekiem jak najbardziej normalnym i nigdy w jego przeszłości nie dopatrzone się związków homoseksualnych. W aktach sprawy obaj chłopcy stwierdzili zgodnie, że ich wychowawca nie próbował nigdy zbliżyć się do nich w sensie



moczopłciowych (jak to genialnie określił Mistrz Wiech); obaj nawet nie bardzo wiedzieli, co to jest homoseksualizm; a w żadnym wypadku nie umieli określić i sprecyzować, na czym polega stosunek erotyczny między mężczyzną a mężczyzną.

Na pytanie prowadzącego śledztwo, na co chcieli użyć zrabowane pieniądze - obaj oświadczyli, że nie myśleli o tym przedtem. Pomysł zabójstwa przyszedł im do głowy i postanowili go wykonać, gdyż byli przekonani, że uda im się zrobić to, co w powieściach kryminalnych zwie się mądrze „zabójstwem doskonałym”. Na ponowne pytanie prowadzącego śledztwo, na co były im potrzebne pieniądze i na co je chcieli przeznaczyć, odpowiedzieli, że chcieli iść do kina i wypić dwie butelki krajowego wina. Na pytanie prowadzącego śledztwo, czy znając przychylne usposobienie wychowawcy nie lepiej było po prostu iść do niego i poprosić go o pieniądze - obaj okrzekli, że im to po prostu nie przyszło do głowy. Dalszych materiałów nie mogłem otrzymać: nie dostałem, z niewiadomych powodów, protokołu konfrontacji. Ale widziałem ich zeznania i uderzył mnie właśnie ten punkt: dlaczego, znając zyczliwość i przyjaźń człowieka, nie poprosili, a zabili.

Obrońcą był człowiek bardzo zajęty i nie miał dla mnie dużo czasu.

Poprosiłem o rozmowę innego prawnika, gościa młodego i inteligentnego, i umówiłem się z nim w którejś kawiarni na Krakowskim Przedmieściu. Zapytałem go: „Dlaczego zabili? „Dlaczego nie poprosili?” Odpowiedział mi, że jako prawnik jest mi w stanie udzielić tylko jednej odpowiedzi: z jego punktu widzenia istnieją tylko winni i niewinni. „Ale”, dodał, „prawnik” a zwłaszcza obrońca karny jest od wielu lat zawodem fikcyjnym - chyba, że prowadzi się sprawy rozwodowe. Jeśli zabili, a nie pytali, to uczynili to dlatego, że przeważał w ich umysłach obraz ogólnego zła - obraz korupcji i wiedza o morderstwach politycznych [...], wiedza o pijaństwie, złodziejstwie, prostytucji, rozpuście - miłość i dobroć samotnego człowieka nie zdoła zaćmić tamtych spraw. Waga Temidy jest wyważana za pomocą odważników wdrażonych w środek przez pomysłowych sprzedawców Miejskiego Handlu Detalicznego.” I powiedział mi jeszcze: „Nie możemy żądać od nich moralności, gdyż dostarczyliśmy im tylko wiedzę o tym, jak należy myśleć - ale nie rozum. Obiecaliśmy im wzrost stopy życiowej - zamiast tego widzieli wciąż postępującą pauperyzację kraju. Obiecaliśmy im praworządność - a skazaliśmy biskupa Kaczmarka, o którym każdy człowiek wie w Polsce, że jest niewinny. Obiecaliśmy im wolność słowa i myśli - a pokazaliśmy im sowieckie czołgi w Berlinie, kiedy rozwścieczeni Niemcy nie mogli już dłużej milczeć.

W imię czego mamy wymagać od nich wiary w miłość jednego, samotnego i bezinteresownego człowieka? Niełatwo być sprawiedliwym z Gomory.”

Zapytałem go, czy gdyby był ich obrońcą - poruszyłby w swym przemówieniu

obrońcym to wszystko, co powiedział. „Oczywiście”, powiedział, „ale tylko w jednym wypadku”. - „W jakim?” - zapytałem mądrze. - „Gdyby ich proces toczył się przed międzynarodowym trybunałem w Hadze.”

W dwa lata później polskim bestsellerem stała się książka Leopolda Tyrmanda Zły. Tyrmand, błędnie oddając atmosferę warszawskiej draki, warszawskiej ulicy i knajpy, zniszczył swoją książkę demonizując zbrodnie w Polsce. Bohaterowie Tyrmanda strzelają do siebie z broni palnej, ścigają się samochodami, zorganizowani są w gangi, tworzą organizacje o charakterze zbrodniczym i tak dalej. Są złoczyńcami w wielkim stylu; tymczasem styl polskiej zbrodni jest nędzny - rabunek, gdzie zabitemu odbiera się sto złotych. Bójka po pijanemu o miejsce w kolejce do kina; kradzież pary butów; jakaś mała afera w handlu uspołecznionym - oto jest styl polskiej zbrodni. Potem na szczycie trochę się poprawiło: myślę o „aferze mięsnej”, „garbiarskiej” i „włókienniczej”. Ale cóż zrobić: ulubionym aktorem Tyrmanda jest Humphrey Bogart. Moim także.

Wróciłem do Warszawy i usiłowałem napisać swój reportaż; wyrzucono mi dwie trzecie. Skrótów dokonał Lasota. Kiedy to piszę dzisiaj, Lasota nie jest już naczelnym redaktorem Po prostu. Lasota pewnego dnia został posłem na Sejm Rzeczypospolitej Ludowej; przykro mi. Lasota był najbardziej przerażonym pracownikiem w Po prostu. Lasota pewnego dnia został posłem na sejm - najpopularniejszym obok Dymyzy człowiekiem w Polsce; o jego mandat poselski upominali się studenci - ale ten człowiek był tchórzem. Pismo robiła Hanka Bartkowska, która z tej szmaty, jaką było Po prostu przed końcem roku pięćdziesiątego piątego, zrobiła najbardziej czytane i ukochane pismo w Polsce. Kiedy ja zacząłem pracować w Po prostu i wyzebrałem dla swego działu prozy od pięknej Miry Michałowskiej jej tłumaczenie jednego z najlepszych opowiadań Hemingwaya „Czyste, jasno oświetlone miejsce” - Lasota kazał je drukować na ostatniej stronie. Kiedy napisałem swoje opowiadanie „Pierwszy krok w chmurach” - Lasota wyrzucił mnie na zbitą mordę; poszedłem do Wilka Macha i Mach wkleił je do Nowej Kultury.

Natychmiast po publikacji Bratkowska wpadła na mnie jak szpic na garbatego:

- To ty bydlaku swoje najlepsze opowiadanie drukujesz w Nowej Kulturze, a nie w Po prostu. Dlaczego?

- Tam siedzi twój bezpośredni zwierzchnik, a mój naczelny redaktor - powiedziałem wskazując na drzwi Lasoty. - On ci już wytłumaczy dlaczego.

Bratkowska zrobiła piekło Lasocie. Cóż jednak z tego: do Warszawy przyjechał teatr Bim-Bom pod kierownictwem Kobieli i Cybulskiego z drugim programem. Pierwszy program Bim-Bom był uroczy; drugi kretyński. Ktoś wchodził i mówił: „Nic.” Potem wylatywał;

wchodził ktoś drugi i mówił:

„Nic” I znów wylatywał. Robiło się ciemno, a potem robiło się jasno.

Puszczali bombę atomową. Pękały jakieś balony i to miało nam się kojarzyć z rozbitymi marzeniami. A przecież wszyscy wiemy, że pęknięta guma kojarzy się nam przede wszystkim z poważnym wydatkiem na doktora, z ryzykiem, że przesiadamy się w pudle i z cholerną awanturą ze strony żony. Potem wszedł jakiś anioł i grał na bałałajce. Potem wleciał szatan, wyrwał aniołowi bałałajkę i strzelał ze straszaka. Potem jakiś zwariowany cyklista przejechał przez scenę; nie było go. skurwysyna, pół minuty, a tu nagle wleciała Zyskindówna i coś szczebiotała, że już nie będzie wiosny. A potem wszyscy już szczebiotali, że już w ogóle niczego nie będzie. I tak bez końca. Napisałem o tym artykuł i Lasota wyrzucił mnie za drzwi. Innym się podobało - podobało się i Lasocie, chociaż na przedstawieniu nie był.

Podobało się większości - podobało się i Lasocie.

Również i w innym wypadku moja kariera sprawozdawcy sądowego zakończyła się w ten sam sposób. Pojechałem na proces pana Władzia Mazurkiewicza; Mazurkiewicz zapraszał rozmaitych ludzi na wódkę i potem na przejażdżkę samochodem, z tym jednak, że nie rozstawał się z nimi w pocałunkach nad ranem, lecz wprowadzał im kulę w tył głowy. Proces był jedyny w swoim rodzaju: Mazurkiewicz był szpiclem i prowokatorem UB i świadkowie bali się otworzyć mordę na procesie. Wszyscy wiedzieli, że pan Władzio jest mordercą, ale wszyscy myśleli, że wykonuje wyroki swych mocodawców z UB.

Trzeba pamiętać, że proces Mazurkiewicza toczył się przed Październikiem.

Proces był kompromitacją: świadkowie bali się mówić, prokurator zřęcznie zmieniał temat; zramolały obrońca Mazurkiewicza bronił go posługując się tezą, że Mazurkiewicz jest urodzonym mordercą, typem patologicznym o wrodzonych skłonnościach zbrodniczych, a zupełnie uszedł jego uwadze fakt, że jego klient-wariat był o tyle przytomny, że przywiązywał się uczuciowo do precjozów, będących własnością jego ofiar - ofiary peklował u siebie w garażu pod betonem. Proces był pośmiewiskiem; było sprawą oczywistą, że ludzie bali się mówić, że Mazurkiewicz zřęcznie kolportował informacje o swojej współpracy z UB; jest nie do pomyślenia, aby podobny wypadek mógł się zdarzyć w państwie, gdzie policja zachowuje chociaż pozory przyzwoitości. Ale nie był to proces przeciwko Mazurkiewiczowi; był to proces przeciw całemu miastu. Hoffmokl-Ostrowski, którego dopadłem z prośbą o wywiad, zaczął mi tłumaczyć, że Mazurkiewicz ma tak zwanego „zeza widlastego”, co jest najlepszym dowodem, iż jego zbrodnicze skłonności są wrodzone i że Mazurkiewicz nie ponosi za nie winy. Dzisiaj bredziła, a ja słuchałem. Nagle mecenas Ostrowski pokrył się

trupią bladością.

- Panie mecenasie? - zawołałem. - Może wody? Co się stało?

- Pan ma także „zeza widlastego”? - wybełkotał Ostrowski i szybko się ze mną pożegnał. Napisałem o tym artykuł „Proces przeciwko miastu”; Lasota wyrzucił mnie won.

W końcu roku pięćdziesiątego piątego wielki syn Warszawy, Kazimierz Brandys, napisał opowiadanie pod tytułem: „Nim będzie zapomniany”. Chodziło tu o Czesława Miłosza, który zdradził Polskę i pozostał na Zachodzie.

Kazimierz Brandys nie zawiódł swoich czytelników: również i to opowiadanie było kretyńskie, tak jak i wszystkie pozostałe dzieła.

Ale w parę miesięcy później w duszy Brandysa zaszła metamorfoza i napisał opowiadanie pod tytułem „Obrona Grenady”. Że niedobrze, ale że będzie lepiej. Niedobrze było dlatego, że musiało być niedobrze, ale od tej chwili - ogólna buźka i spokój. Również i tym razem Brandys nie sprawił niespodzianki swoim czytelnikom i nie podważył ich zaufania. Epos Brandysa rozłożył fachowo Artur Sandeauer, człowiek bez złudzeń, który to dzieło nazwał, a właściwie wyśmiał, określając je mianem „oportunistycznego bohatera”. W tym czasie przyszedł do redakcji pan Maruś Perelmann i przedstawił Lasocie projekt, aby „Obronę Grenady” wydrukować na wkładce i urządzić nad tym specjalną dyskusję w Klubie Krzywego Koła. Lasota był wtedy u szczytu euforii i zgodził się natychmiast; Po prostu patronowało

Krzywemu Kołu. Ale ja wpadłem we wściekłość i poszedłem do Lasoty.

- Lilek - powiedziałem. - Wyrzuć Perelmana razem z jego zasraną „Obroną Grenady”. Szkoda Po prostu dla tego rodzaju rzeczy. Albo drukujemy debiutantów, w których wierzymy, albo drukujemy pisarzy, którzy się nie kurwili. Nie czarujmy się. To nie jest O.K., jeśli taki polski poeta jak Miłosz wybył z kraju. A ten tu nagle przeszedł metamorfozę. Won Brandysa.

Lasota nie chciał nawet słuchać, wydrukowali „Grenadę” i urządzili nad nią dyskusję. Od tej historii sprawa Po prostu przestała mnie interesować.

Spróbowałem jeszcze raz: napisałem artykuł o Dostojewskim - Lasota wyrzucił mnie won. Postanowiłem mu zrobić dowcip: zaniósłem Dostojewskiego do Trybuny Ludu, gdzie mi wydrukowali i nawet zapłacili. - Lasota, poseł na sejm, redaktor pisma, które było jego symbolem, bał się drukować to, co tak chętnie drukowała Trybuna Ludu - organ Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Dla Lasoty artykuł był za bardzo niebezpieczny; u Staszka Brodzkiego przeszedł jak woda.

Czy postępuję słusznie, pisząc to wszystko o Lasocie właśnie teraz, kiedy nie jest już

ani redaktorem Po prostu, ani posłem na Sejm PRL? Nie wiem, nie piszę o Lasocie, jakim jest dzisiaj, ale jakim był wtedy. Pamiętam, że byłem kiedyś świadkiem rozmowy pomiędzy amerykańskimi prawnikami; chodziło o to, czy należy stracić tego gagatka imieniem Cyryl Chessman. Argument przeciw egzekucji był tego rodzaju, że człowiek, który przesiedział dwanaście lat w więzieniu, zmienił się, i jeśli nawet nie można nowo zacząć życia w społeczeństwie, to należy go pozostawić przy życiu. Kontrargument był prosty: egzekucję należy wykonać. Nie zabijamy go za to, kim jest dzisiaj, ale za to, kim był niegdyś. Lasota był tchórzem.

Ale czy Po prostu miało szansę pozostania pismem atrakcyjnym, bojowym i prawdziwym? Nie widzę potrzeby odpowiadania na to pytanie [...] i tylko nie zapominając o tym na chwilę, trzeba myśleć o Polsce i starać się Polsce pomagać. Każde inne myślenie na temat Polski jest myśleniem nie-Polaka, jest myśleniem dozorca niewolników i głupca. Oczywiście, że Po prostu tej szansy nie miało; i każdy, kto myśli inaczej, wyrządza krzywdę tym wszystkim dobrym i czystym ludziom, którzy tam pracowali; którzy chodzili kilometrami po błocie zakładając kluby dyskusyjne i pisząc o ludziach, którzy otrzymali nakaz pracy, i starali się tym ludziom pomóc. Pismo miało świetnie postawiony dział reportażu terenowego; i ci tam, łąjący po błocie, niedożywieni i chudzi, to byli właśnie najlepsi ludzie. O ile dobrze pamiętam, mieliśmy w redakcji sześciu gruźlików - a więc co drugi był chory na TB. Partia, ze swego punktu widzenia, rozegrała bezbłędnie sprawę tego pisma. Po prostu pracowało dla partii; Po prostu kołysało masy; Po prostu było pierwszym pismem w Polsce, które przeprowadziło wywiad z Władysławem Gomułą; Po prostu walczyło o Gomułę i Po prostu zostało przez Gomułę zniszczone.

Po prostu przed październikiem roku pięćdziesiątego piątego było pismem przeznaczonym dla studentów; osiemdziesiąt procent pisma wracało z powrotem na przemiał. Po przerwie wakacyjnej (Po prostu przestawało wychodzić każdego roku na przeciąg dwóch miesięcy: podobnie jak jedyne pismo na świecie i w ogóle) Po prostu zaczęło się rozchodzić w setkach tysięcy egzemplarzy i kiedy dziś przeglądamy stare roczniki; widzimy na okładce wciąż zwiększającą się liczbę nakładu, podaną w cyfrach. Po prostu przestało być pismem dla studentów, a miało stać się pismem młodej inteligencji; stało się pismem całego narodu. Po prostu przeprowadziło akcję pomocy dla młodych artystów; pamiętam, że mój bezpośredni przełożony wysłał mnie za miasto, aby ich odszukać; a ja godzinami latałem po jakichś poddaszach i patrzyłem, jak żyją te głodomory. Po prostu pierwsze w Polsce zaalarmowało opinię i tak zwane „czynniki”, opisując losy ludzi, którzy po ukończeniu studiów wyższych dostawali nakaz pracy i marnowali się na prowincji. Po prostu pierwsze w Polsce poruszyło

sprawę bohaterów Armii Krajowej. Po prostu pierwsze w Polsce zademonstrowało styl życia książąt socjalizmu, opisując sklepy za „żółtymi firankami” - i to pozostanie zasługą takich ludzi jak Hanka Bratowska, Misza Grzelak, Janusz Chudzyński, Jurek Urban i inni. Moim bezpośrednim przełożonym był Juliusz Garztecki; mówi się o nim, że jest czy też był pracownikiem UB. Nie wiem. W Polsce o ludziach z tak zwanego środowiska mówi się zazwyczaj tylko trzy rzeczy: że są pracownikami Urzędu Bezpieczeństwa, pederastami lub pijakami. Trudno mi na ten temat coś sensownego napisać, wiem, że Garztecki pracował dla Po prostu jak biedny diabeł i stale mnie opieprzał; o ile dobrze pamiętam, to właśnie on poruszył sprawę rehabilitacji bohaterów Armii Krajowej. Ale jak już powiedziałem; marksizm nie pomaga człowiekowi w zdobyciu rozumu; dialektyka jest wiedzą nie o tym, jak należy myśleć, ale jak powinno się myśleć. Kiedy Po prostu zaczęło myśleć na swój sposób - zostało rozwiązane.

Błąd Bratkowskiej i innych członków kolegium polegał na tym, że dopuścili do współpracy rozmaite szumowiny, które z chwilą kiedy Po prostu stało się pismem numer jeden - natychmiast zjawily się w naszej redakcji przy ulicy Wiejskiej. Lasota nie ponosi odpowiedzialności za ten fakt, ponieważ był tchórzem; ale Hanka powinna była wyrzucić ich wszystkich won. Ludzie rozmaicie mówią o Hance; ja wiem o niej tylko najlepsze rzeczy. Kiedy dostałem od Jerzego Andrzejewskiego jego genialne opowiadanie „Ucieczka” - Lasota począł się trząść ze strachu. Hanka zgwałciła Lasotę i Lilek zaakceptował. Potem dostaliśmy tysiące listów od ludzi; iż to najlepsze opowiadanie jakie Jędrzej Andrzejewicz napisał; Sam Jędrzej Andrzejewicz uważał „Ucieczkę” za opowiadanie słabe i nieudane; wyzebrałem „Ucieczkę” klęcząc u niego na kolanach i całując go po ręce; aż w końcu rozcałowaliśmy się ogólnie. Nieszczęściem Jerzego jest niedocenianie olbrzymiego talentu danego mu przez Boga i brak szacunku w stosunku do siebie samego; brak dumy, na miejsce której się zjawiała pycha. Ten człowiek jest tylko niszczycielem - a wmówił sobie, że jest moralizatorem. Idioci z „Filmu Polskiego” nie wiedzą, że nawet przy ich całkowitej i nawet wręcz zastraszającej nieumiejętności, jeśli chodziło o robienie filmów - z „Uciezki” mogliby zrobić najwspanialszy film o wojnie. Nawet pułkownik i profesor Aleksander Ford nie mógłby spieprzyć „Uciezki”, a przecież on potrafił spieprzyć wszystko.

I jeszcze o Hance: kiedyś powołano mnie na komisję wojskową i dostałem wezwanie do odbycia zasadniczej służby wojskowej. Przyszedłem do redakcji i zaszedłszy na trzecie piętro do hali maszyn, zacząłem pisać list do jednego ze swych znajomych reżyserów, że nie mogę mu, niestety, napisać scenariusza, ponieważ, jak mówi pieśń, „A on do wojska był przynależniony, a ona za nim płakała...” W liście tym użyłem zwrotu: „Polsce bardziej

potrzebni są szpicle... od dziennikarzy.” Chodziło o to, że ci, którzy zgłaszali się do komisji wojskowej do służby w milicji, nie potrzebowali odbyć tak zwanej „służby zasadniczej”. Pisałem ten list dygocząc ze wściekłości, po czym wykręciłem papier z maszyny i nie zauważyłem, iż z przyzwyczajenia założyłem kalkę - kopię listu, jako rasowy polski konspirator, zostawiłem na stole.

W dwie godziny później wezwał mnie Lasota. Wyglądał jak Jasiński, młodzian piękny i posepny.

- Słuchaj, stary - zaczął redaktor najbardziej bojowego pisma w Polsce.

Muszę cię prosić, abys zgłosił podanie o dymisję.

- Dlaczego?

Tragicznym gestem Lasota wyciągnął z szuflady kopię mego listu i pokazał mi ją. Oczywiście Bratkowska załagodziła całą sprawę. A kto przyniósł kopię tego listu do Lasoty? Maszynistki; osiemnasto- i dwudziestoletnie dziewczyny, z którymi się flirtowało. I po co tym ludziom niepodległość?

Niech pozostaną do końca świata stróżami braci swoich, i niech się nudzą.

Kiedy piszę o tym, przypomina mi się historia, jaką przeżyłem w Izraelu.

Przyjaciel mój, Jerzy Buchbinder-Press, znalazł mi znakomitą pracę: a mianowicie w hucie. Trzeba pamiętać, że na zewnątrz było pięćdziesiąt stopni ciepła, a na sali stał piec o temperaturze dwóch tysięcy stopni Celcjusza. Piekło, a ja w dodatku pracowałem „na czarno”, gdyż nie miałem pozwolenia pracy. Tak więc kolega Buchbinder-Press siedział w kawiarni i gładząc swą poważną brodę załatwiał interesy, czyli - jak to się fachowo mówi w Izraelu - „sze kręcił”, ja ładowałem szesnaście i pół tony materiału do pieca, prowadząc rozmowy towarzyskie ze swym majstrem, panem Szapiro. W tej fabryce wszyscy wiedzieli, że nie nazywam się Joram Buchbinder-Press, tylko po prostu Hłaskower - od dyrektora fabryki do ostatniego łachudry, który wynosił śmieci z sali. Po paru miesiącach dostałem lepszą pracę; przyszedłem więc do fabryki, aby rozstać się ze wszystkimi w pocałunkach. I nagle jeden z nich nie chciał mi podać ręki.

- A dlaczego?

- Bo ty jesteś szajgec, a nie Joram Bychbinder-Press.

- Miałeś pół roku czasu - powiedziałem. - Dlaczego nie poszedłeś na policję i nie powiedziałeś im?

- Bo kiedy tu przyszedłeś, wiedziałem, że jesteś głodny i że potrzebujesz pracy. Ręki ci nie podam. Niech będzie przeklęty twój naród i ty sam, i twoja ziemia.

Tak się dzieje w Izraelu z Żydami, którzy przez dwa tysiące lat tułali się po świecie;

bici, torturowani, opluwani, i pędzeni przez wszystkie więzienia i lagry świata. Państwo Izrael powstało w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym; w czasie walk o Jerozolimę niesubordynowanych żołnierzy karano w jedyny sposób - kazano im na pewien czas odejść z linii walki; to była najgorsza kara dla żołnierza izraelskiego - dla Żyda, który przez setki lat był przedmiotem drwin i szyderstwa. Żydów raniono tylko dlatego, że nie chcieli zapomnieć o tym, że wchodząc do domu mówią:

„Słuchaj Izraelu. Jeden jest Bóg i jedna jest ziemia”. I oni mają swoją ziemię; i jeśli rzeczywiście istnieje Bóg i miłosierdzie - nigdy jej nie tracą. Każdy człowiek wierzący naprawdę w Boga powinien nosić na szyi gwiazdę Dawida obok krzyży tak długo, aż ostatni antysemita nie zostanie zabity i dopóki ciało jego nie zamieni się w proch, które ze wstydem przyjmie cierpliwa ziemia.

Karierę w Po prostu skończyłem po wydrukowaniu „Obrony Grenady”.

Przestało mnie to wszystko interesować; przychodziłem tylko pierwszego po pieniądze - tym niemniej szkoda mi tego pisania. Nie szkoda mi tylko tego człowieka, który w chwili gdy Po prostu zamieniło się w pismo młodej inteligencji; uparł się; aby zamieścić jego program skrzydlate słowa „O inteligencji”, pióra pewnego Rosjanina, który wyjaśnił nam w referacie wygłoszonym na Xviii Zjeździe WKP (b), że inteligenci także są w jakimś stopniu ludźmi. Rosyjskim myślicielem był człowiek nazwiskiem Stalin; nie należy dodawać, kto uparł się, aby wydrukować jego tekst. W ogóle trzeba pisać jak najkrócej i żeby było umownie: kiedy kolega Kape wszedł za mną w roku 1949 do Spółdzielni Kamaszników w Legnicy, na zapytanie kierownika:

„Czego pan sobie życzy” wyjaśnił życzliwie: „Kasy” i pokazał przy tym TT.

Tak właśnie trzeba. Tak skończyła się moja kariera reportera.

Ja w tym czasie nie miałem jeszcze mieszkania i sypialiśmy z kolegą Berezą częściowo na Dworcu Głównym - częściowo byliśmy goszczeni przez poszczególne komisariaty i Izby Wyrzeźwień. Wreszcie chwilowo ulokowałem się u innego kolegi, mieszkającego u babki. Kolega ten nienawidził alkoholu, natomiast był miłośnikiem cudzołóstwa. Ale cóż zrobić z babką-staruszką? Proste; my mieszkaliśmy na Powiślu - więc kupowało się dla babki bilet do kina, gdzieś na Ochocie. Kino dwie godziny, jazda tramwajem trzy godziny, to już mamy pięć. W tym czasie można co nieco zdziałać. Po jakimś czasie babcia kolegi zaczęła mówić stylem bohaterów filmowych.

Mówiła na przykład: „Ty, Marek. Kiedy mówisz do mnie, to trzymaj ręce opuszczone, bo może być nieprzyjemnościunia”. Kiedy inny kolega przychodził, aby przywitać się z babką, babka odpowiadała: „Nie podaję nigdy ręki mańkutowi. To mi nieraz ocaliło życie”.



Albo jeszcze inaczej:

„Nie bądź taki równiak. Mark. Pamiętaj, że przyjechałeś do Frisco, aby odpocząć i nabrać zdrowia.” I wszystko szło dobrze, ale mój przyjaciel-erotoman przechytrył. Wyświetlano czterogodzinny film radziecki pod tytułem Admirał Uszakow. Cztery godziny kina i trzy tramwajem - idealna sytuacja. Akurat, kiedy dziewczyny zgodziły się oddać nam to, co miały najświętszego, wpadła babka.

- To skandal - zaczęła krzyczeć. - To chamstwo! To zwierstwo! To niedopuszczalne! To ohyda!

Ale nie chodziło jej wcale o nagie dziewczęta, jak myśleliśmy z początku; otóż w filmie Admirał Uszakow występował jakiś człowiek o wyglądzie podleca: admirał Nelson. Jego partnerką była jakaś dziewica typu tych, które spotykamy nocą na Chmielnej i które klepią się zachwycająco po tyłku krzycząc: „No co?” Będziemy dziś katować to dupsko?” - Lady Hamilton; ubrana w dodatku w nocną koszulę z koronkami na zasadzie szczytu wykwintu. Admirał Nelson podszedł do niej i demonicznie mrugając brwiami wyciągnął ku niej jedyną rękę wołając przy tym tubalnym basem:

- Kak pożywajecie, ledi Gamilton?

I tego nam babka wybaczyć nie mogła. Znów mnie wyrzucono. Pamiętam, jak szedłem Krakowskim Przedmieściem w owe nieśmiertelne dni października, a koledzy zatrzymali mnie przed Uniwersytetem.

- Przyjdź dzisiaj wieczorem na Żerań - powiedzieli. - Będą rozdawać karabiny.

- A po co mi karabin? - zapytałem.

- Będziemy się bić.

- Odłóżcie, panowie, ruchy wolnościowe do jutra - powiedziałem. - Dzisiaj wieczorem jestem zaproszony na imieniny do Kropki Minkiewiczowej. Nie mogę nawalić.

I poszedłem dalej.

## GOOFY THE DOG

Czytając ostatnio jeden z numerów Kultury natrafiłem na anonimowy artykuł zatytułowany „Głos z kraju”; autor artykułu mówiąc o stosunku Polaków do Ameryki wspomina, że w czasie wojny koreańskiej Polacy przechodząc koło Ambasady Amerykańskiej zdejmowali czapkę, aby oddać honor gwiazdzistej fladze. I ja również należałem do nich; byłem uczniem Państwowego Technikum Teatralnego, skąd wyrzucono mnie na rok przed wybuchem wojny koreańskiej. O ile dobrze pamiętam, Ambasada Amerykańska mieściła się w Alejach Ujazdowskich, a nasza szkoła mieściła się w gmachu YMCA przy ulicy Konopnickiej. Po zakończonych lekcjach szliśmy Alejami Ujazdowskimi i zdejmowaliśmy czapki przed Ambasadą, a stojący tam żołnierz patrzył na nas z pełną zainteresowania życzliwością, jak zazwyczaj poświęca się garbusom i idiotom.

Chodziliśmy również do Ośrodka Informacyjnego przy Ambasadzie U.S.A. Nikt z nas nie znał wtedy języka angielskiego, ale oglądaliśmy ilustracje w takich pismach jak Life czy Time oraz amerykańskie książki i czasopisma.

Czasami Ośrodek Informacyjny urządzał projekcje filmów, chodziliśmy tam, a po pokazie zgarniali nas tajniacy z pobliskiego komisariatu przy ulicy, zdaje się, że Piusa. Tam nas legitymowano i opieprzano, odzyskanie wolności trwało zawsze parę godzin; miało to te dobre strony, że obejrzyany uprzednio film można było przedyskutować w tym samym gronie widzów, czekających na swoją kolejkę bez paseczków, bez sznurowadełek, bez krawacików. I tak do następnego razu.

Na pokazach filmowych w Ambasadzie zapoznałem się z osobnikiem imieniem Goofy the dog. Goofy ma stale świetną intencję i dobre pomysły, ale zanim uda mu się zrealizować jeden z tych pomysłów, mający na przykład na celu uszczęśliwienie gospodarza domu lub znajomego buldoga z naprzeciwka, kochającego swego syna - powoduje krótkie spięcie, katastrofę samochodu-cysterny lub po prostu wsadza łapę w drzwi i wyciem pełnym bólu budzi właśnie tego buldoga, któremu chciał zrobić przyjemną niespodziankę, no i dostaje od niego po mordzie. Odtąd Goofy stał się dla mnie obok Mikołaja Stawrogina ulubioną postacią; i nie będzie chyba w tym pychy i przesady, jeśli powiem o sobie: Goofy to ja. Tak jak Flaubert powiedział:

„Madame Bovary c'est moi.

W tym czasie zaczął działać niejaki Stefan Martyka, aktorzyzna trzeciorzędny, który prowadził w Polskim Radiu audycję pod tytułem „Fala 49”. Bydlę to włączało się przeważnie w czasie muzyki tanecznej, mówiąc:

„Tu fala 49, tu Fala 49. Włączamy się.” Po czym zaczynał opluwanie krajów imperialistycznych; przeważnie jednak wsadzał szpilkę w pupę Amerykanom mówiąc o ich kretynizmie, bestialstwie, idiotyzmie i tego rodzaju rzeczach - następnie kończył swą tyradę słowami: „Wylączamy się.” Pewnego dnia jakiś student położył Martykę trupem; z początku sądzono, że jej to zemsta Jana Cajmera, który był wtedy dyrektorem orkiestry tanecznej Polskiego Radia; w czasie audycji Cajmera włączał się najczęściej. Wkrótce jednak ustalono, że morderca Martyki był stałym gościem Ośrodka Informacyjnego Ambasady U.S.A. i Ośrodek zamknięto; moja przyjaźń z psem Goofy uległa wieloletniej przerwie, a Martyka wyłączył się na zawsze.

Nieszczęśliwa miłość Polaków do Amerykanów była już przedmiotem wielu publikacji, reportaży, rozpraw. Istotnie, nie jest za dobrze. W filmach amerykańskich Polacy grają przeważnie narkomanów, szpiegów lub małych złodziejasków. Posłuchajmy, co na ten temat mówi znany myśliciel polski Jerzy Putrament w swej książce Na literackim froncie.

Myśliciel Putrament: „Jest jakaś kryminalna powieść amerykańska. Rzecz dzieje się w Chicago. Jest upalne popołudnie, detektyw prywatny siedzi w swoim biurze i w półdrzemce słyszy, jak w sąsiednim pokoju sprzątaczkę kłócą się ze sobą - po polsku.”

A potem:

„W ogóle Polacy (Czy raczej Amerykanie polskiego pochodzenia, tak brzmi dziś ich oficjalna nazwa) dość często trafiają do współczesnych dzieł literatury amerykańskiej. W klasycznie degenerackiej, „psychoanalitycznej” sztuce Tramwaj zwany pożądaniem - bohaterem jest Polak, ukazany jako bydlę.

Znęca się on nad biedną Amerykanką, mimo iż ta jest umyślowo chora. Gdy inna postać ze sztuki chce go obrazić, mówi nań Polack.”

Tyle myśliciel. Jednak w dowód szacunku dla ogromu jego umysłu pozwolę sobie zauważyć, że to nie jest zupełnie tak, jak to Putrament streścił własnymi słowami. Niewątpliwie Kowalski nie należy do tych, z którymi trzeba się od razu zaprzyjaźnić i pożyczyć im pieniądze; jednak uwadze Putramenta uszło, że biedna Amerykanka była kiedyś tak zwaną „Córą Koryntu” z zawodu czy też z zamięłowania; i to właśnie się Kowalskiemu bardzo nie podoba. Nieszczęśliwa Amerykanka przez cały czas prowokuje naszego nieszczęsnego rodaka; tak, że tenże gwałci ją w końcu, aby mieć to wreszcie z głowy, przy czym ta kaleka jest wyraźnie usatysfakcjonowana; nawet do tego stopnia, że wariuje kompletnie i idzie do domu dla obłąkanych.

Aby pomóc Putramentowi w jego dalszych lamentach nad losami naszych rodaków w U.S.A. i ja pozwolę sobie przytoczyć parę co celniejszych przykładów. W książce Nadzy i

martwi również występuje nasz rodak pan Kaczyński; z zawodu sutener z Chicago. W filmie Siła tanków występuje natomiast inny nasz rodak, który nie mówi w ogóle nic, lecz tylko wyciąga od czasu do czasu sztylet, aby położyć trupem kolejnego Niemca, Araba, czy też tam kogoś. Nasz rodak tylko raz otwiera mordę, aby zdemaskować szpiega niemieckiego, który udaje angielskiego jeńca. Po prostu pyta go w języku niemieckim: „Która jest teraz godzina, przyjacielu?” i szpieg automatycznie odpowiada w macierzystym języku: „Szósta.” Polak wyciąga sztylet, podryna mu gardło, Niemiec pada trupem, rodak spogląda na zegarek i pochylając się nad konającym w męczarniach nikczemnikiem, informuje go życzliwie - również w języku niemieckim: „Pański zegarek spieszy się o pięć minut.” Chowa sztylet, akcja toczy się dalej.

W filmie Premingera Człowiek o złotym ramieniu także występuje nasz rodak; dla odmiany morfinista, który właśnie opuścił szpital dla narkomanów. Styl jego życia jest mało skomplikowany; oszukuje w karty, wstrzykuje sobie morfinę; dostaje po mordzie od innych graczy; wreszcie żona jego wyskakuje z dziesiątego piętra i mimo trzepotania rąk nie udaje jej się zmniejszyć szybkości lądowania; Frankie-Machine zostaje czarującym wdowcem. Jest to jedyny Polak, któremu powiodło się w Stanach od czasu Tadeusza Kościuszki; z żony zostaje klej, a w bohaterze zakochała się Kim Novak i widzimy, że Frankie-Machine - smutny czegoś na widok kałuży pozostałej z żony - odzyskuje humor i zdrowie, gdy Kim Novak przytula się do niego i gdy razem odchodzą w dal.

Zdawałoby się, że Fiodor Michajłowicz Dostojewski nie przesadzał w swych propolskich sympatiach, ale Amerykanie postanowili go skorygować. W filmie Bracia Karmazow, jak pamiętamy, uwodzicielem Gruszeńki jest niejaki Gronowski - Polaczyszka. Grudzieńka jedzie do niego; Gronowski nie poświęca jej ani chwili uwagi; jest pochłonięty szwajcarską grą w karty. Nieszczęsna kobieta siedzi i tępym wzrokiem obserwuje swego uwodziciela, przyszczatego statystę.

Wchodzi Yul Brynner - Dymitr Karmazow. Ogarnia wszystkich palących spojrzeniem. Stawia na stole puzdro. Gruszeńka - Maria Schell - podlatuje do stołu i otwiera puzdro. My widzimy dwa pistolety ogromnego kalibru, że taki rok na naszych wrogów.

Maria Schell: - Dymitr. Po co jest ta broń?

Yul Brynner: - Aby zabić.

Maria Schell: - Ależ Dymitr! To straszne, co chcesz uczynić!

Yul Brynner (po chwili zadumy): - Ja wiem. Ale ja jestem Karmazow!

Dymitr siada w kącie i obserwuje Polaczka. A my widzimy, że Maria Schell już nie kocha Polaka, tylko Dymitra. Wchodzi właściciel knajpy wnosząc samowar; Polak w sensie

podziękowania za czaj-kiptok policzkuje nieszczęsnego Rosjanina. Rosjanin patrzy wzrokiem zbitego psa na Dymitra.

Dymitr podnosi się powoli i chwytając za włosy Polaczka stawia go w pozycji na baczność. Następnie bije go w ten sposób, że najpierw uderza zewnętrzną stroną lewej dłoni w twarz z prawa na lewo, tak aby następnie zewnętrzną stroną prawej dłoni przerzucić go z powrotem. Polak pada bez zmysłów uderzając głową o podłogę.

Yul Brynner (wyjaśnia życzliwie): - To nie ładnie bić ludzi, panie!

A my widzimy, że Maria Schell już nigdy nie przestanie kochać Dymitra. W Braciach Karmazow Dymitr nie chce zabijać Polaczyszki, lecz zakupiwszy odpowiednią ilość ciągutek dla Cyganów, szampana i cygar, postanawia „odebrać sobie samobójstwo” o świcie, kiedy hulanka będzie u szczytu. Ale Amerykanie skorygowali ponurego Rosjanina; Polak leży na podłodze już do końca akcji. To są nasze interesy w Hollywood.

Myśliciel Putrament nie był jednak zadowolony z Polaków będących bohaterami powieści i sztuk amerykańskich. Postanowił poprawić sytuację w swoim eposie pod tytułem Arka Noego. Jednak coś tu nie wyszło. Polaczek jest tym razem szpiegiem, pracującym dla wywiadu jakiegoś bliżej nieokreślonego państwa azjatyckiego, a jego przełożonym jest jakiś straszliwy Kitajczonok Li. Polaczek podlizuje mu się, ale na ustach straszliwego Azjaty błąka się tylko pogardliwy uśmiech. Aby uzyskać dla swego bohatera tak drażniący Myśliciela brak sympatii ze strony innych pisarzy i aby nic nie uronić z dumy narodowej, Putrament każe naszemu rodakowi palić marihuanę, pić whisky i tak dalej. Jakaś rodaczka postanawia mu oddać to, co ma najświętszego; nasz bohater zawodzi jednak i następuje to, co Stendhal nazywa „fiaskiem w miłości”. W inteligencję nasz rodak również nie jest wyposażony przez naturę w sposób przesadny. Kitajczonok Li każe mu włożyć bombę do samolotu; Polaczek wsadza i przez idiotyzm sam wsiada do rzeczonyj maszyny. I leci; stewardessa informuje go życzliwie, że przez pomyłkę wsiadł do samolotu, w którym umieścił uprzednio bombę zegarową. Rodak szaleje ze strachu, wszyscy szukają bomby; samolot leci nad oceanem. Czas płynie; Polak skamle; bomba tyka; sytuacja poważna, gdyż i innych pasażerów zaczyna ogarniać coś w rodzaju niepokoju. Bombę do samolotu wsadzono tylko dlatego, aby zabić rosyjskiego dziennikarza; tak rozkazał Kitajczonok Li.

Była w swoim czasie opowiadka o amerykańskim pisarzu, który pisał powieść w odcinkach. Pewnego dnia przyszedł do swego szefa:

Pisarz: - Szefie. Od jutra chcę dziesięć dolarów więcej za odcinek.

Szef: - Won.

Pisarz odchodzi gwizdząc beztrósko. Szef łączy się z sekretarką i każe, aby przyszedł

Rappaport. Rappaport wchodzi.

Szef: - Rappaport. Od tej chwili będziesz pisać dalej tę przeklętą bzdurę.

Rappaport: - Tak jest, szefie.

Zgarnia nonszalanckim ruchem manuskrypt i wychodzi; szef pograża się w dalszej pracy. Za godzinę wraca Rappaport; jest zupełnie pijany i trupio blady. Kładzie przed szefem manuskrypt.

Rappaport (bełkocze): - Wszystko skończone. Otrząsam pył z moich nóg i przeklinam.

Zataczając się wychodzi; szef żąda, aby przyszedł Treppengeler.

Treppengeler wchodzi.

Szef: - Patrick. Masz od jutra dalej pisać tę hecę.

Treppengeler: - Tak jest, szefie.

Wychodzi. Po godzinie wraca trupioblady. Pijany. Rzuca manuskrypt na stół i nie mówiąc nic wychodzi. Sytuacja robi się poważna; z drukarni dzwonią.

Szef woła Najlepszego. Najlepszy wchodzi.

Szef: - Ty... i tak dalej.

Najlepszy: -O.K.

Po godzinie wraca pijany: pijany i trupioblady.

Szef: - Co jest?

Najlepszy: - Nic się nie da zrobić. Bohater wyskoczył z samolotu na wysokości dziesięciu tysięcy metrów i jest bez spadochronu. Wokół niego lata eskadra odrzutowców i strzela do niego pociskami rakietowymi. Na dole czekają już na niego trzy rekiny z otwartymi paszczami. A teraz idę.

Otrząsam pył z moich nóg i przeklinam...

Najlepszy wychodzi; szef woła pierwszego i obiecuje mu podwyżkę.

Następnego dnia ukazał się dalszy ciąg opowieści odcinkowej, zaczynający się od słów: „Nadludzkiem wysiłkiem woli, wydostawszy się z tych irytujących opresji, Mike Gilderstern powrócił do Nowego Jorku.

Nie wspomniałbym o tej ogólnie znanej anegdocie, gdyby nie mój wysiłek zmierzający do zrozumienia powieści Putramenta; pamiętajmy bowiem, że bomba tyka, a maszyna pruje przestworza. Interesowałem się kiedyś bardzo katastrofami samolotowymi i mam nawet licencję pilota sportowego; interesowało mnie przymusowe lądowanie samolotu na wodzie; samolot pasażerski istotnie ma szansę lądowania na wodzie, gdyż zazwyczaj jest wyposażony w kamizelki ratunkowe; nie ma poza tym podwozia stałego i może uniknąć kapotażu, co jest prawie zawsze rzeczą nieuchronną, kiedy na wodzie ląduje samolot o

podwoziu stałym, nie przystosowanym do lądowania na wodzie jako hydroplan. Inaczej dzieje się w Arce Noego: samolot leci dalej, mimo iż pilot wie, że bomba zegarowa musi wybuchnąć za ileś tam minut.

Wybuch, wszyscy giną. Zostaje tylko dwóch ludzi: rosjański dziennikarz i amerykański dziennikarz. Rosjanin wciąga Amerykanina na skałę i coś do siebie bratersko bełkoczą. Polaczyszka - klej. Spotkała go straszliwa kara; natomiast w galerii postaci Polaków w literaturze światowej przybyła nowa postać.

Wiliam Faulkner, pisarz nie ustępujący rangą Putramentowi widział Polaków zupełnie inaczej. W jego powieści *Dzikie palmy*, bohater Harry przyjeżdża ze swą kobietą do kopalni w stanie Utah. Pracują tam Polacy nie znający zupełnie angielskiego. Polacy ci mają osobliwy sposób załatwiania porachunków osobistych, mianowicie, jeśli ktoś przestaje im się podobać - wsadzają mu do kieszeni dynamit i dana osoba eksploduje. Polacy, na których patrzy Charlotte i Harry, mają oczy zaczerwienione z bezsenności i pracują over-time. Na pytanie Harry'ego skierowane do dyrektora kopalni, dlaczego ci ludzie pracują bez sensu, skoro i tak kopalnia zbankrutowała, dyrektor odpowiada, że Polacy i tak nie znają angielskiego i nie można im w żaden sposób wytłumaczyć, że kopalnię diabli wzięli. „To dziwni ludzie,” dodaje po chwili dyrektor kopalni. „Nie rozumieją nieuczciwości.”

We wszystkich trzech opowieściach, w Arce Noego, w opowieści o amerykańskim redaktorze i w *Dzikich palmach* występują te same elementy: niebezpieczeństwo, eksplozja, straszliwi Polacy. Byłoby rzeczą ciekawą dla badaczy literatury, aby opisać te przenikające się nawzajem elementy fabuły i myśli. Wypadnie to - z punktu widzenia fabuły - niedobrze dla Faulknera;

*Dzikie palmy* są opowieścią o miłości, której człowiek nie chce utracić; w konsekwencji jego los sprowadza się do wyboru między nicością a smutkiem.

Nie nadużywając komentarza, zaufajmy Myślicielowi. Oto co nam mówi na temat wojny koreańskiej: „Śmiertelnym wrogom narodu polskiego, Trumanom i Adenauerom, podziękujmy przynajmniej za szczerą. Za tę szczerą, której przyczyny nie trzeba szukać w poczuciu siły naszych wrogów ani wyłącznie w głupocie i bałaganie amerykańskiej maszyny polityczno-propagandowej.

Przyczyną, dla której imperialiści amerykańscy nie kryją przed nami swoich planów najazdu, zniszczenia i rozbioru Polski, jest przede wszystkim głęboka pogarda, jaką żywią dla wszystkiego, co nieamerykańskie, a już zwłaszcza dla narodów Europy Wschodniej, dla narodów słowiańskich. Jesteśmy dla nich jakąś niezróżnicowaną masą etniczną, niezdolną pojąć, niezdolną zareagować.

Histeria wojenna, która szaleje dziś w Ameryce, nie wypływa, rzecz prosta, z poczucia siły. Na odwrót, właśnie klęski w Korei pchnęły pana Harry Trumana do nowej serii nierozważnych pogroźek. Albowiem właśnie w ciągu minionego półrocza świat mógł się przekonać, jaką potężną siłą jest obóz pokoju. Klęski imperialistów w Korei i Wietnamie, rozszerzający się ruch pokoju w krajach Europy Zachodniej, w Ameryce Łacińskiej, na Bliskim Wschodzie, sprzeczność i tarcia rządów Paktu Atlantyckiego - obok sukcesów gospodarczych i politycznych ZSRR, Chin Ludowych, państw ludowej demokracji, Niemieckiej Republiki Demokratycznej - wskazują aż nadto widocznie, że szala historii chyli się na naszą stronę.”

A jaką mamy na to rękojmię, iż rzeczywiście tak jest, a nie inaczej? Nie potrzebujemy się tym w ogóle niepokoić. Myśliciel nam to wyjaśnia: „Ponad wojenne pogroźki, ponad historyczne wykrzykiwania wznosi głos Stalina, głos Jego partii. Zapowiada on drogę do lepszej ludzkości. Na tej drodze jest miejsce naszego narodu.”

Przeczytawszy powyższe, pomyślmy przez chwilę o klęskach, jakie ponieśli Amerykanie w Korei. Pułkownik Paweł Monat w swych pisanych dla Life'u wspomnieniach podaje, że były dni, w których commies tracili tysiące żołnierzy. Pułkownik Monat może tu niewątpliwie uchodzić za człowieka nieobiektywnego; pomówmy wobec tego o sukcesach gospodarczych powyżej wspomnianych. Niemcy Wschodni tak byli uradowani wzrostem stopy życiowej, że urządzili w roku 1953 demonstracje; i chyba tylko przez pomyłkę użyto przeciw nim tanków sowieckich. Rozradowani Węgrzy wyruszyli na Budapeszt w roku 1956; ale i tu ich jakoś nie zrozumiano. O sukcesach gospodarczych Polski Ludowej wypowiedział się Władysław Gomułka w swym referacie; sukcesy gospodarcze Związku Radzieckiego skończyły się zakupem kapitalistycznego zboża. Nie jestem publicystą, czego nawet nie potrzebuję wyjaśniać. Chodzi mi o co innego: Putrament powinien dostać od Amerykanów najwyższe odznaczenie wojskowe i cywilne, ponieważ działał dla nich więcej niż oni sami w Polsce.

W roku 1952 urządzono w Arsenale wystawę pod dramatycznym tytułem: „Oto Ameryka”. Nazbierano do cholery i trochę eksponatów; pistolety dla szpiegów, bomby napalmowe, comicsy zrobione z Braci Karmazow i trupy jakichś Murzynów. Skutki wystawy były straszliwe; godzinami stało się w kolejce na wejście, gdyż ludzie chcieli zobaczyć cokolwiek amerykańskiego; ludzie chcieli zebrać jakiegokolwiek informacje o kraju czterdziestu ośmiu gwiazd; ludzie chcieli przez chwilę popatrzeć na rzeczy zrobione przez ludzi zza oceanu, którzy nigdy im nie pomogą. Jest to miłość nieszczęśliwa; miłość bez cienia



wzajemności; i już chyba ostateczna.

Nasze interesy w Stanach Zjednoczonych reprezentuje pan przezwiskiem Killer-Kowalski. Jest to najbrutalniejszy zawodnik świata. Przegrywa zawsze przez dyskwalifikację; jako okrutny Polak obdarzony przez naturę zbrodniczymi skłonnościami, nie może opanować na ringu swych nikczemnych instynktów i zostaje przez sędziego odsyłany do rogu.

Będąc miłośnikiem tego rodzaju walk widziałem ostatnio w Paryżu walkę pomiędzy champion sovie'tique a champion ame'rican. Rosjanin wszedł na ring: złotowłosy pareń w złotej rubaszce, o twarzy syfilityka-degenerata.

Publiczność przyjęła go pełnym szczęścia i zachwytu wyciem: nikt nawet nie pomyślał o takiej drobnostce, że w ZSRR nie ma w ogóle sportu zawodowego, a walki amerykańskie są uznane za „zwierstwo”, tak, że champion sovie'tique musiał być urodzony nie tyle u dońskich stepów, ile raczej w okolicach Placu Pigalle, a może nawet w St. Denid. Potem wszedł na ring mistrz Ameryki: olbrzym tak straszliwy, że gdyby walki te nie były starannie wyreżyserowane, to mistrz z ZSRR musiałby pojechać wprost z ringu na mały, zielony cmentarz. Publiczność wyje i wygraża Amerykaninowi; rzucają w niego skórkami pomarańczy, paczkami zapalek i wygrażają pięściami. Zaczyna się walka: nieszczęsny Amerykanin robi wszystko, aby przegrać, ale coś to zostało źle pomyślane i złotowłosy Słowianin - mimo sędziego, który kopał Amerykanina, kiedy ten zapominając się zaczynał zwyciężać - nie dał rady fizycznie i gdzieś w połowie walki mimo pomocy ze strony Amerykanina, sędziego, arbitra, publiczności, wysiadł. Nie byłoby w ogóle o czym mówić, gdyby nie reakcja publiczności; publiczność stanowią przeważnie robotnicy, drobni rzemieślnicy i kilku znudzonych lewych intelektualistów; wszyscy oni wyli; wszyscy oni wołali: „Bрудna świnio, idź walczyć do Wietnamu.”

I to jest tragedia Ameryki: topienie milionów dolarów w lokalne wojny, których znaczenia nie rozumie robotnik włoski czy francuski. Amerykanie muszą popierać ludzi takich jak Czombe czy Li Syn Man; Amerykanie musieli odbudować Niemcy Zachodnie, Amerykanie muszą popierać generała Franco; robotnik amerykański płaci za to wszystko, ale oklaski zbiera nie Statua Wolności, lecz złotowłosy kretyn, walczący przeciw przeciwnikowi trzy razy od niego silniejszemu; i wygrywa, gdyż tak tego pragnął ci wszyscy biedni ludzie, że nie pozbyliby się iluzji, że wolność przyjdzie stamtąd, gdzie zginęli najlepsi.

Polacy wiedzą, że w razie konfliktu z Rosją Amerykanie nie dadzą ani jednego żołnierza; niemniej miłość trwa dalej. Przez wiele lat nie wyświetlano w Polsce filmów amerykańskich; wreszcie w roku 1957 zakupiono film pod tytułem „Ostatnia walka Apacza.” Apaczem był złotowłosy i błękitnooki Burt Lancaster. Premiera filmu zbiegła się dziwną

rzeczy kolejną z innym wydarzeniem: oto po dwudziestu latach puszczone w przestworza balon „Gwiazda Polski II”. Tysiące ludzi czekających przed kinem nie patrzyło nawet na balon, który wreszcie puszczone; wszyscy chcieli dostać się na Lancastera. Lancaster prowadził w tym filmie ożywioną działalność; zarzyna, strzela, wysadza w powietrze wozy z prochem; dusi kajdanami prowadzącego go strażnika mówiąc przy tym: „A teraz wróć, biały psie, do swoich, i powiedz im, z kim zaczęli wojnę” i daje mu kopniaka w tyłek; ale to wszystko było niczym w porównaniu z tym, co działo się przed kinem. Co chwila wybuchały awantury; co chwila interweniowała policja; wreszcie jacyś dwaj panowie wzięli się do noży, a żona jednego z nich poszukała niejakiego pana Zenka: jedyne go człowieka, który by umiał opanować sytuację. Wszyscy kotłowali się krzyżąc: „Gdzie pan Zenek? Gdzie pan Zenek?” Wreszcie pan Zenek nadbiegł; fachowym okiem ocenił sytuację, w locie zrzucił marynarkę i począł kłaść walczących baranem, czyli uderzeniem głowy w piersi. I nikt już nie patrzył na odlatującą samotnie „Gwiazdę Polski II”; Lancaster i pan Zenek zniweczyli trud polskich konstruktorów. Niełatwo jest pisać o stosunku Polaków do Amerykanów i do wszystkiego co amerykańskie; gładzenie o Puławskim i Kościuszcze nie zda się tutaj na wiele; lepiej więc nie operować danymi statystycznymi i nie starać się o porównanie tych dwóch kultur; nie na wiele też zda się porównywanie literatury polskiej i amerykańskiej; przynajmniej w moim wypadku z tej prostej przyczyny, iż nie mam nawet zbliżonego pojęcia o literaturze ojczystej. Przypuszczam, iż zawdzięczam to nauczycielom od polskiego, którzy męczyli mnie zawsze klasycznym pytaniem:

„Co poeta miał na myśli?”; wstrętu do czytania Pana Tadeusza nie mogę przemóc nawet i dziś. Nauczanie literatury w szkole powinno być karane kryminałem. Dziwię się, że commies nie wpadli na to; wiele arcydzieł socjalizmu jest obowiązkową lekturą w szkole; to w dużym stopniu przesądza dalsze zainteresowanie młodych ludzi tym właśnie typem literatury.

W czasie wojny koreańskiej rozeszła się pogłoska, że Polacy mają wysłać na Koreę ochotników. Nie wiadomo, kto puścił tę plotkę; być może powodem było to, iż zatrzymano wtedy o rok dłużej rocznik dwudziesty siódmy i część rocznika dwudziestego szóstego; rocznik ten w rezultacie nazwano „rocznikiem koreańskim”; i być może, iż była to rzeczywiście prawda i że spodziewając się wojny postanowiono nie zwalniać żołnierzy w myśl zaleceń Ziutka: im więcej potu na manewrach, tym mniej krwi w boju. Wielu ludzi, którzy do tego czasu wymigiwali się od służby wojskowej argumentując swą nieprzydatność anginą pectoeris, obustronną przepukliną i głuchotą - poczęło zgłaszać się nagle na ochotnika; cel tych machinacji był jasny; chodziło o to aby z wysoko podniesionymi rękami przejść do

generała MacArthura. Oczywiście, że mało przy tym myślano, iż można stracić życie z ręki tych samych Amerykanów, do których pragnęło się uciec; były to jednak lata najpotworniejsze i perspektywa utraty życia lub trwałego kalectwa nie odstraszała ewentualnych ochotników. Jednak plotka okazała się nieprawdziwa; natomiast ludzie z rocznika koreańskiego stracili szmat życia - tak się zdaje mówi w tego rodzaju wypadkach.

Urządzano wtedy masówki, na których potępiano agresję amerykańską w Korei i wiwatowano na cześć Kim Ir Sena, czy jak mu tam. Nazywano go: wielkim synem i odswabającym koreański naród. Jego przeciwnikiem był niejaki Li Syn Man: podłój pijos; kiedy indziej: cepnaja sabaka amerykańskowo imperializma. [...]

Masówki protestacyjne urządzano w sposób prosty, mianowicie po prostu zamykano bramę danego zakładu pracy lub kierownik personalny zbierał listę obecności ze sobą i można ją było dopiero podpisać po zakończeniu uroczystości; jak wiemy, każdy robotnik musiał podpisywać listę obecności dwa razy” po przyjściu do pracy i w godzinę odejścia z pracy. Tak więc protestujących było dużo; podpisywało się listy protestacyjne przeciw amerykańskim agresorom; ale ten przeklęty list można było podpisać dopiero wtedy, kiedy mówcy skończyli już swoje oracje i wtedy można było iść nareszcie do domu. Kiedy generał MacArthur zgłosił projekt użycia broni nuklearnej, powstała pieśń, którą znamy: „Truman... Truman...” i tak dalej.

Natomiast ludzie z Kresów i ze Lwowa mieli własną pieśń nadziei” zaczynała się ona od wezwania pod adresem prezydenta Trumana; ostatnia zwrotka brzmiała następująco: „Jedna bomba wodorowa i wrócimy znów do Lwowa. Choć zastaniemy same zgliszczka, jednak ziemia to ojczysta.”

Ale Truman nie puścił bani; nadzieje okazały się płonne. Nawet nadzieje na zgliszczka, z którymi zgodzono się, aby tylko wrócić na swoją ziemię.

Polacy zresztą mieli pełne prawo przypuszczać, iż nie zastaną nic poza zgliszczkami w razie wojny. To bodajże Forestal wygłosił przemówienie, z którego fragment pamiętam: „My zamienimy niebo i ziemię w ogniste piekło.

Zarzucimy je atomowymi i wodorowymi bombami. Będziemy zabijać dzieci w kołysce, starców przy modlitwie i robotników w polu. Tam, gdzie dziś są miasta, zostaną tylko dymy i pożary, wśród których błąkać się będą nasi ślepi wrogowie.” Ten tekst, wielokrotnie przypominany Polakom przez radio i speakerów kroniki filmowej, stał się, na zasadzie reakcji paradoksalnej, hymnem nadziei. Podobnie jak w szpitalach dla wariatów daje się ludziom cierpiącym na chroniczną bezsenność szklaną piekielną mocną kawę przed snem, co czasami wywołuje reakcję zwaną przez lekarzy paradoksalną.

Ponieważ obietnice amerykańskiego męża stanu uznane zostały za tekst wrogi - oczywiście musiały się spodobać Polakom. Słyszałem wtedy zdania, że autor tekstu wychowany jest na Biblii, co widać po sposobie obrazowania; i przypuszczano, iż źródłem natchnienia było w tym wypadku objawienie Świętego Jana: „I zatrąbił piąty anioł, i widziałem, jak gwiazda spadła z nieba na ziemię, a dano jej klucz studni przepaści. 2. I otworzyła studnie przepaści; i wystąpił dym z owej studni, jakby dym pieca wielkiego, i zaćmiło się słońce i powietrze od dymu studni owej...”

Natomiast zupełnie uszło uwagi ludzi porównujących tekst amerykańskiego męża stanu ze Świętym Janem, iż występuje tam również anioł prowokujący, iż czasu już więcej nie będzie; użycie wymarzonej bani może zbyt wiele spraw jak na jeden raz.

Tak więc nie puszczono bani i nie wróciliśmy do Lwowa; jednak miłość

Polaków do Amerykanów nie straciła nic na swej sile. Kiedy pracowałem jako kierowca, mieliśmy cztery zasadnicze typy samochodów: General Motor Corporation, Diamond, Studebaker i ZIS (Zwód imienia Stalina).

Arystokracja jeździła diamondami; jednak ulubionym samochodem kierowców był GMC zwany przez nas „dżemsem”. Dżems był wspaniałym samochodem; w lecie opuszczało się szybę, zwijało brezentowy dach i człowiek czuł się trochę jak Gary Cooper; trzeba przy tym dodać, że GMC wspaniale ryczał; był to górnozaworowy stukonny silnik i jeździło się tą maszyną w sposób, iż lewą nogę trzymało się w czasie jazdy wysuniętą nonszalanckim ruchem poza kabinę; to na zasadzie szczytu elegancji. Kiedy któryś z kierowców nawalał w pracy; spóźniał się lub nie wykonywał planu, sekretarz partii wzywał go do siebie mówiąc:

- Chcecie, żebym was zdjął z dżemsa, nie? Wyłamujecie się z ramy, nie?

Chcecie, żebym was z dżemsa przesadził na tego zasranego ZIS-a, tak?

Chcecie jeździć na tym zasranym ZIS-ie, żeby się z was koledzy śmieli, nie?

To po to towarzysz Stalin zmienia przyrodę i buduje tam na Wołdze, żebyście wy musieli jeździć takim pieprzonym wozem, gdzie nie ma starteru i gdzie wyskakują biegi, nie? Poprawcie się...

I człowiek poprawiał się, jak tylko umiał. Oczywiście szczytem elegancji był amerykański płaszcz wojskowy z podpinką; płaszcz taki kosztował w owych latach na ciuchach trzy i pół tysiąca złotych. Trzeba było zadowolić się amerykańską kurtką wojskową z pagonami - półtora koła. Kupiłem taką; na mojej lewej piersi wydrukowane miałem pięknie nazwisko poprzedniego właściciela: ANDERSON. Farba była tak piekielnie mocna, że nie dało się tego niczym zmyć; w obecności sekretarza partii i kierownika rady zakładowej tarłem ANDERSONA benzyną i denaturatem; nic nie pomogło. W ten sposób stałem się

najelegantszym człowiekiem na całą ulicę Sokołowską.

Pamiętamy wszyscy twarz generała MacArthura: twardą twarz starego sępa; w dodatku MacArthur nosił okulary, tak zwane „ciemki”. Karykaturzyści ze Szpilek rysowali go zawsze w ten sposób: zbrodnicza twarz ukryta za „ciemkami”, w jednej ręce bomba atomowa, drugą generał Douglas Mac Arthur dusił koreańskiego patriotę. Wtedy to jacyś cwaniacy z prywatnej inicjatywy zaczęli produkować „ciemki” i kupowało się je, chociaż kosztowały oczy z głowy. Po jakimś czasie okulary te przestały się nazywać „ciemki”; mówiło się po prostu „mekarturki”. I jeśli sekretarz partii mówił: „Nie będziemy nosić tych „mekarturek””, - to wtedy przedstawiało mu się zaświadczenie lekarskie, stwierdzające chroniczne zapalenie spojówek; po jakimś czasie wszyscy młodzi kierowcy zaczęli cierpieć na ową dolegliwość; producentów „mekarturek” nakryto i tak skończyła się sprawa.

Nie na długo; warszawscy chuligani bez trudu zorientowali się, jakiego rodzaju moda męska obowiązuje w Ameryce, i już w parę tygodni później widzieliśmy młodych ludzi w szerokich samodziałowych marynarkach; kolorowych, ręcznie malowanych krawatach; wąskich spodniach i butach na tak zwanej słoninie, czyli białej gumie. Jednak najważniejszym atrybutem rzeczonoego stylu była tak zwana plereza, czyli specjalne uczesanie głowy polegające na tym, iż nad czołem piętrzy nam się fala włosów, które z tyłu głowy schodzą się razem na zasadzie kaczycy skrzydeł. Według Wiecha plerezę dzielimy na trzy kategorie: plereza na cukier, plereza na białko i plereza na szklankę wody, gdyż - jak powiada Wiech - na ludzki rozum włosy takie nie mają prawa trzymać się kupy. Natomiast dzięki użyciu cukru plereza trzyma się przez dobę; dzięki białku przez trzy dni; plereza utrwalona przez szklaną wodę jest najtrwalsza i trzyma się przez tydzień. I dalej, kontynuuje Wiech, element ujemny plerezy stanowi fakt, że w chwili bójki towarzyskiej wystarczy tylko rozpuścić plerezę przeciwnikowi i ten natychmiast „nie zdaje sobie sprawozdania”. Jeden z bohaterów Wiecha stojąc przed sądem tłumaczy się, dlaczego pobił ciężko sześć osób i zamienił dostatnio urządzone mieszkanie w dymiące rumowisko. Młody człowiek powiada tak: „Usłyszałem tylko, jak ktoś krzyknął: <<Bigosińczak, rozpuść mu plerezę.>> Jak mnie rozpuścił, to z miejsca widzę, że nic nie widzę.” Ludzi noszących plerezy i kolorowe krawaty nazywano bikiniarzami; miało to stanowić nazwę pogardliwą; jednak młodzi ludzie nie obrażali się.

Pisząc o stosunku Polaków do Amerykanów mógłbym bez trudu wynaleźć cytaty naszych krytyków marksistowskich mówiących o nędznej i rozkładowej literaturze amerykańskiej; i skonfrontować je z tym, co pisali w parę lat później, kiedy zapoznali się już z tą literaturą. Odkryto wtedy, że Faulkner nie jest zбочeńcem i sadystą, a wielkim

chrześcijaninem i komentatorem Biblii. Hemingway przestał być podżegaczem wojennym, a stał się ostatnim wielkim romantykiem; Stainbeck skończył z pornografią, a stał się wielkim pisarzem obyczajowym; i tak dalej. Ale nie ma sensu; wolę pisać o tych wszystkich młodych robotnikach, którzy prawdopodobnie nie czytają nigdy sagi rodziny Sartorisów i którzy wiedzą, iż nie generał Rommel i nie marszałek Żukow byli najlepszymi dowódcami drugiej wojny, ale prawdopodobnie oficer prowadzący wojnę na Pacyfiku; ale wszystko, co o nim wiedzieli, to tylko to, iż jest amerykańskim generałem i że walczy przeciw komunistom. Ich gest braterstwa jest żenujący w swojej śmieszności; ciemne okulary, brzydkie uczesanie, ohydne krawaty, ale pochodziło to z wiary, że ludzie gwiazdzistego sztandaru tak się ubierają, a więc i my ubierajmy się tak samo, nawet jeśli nam strzygą łeb przemocą na komisariacie i wywieszają nasze nazwiska na tablicy wśród nazwisk bumelantów i chuliganów. Trzymajmy się wobec tego starych amerykańskich samochodów, które wiozły Amerykanów do zwycięstwa; ubierajmy się w stare amerykańskie ubrania; oglądajmy comicsy nie rozumiejąc ich treści; nasz gest braterstwa w stosunku do Amerykanów jest śmieszny i żalony; i nie zostanie przez samych Amerykanów nigdy ani dostrzeżony, ani zrozumiany, jest to jednak jedyny gest, na który nas stać.

Nikt z tych młodych ludzi nie pojedzie nigdy do Ameryki; nikt z nich nie otrzyma stypendium z fundacji Forda; i nikt nigdy nie będzie pisał o kulturze amerykańskiej, iż jest plebejska. Na to mogą liczyć tylko publicyści Nowych Dróg i Trybuny Ludu; ale dla tych wszystkich młodych nieboraków Ameryka nie jest nawet tym, czym był Izrael dla ludzi prowadzonych przez Mojżesza; nie jest ziemią obiecaną. Ale być może dzieje się tak, że w braku obietnicy kryje się największa nadzieja. Commies obiecali przecież wszystko: chleb, pracę, wolność, braterstwo, ale kto obiecuje wszystko, ten nie obiecuje naprawdę niczego.

Opowiadano mi, że w czasie blokady Kuby usiłowano zorganizować demonstrację przed Ambasadą Amerykańską; charakteru demonstracji nie trzeba tu wyjaśniać. Gliniarze ubrali się w hełmy i wzięli ze sobą bomby łzawiące i banany, znaleźli się jednak out of job. Owszem, przyszło kilku korespondentów zagranicznych, aby sfotografować smutnych gliniarzy i rozradowanych ludzi. W pobliskiej knajpie tajniacy prowadzili zrozpaczone pertraktacje z chuliganami błagając ich, aby wybili przynajmniej parę szyb i zaczęli krzyczeć złowrogie teksty pod adresem Ameryki, obiecując im za to bezkarność, kiedy będą potracać ślepe staruszki i wyrzucać inwalidów z pociągu; jednak wszyscy chuligani byli twardzi i odrzucali wszystkie tak nęcące w normalnych warunkach propozycje. Anegdota ta jednak nie może być prawdziwa, nie jest przecież trudno ubrać gliniarzy ze szkoły policyjnej w ubrania cywilne i kazać im udawać oburzonych Polaków. Ale anegdoty rodzą się na skutek

istniejących warunków sympatii; tak więc, choć nie jest to prawdą, jest prawdziwym zmyśleniem.

Niewiele wtedy wiedziałem o literaturze amerykańskiej.

Faulknera opowiadał mi własnymi słowami Piotr Guzy; Hemingwaya Edward Bernstein; o innych książkach dowiadywałem się w jedyny możliwy dla mnie sposób; upijając swoich interlokutorów i płacąc za nich rachunek w knajpie.

Wiele mnie to kosztowało; niektórzy z nich upijali się szybko i mieszały różnych autorów i różne sytuacje. Po wojnie wydano w Polsce tylko jedną książkę Hemingwaya. Mieć i nie mieć, i Drogę tytoniową Caldwell. Pierwszy przełamał mur milczenia Marian Eile, drukując w Przekroju dwa opowiadania Hemingwaya w tłumaczeniu Miry Michałowskiej. A później drukowano już go bez przerwy i, jak słusznie zauważył Zygmunt Małczyński, „triumf Hemingwaya zjednoczył naród polski.” Wtedy wszyscy młodzi startujący prozaicy zaczęli pisać jak Papa Hemingway; mnie nazywano Hemingwayem z Kuluszek. To, iż zacząłem pisać jeszcze wtedy, kiedy Hemingway uznany był w Polsce za deprowatora i chwalcę bomby atomowej i że czytać go nie mogłem, ponieważ nie znałem wtedy angielskiego, a przestałem pisać właśnie wtedy, kiedy Hemingway zaczęto drukować - uszło oczywiście uwadze naszych krytyków. O nich mówi Papa Hemingway mniej więcej tak: „Kiedy człowiekowi trzeba pomocy, otrzymuje od nich zółć. Jestem pewien, że większość z nich pragnęłaby, aby wcale nie było książek i aby mogli pisać tylko o sobie i o swoich poglądach. Ale być może Bóg lub Natura rzuci na nich pewnego dnia jakąś straszną chorobę, przeciw której nie będzie ratunku, a której oni tylko ulegną; i wtedy będzie nareszcie koniec z nimi.” Cytat jest niedokładny; przeczytałem to zdanie przed wielu laty i nie pamiętam już, w jakim piśmie i w jakim języku. Jednak myśl autora „Śniegów Kilimandżaro” jest chyba oddane wiernie. Przekleństwo rzucone przez starego amerykańskiego cwaniaka nie powinno dotyczyć jednak krytyków marksistowskich; skala ocen, którymi oni dysponują, jest nieograniczona.

Komu bije dzwon uważano za paszkwil na wojnę cywilną; po roku pięćdziesiątym szóstym uznano za wspaniałe dzieło romantyzmu, Roberta Jordana za wspaniałego żołnierza i w ogóle wszystko poszło dobrze; przy czym najslabsza książka Hemingwaya uznana została oczywiście najlepszą. Po prostu przyjeżdża chłopak, żeby wysadzać mosty, zabijać innych ludzi i zginąć jak mężczyzna. Wpieprza się bez długich namysłów w największe nieszczęście, jakie może spotkać naród: w wojnę cywilną. Nie jest przy tym ani komunistą, ani faszystą; chce zginąć jak mężczyzna. A jeśli ja nie chcę zginąć jak mężczyzna, to co? A jeśli ja chcę umrzeć jako właściciel parceli na Grochowie otoczony tłumem dzieci i wnuków, to co? A może ja nie chcę latać z karabinem na polu i stać z gołą głową przed plutonem egzekucyjnym,

to co? Niemniej tę właśnie książkę Hemingwaya uznano za najlepszą; i w ten sposób załatwiono starego Papę. Ale nie można było przecież spodziewać się czego innego: Hemingway jest ostatnim romantykiem; Faulkner komentatorem Biblii i czymś w rodzaju współczesnego Dostojewskiego; a nie jest wykluczone, iż pewnego dnia dowiemy się, iż Henry Miller jest po prostu uczniem Łysienki. Orson Welles uczniem Mikołaja Czerkasowa, a James Dean czerpał swą wściekłość i wstyd, gdyż przyświecał mu czyn Pawki Morozowa.

W tym czasie Polacy rozpoczęli flirt z Ameryką. Pierwszy pojechał Putrament, przywożąc stamtąd owoc swych myśli zatytułowany Dwa łyki Ameryki. Oto jego refleksje; Putrament patrzy na maszyny do gry hazardowej.

„Gapię się na te przybytki i skłonny jestem je podziwiać. Choć powstały z niskiej chęci jakiegoś spryciarza zarobienia paru dolarów na znudzonych, zabłąkanych prostytutkach - to przecież żerują one pewnej istniejącej obiektywnie potrzebie ludzi i po swojemu, choć niewybrednie, tę potrzebę zaspokajają.

A u nas - przy całym naszym gdakaniu na temat potrzeby wyrastania kulturalnego mas - ile możliwości rozrywkowych zostaje przez zwyczajny, przeciętnym robotnikiem, czy pracownikiem, gdy wychodzi wieczorem na miasto? Kina? Teatry? A jakże! Nie mówiąc już o programach - ileż one dają szans na dostanie się do środka, jeśli przyjdzie chętka nagła, jeśli nie zostanie zawczasu zaplanowana i uzgodniona z biurami sprzedaży biletów?”

W ostatniej konkluzji Putrament dochodzi do wniosku, że jedyną dostępną rozrywką staje się konsumpcja alkoholu. Jest to wniosek słuszny; ale przecież polscy robotnicy mogą czytać książki o Pawce Korczaginie lub książki samego Putramenta - choćby Rozstaje, rzecz o szpiegach amerykańskich i agenturze Gomułki. Przecież to zaledwie dwa lata temu Putrament zalecał w swej książce Na literackim froncie uczenie się od radzieckich mistrzów socrealizmu, chodzenie do kina i do teatru, ostrzegając ich jednocześnie przed rozkładowymi pisarzami amerykańskimi, jak wspomniany już powyżej Williams i jego sztuka Tramwaj zwany pożądaniem, którą Putrament określił jako psychoanalityczną, a która ma tyle wspólnego z psychoanalizą, co ja z kontem bankowym.

Idąc przez Wall Street Putrament dziwi się, iż jest to ulica wąska i krótka, podobna do ulicy Chmielnej w Warszawie; Putrament zauważa, że skromność i nijakość tej ulicy będącej „sercem Ameryki” godne są naśladowania.

Widok i pobyt w gmachu ONZ nasuwają Putramentowi, w związku z panującą tam nudą, następującą refleksję: „Trzeba tak znakomitego polemisty jak nieboszczyk Wyszyński, aby w tych warunkach ryzykować dowcipy i polemiczne zjadliwości. Ten zresztą miał w dodatku zwiększony posłuch u widowni dzięki roli, jaką na świecie odgrywa jego ojczyzna.” I



istotnie: ONZ, organizacja mająca na celu pokój i szczęście ludzi całego świata, jest wymarzonym wprost miejscem dla nieboszczyka Andreja Wyszyńskiego - prokuratora moskiewskich procesów; żądającego wyroków śmierci na podstawie zeznań, bądź sfalszowanych lub wydobytych drogą cierpień i tortur, o których prawdopodobnie nie dowiemy się nigdy prawdy, a jeśli nawet dowiemy się, wyda nam się ona niemożliwa do uwierzenia. Oto jedyna refleksja, jaka nasuwa się Putramentowi stojącemu przed gmachem organizacji mającej być nadzieją nieszczęśliwych.

Książka Putramenta stanowi pewnego rodzaju curiosum, ale nie mam już siły, aby dalej przepisywać cytaty. Najciekawszy jest rozdział poświęcony Czesławowi Miłoszowi. Putrament nauczył się od Wyszyńskiego jak trzeba budować donos; jest to klasyczna szkoła mówców, której ojcem uznano Cicerona. Putrament zaczyna wysoko i szlachetnie: kiedy poznał Miłosza, był olśniony poetyckim jego talentem i do rozpaczy doprowadzały go jego własne wiersze. Miłosz był dlań gwiazdą; jeszcze chwila, a zdawało mi się, że usłyszę słowa Piotra Wierchowienieńskiego skierowane do Mikołaja Stawrogina:

„Tyś Bóg, tyś słońce, a ja - robak u Twych stóp.”

Putrament czuł się niczym wobec Miłosza; uwielbiał go, ale Miłosz nie poświęcał mu zbyt wiele uwagi. Miłosz był nonszalancki, zarozumiały, pyszny; wreszcie doszło do rękoczynów. I w tym momencie głos rwie się Putramentowi; według wzorów klasycznych powinien właśnie teraz przejść do argumentów odwołujących się do powszechnego poczucia sprawiedliwości; zamiast tego przechodzi na paszkwil.

Przyznaję się, iż był przeciwny wyjazdowi Miłosza na Zachód lecz tylko w obawie, iż Miłosz zmarnuje swój wielki talent poetycki, który Putrament tak bardzo ceni. Dlaczego jednak wyjazd na Zachód połączony jest z roztrwonieniem talentu, o tym nie dowiemy się; dlaczego jeden pisarz ma prawo decydować o losie drugiego drogą administracyjną - tego nie dowiemy się także; dlaczego w ogóle powstają takie problemy, że człowiek musi błagać, aby go wpuszczono za granicę państwa, co jest rzeczą najbardziej naturalną nawet w krajach Ameryki Łacińskiej - również i na to nie otrzymamy odpowiedzi. Miłosz uciekł.

Putrament wyjaśnia nam dlaczego: odwołany z placówki dyplomatycznej Miłosz nie chciał pogodzić się z tym, że przestaną mu płacić w dewizach, a płacono w gotówce polskiej. Ale przecież Putrament wyjaśniał nam w swoich szkicach Na literackim froncie, że sukcesy gospodarcze państw Demokracji Ludowej gwarantują nam wysoki i wciąż postępujący wzrost stopy życiowej w Polsce, jak również nieuchronny spadek dolara i pauperyzację Zachodu. Skąd więc tego rodzaju postawienie sprawy: przecież złoty polski jest O.K. Jeśli więc Miłosz chciał być lepiej płacony, powinien zostać według tej książki Na literackim froncie w Polsce;

natomiast przyjmując tę samą tezę, iż oportunizm materialny jest kluczem do charakteru Miłozsa - według książki Dwa łyki Ameryki wyjechał właśnie na Zachód, ponieważ to nie 1 zł jest O.K., tylko 1 dolar jest O.K. A może to nie chodzi o to, co jest O.K. tu czy tam, tylko po prostu o to, że Putrament jest do de i tu i tam, i zawsze?

Ale, prorokuje Putrament, nic nie wyjdzie z kariery Miłozsa na Zachodzie.

Dlaczego? Wybrał zły rok. Putrament: „Rok 1948 też niezły. Tu można powołać się na rozgromienie Gomułki, co dopiero otworzyło dezerterowi oczy.”

Putrament ma tu na myśli, że Miłozs mógłby powołać się na rozgromienie Gomułki; i że to właśnie, iż Gomułka poszedł siedzieć, mogłoby stać się odskocznią w życiu i karierze Czesława Miłozsa. Być może, że Miłozs wybrał zły rok, ale jeszcze gorszy wybrał Putrament moment, w którym opisuje rozgromienie Gomułki: książkę Dwa łyki Ameryki podpisano do druku 14 Iv 56 - druk ukończono tego miesiąca; w parę miesięcy później rozgromiony Gomułka miał okazję potrząsnąć dłonią swego towarzysza i członka Komitetu Centralnego - Jerzego Putramenta.

Wreszcie Putrament dochodzi do ostatecznych wniosków na temat Miłozsa:

Miłozs uciekł, ponieważ obawiał się wojny, która - według Putramenta - była tuż, tuż (używając jego stylu) w latach 1950 - 1951. Putrament: „W tym czasie zostać w Polsce? Doczekać się tu przeraźliwych grzybów atomowych?”

Jeszcze raz przejść deptanie płaskiego i ubożego kraju przez najpotworniejszą z wojen?” Ale o jakiej to wojnie i o jakim niebezpieczeństwie jest tu mowa? Przecież nic nam się stać nie mogło (Na Literackim froncie); przecież głos Stalina grzmiący jak dzwon zapewniał nas, że wojny nie będzie; sam Putrament, opisując klęski Amerykanów na Korei zapewniał nas o ich bezsile i ich niemocy. Więc co jest do cholery z tym Miłozsem?

Teraz następuje seria ciosów poniżej pasa: Miłozs używał w czasie wojny paszportu litewskiego, który zapewniał mu absolutne bezpieczeństwo osobiste. W owym czasie każdy miał mniej lub bardziej lipne dowody; jaka jest różnica między kenkartą a paszportem litewskim, to nie zostaje wyjaśnione. I czy człowiek o ogromnym talencie literackim - według słów samego Putramenta - nie miał prawa uczynienia wszystkiego, aby stać się kronikarzem czasów moru. Załóżmy, iż nie miał, no po co go było trzymać na siłę w Polsce, motywując to chęcią ratunku olbrzymiego talentu. jeśli chciano go ratować po wojnie przez odebranie mu paszportu, czemuż nie wolno mu było ratować się podczas wojny przy pomocy paszportu. Niewiele się nauczył Putrament od Wyszyńskiego. Jako były agent policji nie wierzę, aby Putrament był agentem NKWD, o czym wspomina z humorem i właściwą sobie werwą; to jest źle napisany donos.

I jeszcze jeden cios poniżej pasa: Putrament pisze, że po wybraniu wolności Amerykanie odmówili Miłoszowi wizy wjazdowej. Nietrudno zgadnąć, jak to się stało, i Putrament powinien o tym wiedzieć najlepiej; a ja to wyjaśnię na podstawie własnego doświadczenia. Kiedy się wsadza szpicla na jakąś robotę, puszcza się w ślad za nim dezinformację: iż jest reakcjonistą, iż jest nieprzychylny w stosunku do reżymu; że marzy o powrocie kapitalizmu i tak dalej. W ten sposób zapewnia mu się dobre i bezpieczne działanie, ludzie biorą go za swojego i mówią wszystko, co myślą; a on już wie, co z tym zrobić dalej. Jeśli na Zachód ucieka człowiek rangi Miłosza, puszcza się w świat za nim dezinformację przeciwną, że działał jako agent bezpieki, że jest antyamerykański, że za pieniądze i dobre życie składał donosy na kolegów i tak dalej. W tym celu robi się sfalszowane kopie dokumentów; ustne zeznania świadków i tego rodzaju historyjki. Sprawdzanie tego rodzaju dezinformacji trwa lata; ale nie zawsze to się da naprawdę zbadać. Putrament rozczarował mnie jako donosiciel; nigdy nie czytałem jego prozy, ale myślałem, że właśnie donos jest dla niego tym samym co dla mnie: gatunkiem, który mu najbardziej leży.

Pisałem dużo o Putramencie i o Miłoszu, co pozornie nie ma wiele z tytułem 1, Goofy the dog. Ale wiem, o co mi chodziło, jeśli Putrament kiedykolwiek zdecyduje się na pozostanie na Zachodzie - nie będzie miał tych trudności, jakie miał Miłosz i jakie miałem ja. Niewiele umie jako donosiciel; niemniej nie będzie miał trudności finansowych przez parę dobrych lat. Ale potem będzie musiał umrzeć z głodu, a stanie się to tego dnia, w którym będzie usiłował napisać jeszcze jedną stronę prozy. Mam mu zresztą do zawdzięczenia i to dużo: siedząc w Berlińskim Klubie Dziennikarzy przeczytałem w Izwiestiach paszkwil na samego siebie; o tym, że jestem deprawatorem, o tym, że jestem szkodnikiem społecznym, i o tym, że nie powinno się ludzi takich jak ja - i w tym sensie. Izwestia są, jak wiadomo, gazetą rosyjską, ale autorem donosu był polski pisarz Jerzy Putrament. Działo się to w lipcu 1958 roku: odłożywszy gazetę po raz pierwszy pomyślałem, iż stanie się być może i tak, że nigdy nie wrócę już do Polski. I tak się właśnie stało.

I, Goofy the dog, poszedłem do Konsulatu Amerykańskiego w Palermo, kiedy zaczęli się kotłować w Wietnamie i poprosiłem o prawo wstąpienia do armii amerykańskiej i wysłanie mnie na wojnę. Wyjaśniono mi, że mogę pojechać tylko w jednym wypadku: jeśli dostanę wizę emigracyjną i wstąpię do Armii Amerykańskiej na terenie U.S.A. Prezydent Kennedy powiedział przecież w swym przemówieniu inauguracyjnym: „Nie pytaj, co Stany Zjednoczone Ameryki Północnej mogą uczynić dla ciebie. Spytaj samego siebie, co ty sam wraz z Ameryką możesz uczynić dla wszystkich ludzi świata.”

I, Goofy the dog, nie mogę uczynić niczego. Ale dla Ameryki może wiele uczynić

Putrament i ludzie tacy jak on. Kiedy po wybraniu wolności dziennikarze amerykańscy pytali mnie, co moim zdaniem Amerykanie mogliby uczynić, aby zademonstrować w jakiś sposób Polakom swoje sympatie - nie umiałem odpowiedzieć. Wiem to dzisiaj: powinni dawać stypendia i wszelkie możliwe fory ludziom takim jak nasz Myśliciel. Niech jeżdżą tam i niech plują na ten wielki i piękny kraj; a każde ich kłamstwo będzie rozumiane przeciwnie przez tych wszystkich, którzy będą ich czytać w Polsce. Niech piszą o waszej wspaniałej literaturze, że jest śmieciem; niech piszą o waszych wspaniałych żołnierzach, że są zbrodniarzami, niech piszą o generale Pattonie, że był tchórzem, o waszych fabrykach dających waszym ludziom chleb, iż są piekłem pozbawiającym człowieka godności i inteligencji. Ale niech tylko to piszą; a ja chciałem tylko dać swoją krew, ale i ta nie była dość dobra dla gwiazdzistego sztandaru. Ale nie pytajcie nas, na Boga, co możemy uczynić. Nie mogę uczynić nic.

## FELIKS DZIERŻYŃSKI I BOGEY

Młodzieńcze, co wahasz się jak żyć, nie namyślając się wzór ci podam bliski.

Pamiętam i nie zapomnij o tym,

Żyj, jak żył towarzysz Dzierżyński.

Włodzimierz Majakowski

Oczywiście, że najlepiej byłoby żyć tak, jak żył Feliks Dzierżyński. W ogóle trzeba nie zapominać ani na chwilę, że nigdzie nie żyje się tak dobrze, jak na koszt klasy robotniczej; nie zawsze jest to jednak możliwe.

Tę smutną prawdę człowiek rozumie dopiero wtedy, kiedy poprosiło się już o azyl polityczny i kiedy jedyny nasz majątek osobisty stanowi ceratowa teczka, w której naród amerykański umieścił swój dar dla uchodźców spoza żelaznej kurtyny: szczotkę do zębów, ręcznik i mydło. Można to sprzedać za pięćdziesiąt feningów; ale trzeba mieć szczęście, aby znaleźć idiotę, który chciałby kupić.

Co jednak robić, jeśli chce się dalej pisać? Sprawa jest łatwa, o ile jest się byłym komunistą, członkiem Komitetu Centralnego lub wysokim funkcjonariuszem Urzędu Bezpieczeństwa, szpiegiem lub dyplomatą. Człowiek spoza żelaznej kurtyny, który szpiegował na rzecz Kremla, wrywał swoim braciom paznokcie lub wprowadzał im kulę w tył głowy, zawsze znajdzie życzliwych opiekunów, ponieważ stanowi atut propagandowy i może stać się argumentem w walce przeciw komunizmowi: człowiek uczciwy, który nie był nigdy komunistą lub szpiegiem, jest tylko niepotrzebnym ciężarem dla ludzi Zachodu; [...] i że takiego człowieka nie można wyzyskać propagandowo.

Mówienie, że wieczorem jest ciemno a rankiem jasno, nie może być rewelacją dla ludzi Zachodu. Takiego człowieka czekają lata poniewierki, upokorzeń, wyczekiwania na wizję; lata pustki i rozpacz.

Nie jest dobrze udawać rozczarowanego komunistę-pisarza. Był to dobry numer do roku 1956, potem jednak Chruszczow załatwił wszystko odgórnie i dzisiaj czerwony intelektualista nie może już rozdzierać szat i skamleć, że wiedział o tym, iż miliony ludzi zadręczano w obozach koncentracyjnych i więzieniach; nie może dziwić się publicznie, iż nie widział wciąż postępującej pauperyzacji swego kraju i narastającej rozpacz swoich braci i bliźnich, o których chciał pisać prawdę. Krótko mówiąc: nie może twierdzić, że nie widział i nie słyszał tego, co widział i słyszał każdy człowiek na ulicy, każdy robotnik i przechodzień.

Oczywiście, że od czerwonych myślicieli nie można wymagać zbyt wiele; ale teraz dopadło nawet to. Natomiast szpiegdy i wysocy dygnitarze będą mile witani i nic im się nie stanie. Oczywiście do czasu. Książka Krywickiego *I was Stalin's agent* kończy się słowami: „Udało mi się jeszcze raz”. Autor ma tu na myśli zamach na własną osobę, w którym uszedł cało; pół roku później znaleziono go martwego w hotelu, w Waszyngtonie. Z commies udaje się mało rzeczy; ale ta jednak udaje się zawsze.

Cóż jednak ma zrobić człowiek piszący, który nie był nigdy członkiem partii; który nie pisał hymnów na cześć policji politycznej i którego nie chciano drukować we własnym kraju, zarzucając mu kontrrewolucjonizm. Nie bardzo wiadomo. Spróbujmy się zastanowić co zrobić w chwilach głodu, kiedy żaden wydawca nie da nam zaliczki, a wierzyciele czekają na rogu ulicy, dzierżąc w rękach bykowce.

### **1. OBLĘD**

Udawanie obłądu nie jest rzeczą prostą, ale można się tego nauczyć, jeśli tylko ma się dość odwagi i charakteru. Najłatwiej jest symulować manię naśladowniczą; wymaga to jednak czasu. Kiedy widzimy, że zostało nam pieniędzy tylko na dwa miesiące życia - zaczynamy. Zgłaszamy się pewnego dnia do komisariatu policji z prośbą o wydanie nam pozwolenia na broń. Na pytanie urzędnika, w jakim celu potrzebny nam jest piętnostrzałowy pistolet marki FV, odpowiadamy, że od tygodni jesteśmy śledzeni przez jakiegoś osobnika w skórzanym płaszczu, czarnych okularach i z laską w rękę; sugerujemy przy tym, że w lasce umieszczona jest szpada (*Gilda starring by Rita Hayworth and Glenn Ford.*) Oczywiście urzędnicy policji wyrzucają nas na zbity pysk. W parę dni później zjawiamy się znów; znów opowiadamy to samo, z tą różnicą, że tym razem jesteśmy śledzeni przez zupełnie innego osobnika, który trzyma w ręku teczkę; sugerujemy, że w teczce rzeczony osobnik ma bombę zegarową, którą chce włożyć do bagażnika naszego samochodu. (*A Touch of Evil directed by Orson Wells.*) Na pytanie urzędnika, czy jesteśmy w posiadaniu samochodu, odpowiadamy, iż nie; ale czasem bierzemy taksówkę i wtedy rzeczony osobnik może tam umieścić swoją bombę. Znów dostajemy kopa w tyłek, ale na komisariacie policji wiedzą już, że byliśmy dwa razy; może nawet trzy lub cztery, ale nie więcej.

Nie wolno nam z początku w żadnym wypadku iść do lekarza, jest się przecież wariatem, który nic nie wie o nękającej go chorobie i który wierzy, iż jest prześladowany na tle politycznym. Na wszelkie rady przyjaciół, sugerujących nam udanie się do psychiatry, odpowiadamy odmownie lub nawet z lekkimi atakami furii. W końcu zrywamy kontakt ze światem zewnętrznym; kupujemy proszki nasenne i idziemy do hotelu. Dzwonimy do najlepszego przyjaciela w innym mieście i mówimy mu, że mamy dla niego stuprocentową

możliwość dużego i pewnego zarobku; musi jednak zadzwonić jutro rano o godzinie dwunastej. Przyjaciół przyrzeka nam, że zadzwoni; pożeramy proszki nasenne, piszemy list pożegnalny do rodziny i wyjaśniamy, iż na skutek prześladowań i braku pomocy decydujemy się na popełnienie samobójstwa udzielamy błogosławieństwa dzieciom i młodszemu rodzeństwu; śpimy.

Następnego dnia przyjaciel nasz dzwoni, ale w hotelu nie mogą nas dobudzić. Po jakimś czasie zaniepokojony portier puka do naszych drzwi, po czym włamuje je przemocą, a my budzimy się w szpitalu dla wariatów, otoczeni gromadą psychiatrów i idiotów.

To jest jeden sposób. Najlepiej odbierać sobie życie w Monachium, gdyż transportują nas do szpitala w Haar, gdzie nie jesteśmy sami; jest to szpital dla czterech tysięcy dwustu pacjentów. Według ustawodawstwa niemieckiego każdy niedoszły samobójca musi pozostać w szpitalu pod kontrolą lekarską przez trzy miesiące. Trzy miesiące to nie jest dużo; ale możemy odebrać i wymyśleć jakąś inną historyjkę, którą potem opiszemy i zarobimy w ten sposób parę groszy. Niezliczone ilości Juliuszów, Cezarów, Chrystusów i synów z nieprawego łoża księcia Windsoru umiła nam czas. Kiedy byłem tam po raz ostatni, mieszkałem w jednym pokoju z cesarzem Abisynii; w następnym pokoju mieszkał ksiądz, którego naziści torturowali tak straszliwie, że stracił zmysły i kiedy wreszcie po zakończeniu wojny wypuszczono go z więzienia, nie był w stanie zrozumieć, iż wojna skończyła się i że jest wolny: w dalszym ciągu oczekiwał wykonania egzekucji.

Ponieważ przypominałem mu z wyglądu znajomego SS-mana, pytał mnie każdego ranka:

- Czy będę już dzisiaj rozstrzelany?

Na co ja odpowiadałem uspokajająco:

- Nie ma się co śpieszyć, proszę księdza. Mamy do cholery i trochę roboty.

Innym moim sąsiadem był pan R. Pan R siedział przez trzy lata w Oświęcimiu i symulował manię prześladowczą; ale wpadł na głupi pomysł twierdząc, że widma nie dają mu spać. Zawarliśmy przyjaźń, i ja - tak zwany „wolny wariat”, czyli wariat z prawem spacerów poza szpitalem - brałem samochód i jechałem do Monachium, gdzie kupowałem mu psychedrynę i benzedrynę, aby trzymać go bez snu; chodziło o to, że pan R. chciał wy dostać od rządu niemieckiego odszkodowanie i odesłano go do szpitala psychiatrycznego, aby wypowiedzieli się na temat jego choroby lekarze.

Potem pan R. dostał pozwolenie na odbywanie spacerów pod moją opieką; brałem go do samochodu i wyjeżdżałem w las zostawiając go w samochodzie.

Pan R. zasypiał natychmiast - ja szedłem do gospody na piwo. W gospodzie tej

spotykali się wszyscy alkoholicy wyleczeni przez niemieckich psychiatrów. Aby, będąc alkoholikiem, otrzymać prawo spaceru poza szpitalem, trzeba wpieryw połknąć pastylkę antabusu lub antikolu w obecności lekarza. Ale to nic; połykamy pastylkę, lekarz zagląda nam w dziób i możemy śmiało iść do gospody. Zamawiamy piwo i pijemy tylko mały łyk; po dwudziestu minutach przychodzi pierwsza reakcja; trochę nam szumi w głowie i stajemy się purpurowi jak maki pod Monte Cassino. Trzeba tę pierwszą reakcję przeczekać, a następnie znów pijemy mały łyk piwa, a druga reakcja jest już o wiele słabsza. A gdy po godzinie pijemy już za trzech, śpiewając z innymi wyleczonymi alkoholikami bawarskie piosenki, które może nie są najładniejsze, ale do których można się przyzwyczaić. Tak więc spędzałem dwie godziny w gospodzie, a następnie jechałem po pana R. i ładowałem w niego jedną psychodrynę, aby znów mógł wyć nocami.

Przy symulowaniu manii prześladowczej nie trzeba zapominać o tym, że bardzo nam może pomóc odmawianie pokarmów: chodzi o to, iż obawiamy się otrucia. Nie zwracamy uwagi na łagodne perswazje lekarzy i na to, że pielęgniarz będzie próbował każdą łyżkę strawy, zanim ją włoży nam do dzioba. My musimy wyć, szarpać się i pluć; po paru dniach zaczną nam dawać infuzję, czyli duże ilości witamin dożylnie; musimy się tak szarpać, żeby lekarze zmuszeni byli przywiązać nas pasami do łoża. Kiedy będziemy już czuć igłę w żyłę - wyjąć nie spuszczaemy ani na chwilę oka z butelki, w której zawarte są życiodajne witaminy. Potem popadamy w depresję; po paru dniach patrzymy na butelkę służącą do infuzji już nie z przerażeniem, lecz tylko z przygnębieniem. Po czym - po czternastu dniach - zaczynamy żreć i żremy tak długo i tak dużo, dopóki sędzia i lekarze nie zdecydują, aby nas wypuścić.

Nie jest wskazane używanie narkotyków takich jak morfina, meskalina lub śnieg: w wypadkach używania narkotyków musimy zostać w szpitalu dwa lata; tak jest w Niemczech. To jest wyjście, ale naprawdę trzeba się zastanowić.

I nie wolno zapomnieć, że ludzie zaklasykowani przez psychiatrów jako maniacy depresyjni rzadko bywają nałogowcami. Tak mi oświadczyli psychiatrzy w Berlinie; ale sprawę trzeba w każdym bądź razie przekonsultować. Symulowanie alkoholizmu jest kosztowne i zabiera dużo czasu; najlepsze jednak jest samobójstwo. Jeśli nie mamy pieniędzy na proszki na senne i na hotel, potrzebny jest nam tylko most, skąd swobodnym wzbijamy się lotem.

W szpitalu jest trochę nudno, dlatego przypominam, że najlepszy jest szpital w Haar. Jest to pięknie położony kompleks budynków w lesie; jest tam poza tym pawilon siostr, które możemy odwiedzać, jeśli uzyskamy już prawo do odbywania samotnych spacerów. Trzeba to jednak robić dyskretnie, gdyż siostrze za romans z wariatem grozi usunięcie dyscyplinarne z



pracy.

Jest tam również i cmentarz, gdzie możemy się przespać w cieniu klonów, kiedy wracamy z gospody i chcemy wytrzeźwieć. Po trzech miesiącach jesteśmy wyleczeni, ale istnieje szansa, że zatrzymają nas dłużej: w wypadku, jeśli nasze stany depresyjne będą się powtarzać.

Teraz trzeba się zastanowić, jak zdobyć trochę grosza. I tu jest wiele sposobów: dla ludzi, którzy odbywają kurację odwykową od środków nasennych, kupujemy w Monachium proszki; dla alkoholików koniak. Jednak trzeba to robić bardzo ostrożnie, gdyż odwykowcy są oddawani bezustannym analizom moczu, mającym na celu stwierdzenie, czy nie przyjmują barbituranów i alkoholu. Najlepszy jest handel benzedryną: to jest dla facetów, którzy siedzieli w obozach koncentracyjnych i udają mary nocne w celu uzyskania odszkodowań od rządu NRF. Faceci ci nie śpią po nocach, gdyż nawiedzają ich widma pieców krematoryjnych, SS-manów i drutów kolczastych. Jeśli nie możemy dostać psychedryny lub benzedryby, wystarcza czasem nesca, wariat pożera pudełko i potem lata przez całą noc o opowiada pielęgniarkom o swych koszmarach, a pielęgniarki odpowiadają z miłym uśmiechem:

- Jeszcze wszystko będzie dobrze. Niech pan spróbuje trochę pospać. Jutro pogada pan z dyrektorem.

Sprawa rozmów z lekarzami jest rzeczą trudną; lekarzom nie udało się jeszcze wyleczyć ani jednego wariata, natomiast sami wariują lub stają się morfinistami. Nie należy przesadzać w opowieściach koszmarów swego życia.

Niezawodne jest natomiast tak zwane trudne dzieciństwo; o czym możemy głądzić, gdyż jak wiadomo nie ma człowieka, który nie miałby koszmarnego dzieciństwa. Nie należy sugerować lekarzom, iż przyczyną własnej depresji jest patologia rodzinna, a więc: ojciec alkoholik, matka nimfomanka, babka samobójczyni, dziadek sadysta i tak dalej. Teoria dziedziczności jest sprawą nie wyjaśnioną; na tym możemy się położyć jak dzieci. Ale możemy bredzić skolko ugodno na temat naszych przeżyć w krajach Demokracji Ludowej. Dobrą rzeczą jest sprawa szantażu ze strony policji politycznej: proponowano nam współpracę, a myśmy się oparli. Kroki na schodach przyprawiają o dreszcze. Szalejemy na widok munduru, nawet jeśli jest to mundur ochotnika straży pożarnej lub członka Gwardii Papieskiej.

Truchlejemy, jeśli ktoś śpiewa Oczy czarne. Ale płaczymy na widok czerwonego sztandaru: ponieważ opuściliśmy kraj Słońca Stalinowskiej Konstytucji i w jakiś sposób czujemy się renegatem. Nasze poczucie moralności i honoru mówi nam, że ziemia, na której urodził się człowiek, ważniejsza jest od wszystkiego, co się na niej dzieje. I tu jest nasz

problem: nostalgia za koszmarem. I na tym się położyć nie możemy; tu lekarze są jak dzieci.

W rozmowach z niemieckimi psychiatrami nieuchronnie wypływa problem okupacji. My opowiadamy, iż będąc dzieckiem bywaliśmy świadkami publicznych egzekucji. To jest bardzo ważne. Trzeba też opowiadać ze wszystkimi możliwymi detalami; to właśnie utkwiło nam w pamięci na zawsze i dlatego opowiadamy obszernie; inne sprawy z naszego dzieciństwa pamiętamy słabo i nie potrafimy skleić ich do kupy.

Lekarz: - Czy potrafi pan sobie przypomnieć, kiedy pan dostał jakąś zabawkę, której pan pragnął?

My: - Zabawkę?

Lekarz: - Tak. Jakąś zabawkę, której pan pragnął jako dziecko.

My: (zbieramy myśli. Na naszej twarzy maluje się wyraz rozwścieczenia, że nie potrafimy sobie przypomnieć. Wreszcie): - Dostałem od żony samochód jako prezent ślubny.

Lekarz: - Ale proszę sobie przypomnieć, kiedy pan dostał zabawkę, której pan pragnął będąc dzieckiem. Kiedy to było?

My: - Kiedy to było?

Lekarz: - Tak, kiedy to było?

My: - To było w grudniu 1943. Na Boże Narodzenie. Wracalem do domu i na Twardej zatrzymali nas Niemcy...

Przerywamy.

Lekarz: - Proszę mówić. Proszę pamiętać, że jestem przede wszystkim lekarzem. Ja wiem, że to dla pana krępujące.

My: - Panie doktorze, rzeczywiście trudno mi mówić z panem o tych sprawach. Mam w Niemczech tylu przyjaciół. Wiem, że głodem i terrorem można wszystko zrobić z każdym narodem. Jako katolik (protestant, żyd, grecki katolik, baptysta itp.) nie mam prawa myśleć, że jeden naród jest gorszy od drugiego lub lepszy. Istnieją warunki, w których każdy naród zdolny jest do uczynienia każdej rzeczy z innym narodem.

Lekarz: - Proszę, niech pan się uspokoi. To rzecz bardzo ważna. A więc, jak to było?

My: - Wracalem do domu, a Niemcy zatrzymali nas. To było na Placu Grzybowskiem. Ludzie stali i czekali; potem przyjechały dwie ciężarówki z zakładnikami. Ci ludzie mieli w ustach gips, nie, przepraszam, mieli usta zalepione plastrami. Takimi plastrami...

Rozglądamy się.

Lekarz: - Pan ma na myśli szerokie plastry, prawda?

My: - Tak. Więc oni mieli usta zaklejone tymi plastrami. Ustawiono ich pod ścianą, a potem przejechano po nich karabinami maszynowymi. I kiedy leżeli na ziemi, to podchodził

do nich podoficer i strzelał tym, którzy jeszcze żyli, między oczy. Ale nie strzelał z pozycji stojącej, tylko przykucnął i strzelał z boku, aby nie było rykoszetu. Wie pan, ten podoficer nie miał pistoletu parabellum, tylko rewolwer. Wie pan, jaka jest różnica między rewolwerem a pistoletem?

Lekarz: - Tak.

My: - I to mnie zdziwiło, bo przecież armia niemiecka nie miała rewolwerów, tylko pistolety takie jak P38, mauser, parabellum. A ja pamiętam dokładnie, że to był rewolwer, bo jak mu się skończył bęben, to musiał go ładować po raz drugi - kula po kuli...

Lekarz: - Ale co pan wtedy dostał na Gwiazdkę? To było na Gwiazdkę, prawda?

Teraz nastaje chwila strasznego milczenia i konsternacji. My myślimy o tym, że nie możemy sobie przypomnieć. I wreszcie mówimy, że pamiętaliśmy, ale w trakcie opowiadania zapomnieliśmy: to była Gwiazdka, dostaliśmy jakiś prezent, ale Bóg jedyny wie, co to było.

Szczegół z rewolwerem jest niesłychanie ważny, widok publicznej egzekucji zaćmił inne sprawy: my pamiętamy tylko, że podoficer niemiecki miał rewolwer, a nie pistolet; minęło już dwadzieścia lat, a my nie możemy tego zapomnieć. Nie trzeba zbyt wielu szczegółów: wystarczy jeden, pozornie bez znaczenia, bo cóż w końcu za różnica, czy zabijało się z samowzwoda, czy z P38; ale to jest właśnie to, co nas zastanawia i czego nie możemy zapomnieć. Nie to, że ci ludzie mieli zalepione czy zagipsowane usta; przecież sześć lat byliśmy świadkami koszmaru i to nie mogło zostawić śladu w naszej pamięci, stała się w tamtych czasach oczywistością - w naszej pamięci pozostał szczegół bez specjalnego znaczenia; lecz jaki ważny dla idioty-psychiatry, siedzącego naprzeciw nas. Nie należy grać na wysokich tonach; egzekucje, piece krematoryjne, bomby atomowe - to wszystko do niczego. Chodzi o jeden mały szczegół, który utrwalony w naszej pamięci przez lata urasta do rangi symbolu i w ostatecznym rozrachunku stanowi rzecz najbardziej koszmarną. Oznacza to, że nasze odczuwanie zła i dobra jest poza zasięgiem naszej inteligencji, nikczemność przestaje nas dręczyć: dziwią nas tylko pewne drobne szczegóły, których nie potrafimy zrozumieć. A więc sprawa nietypowego rewolweru: i pamięć o tym, że podoficer strzelał do konających, ale nie było rykoszetu. To nieważne, że pięć minut temu powiedzieliśmy, że strzelał im między oczy, co jest absurdem, gdyż jak można strzelać w oczy ofiar przykucnąwszy? Ale nasza opowieść nie może być zbyt precyzyjna: my jesteśmy wariatem i nie możemy zebrać do kupy zropaczonych myśli. Trzeba wystrzegać się opowieści precyzyjnych.

Jeśli po jakimś czasie lekarz zapyta nas, czy chcemy wrócić do żony, odpowiadamy, że nie, a na pytanie tego durnia, czym motywujemy swoją decyzję, odpowiadamy mu, że

doszliśmy do wniosku, iż chorego człowieka nie można kochać; tak więc postanowiliśmy odejść, aby nie łamać życia kochanej kobiecie; i napisaliśmy już nawet do niej list, w którym przyznaliśmy się do niepopelnionych zrad. Świadczy to, że żonę naszą kochamy ponad wszystko, ale świadczy również, że nasz stan depresji pozostał, choć [przybrał formę łagodniejszą i możliwą przez nas samych do kontrolowania.

To wszystko ma tylko wtedy sens, jeśli rzeczywiście mamy żonę i chcemy się urwać od niej na jakiś czas; jeśli żony nie mamy, to trzeba powiedzieć doktorowi, iż mamy przyjaciółkę, tak samo biedną jak my, i że nie chcemy jej łamać życia. Wiemy, że kocha się w niej rzeźnik z przeciwka lub młody sportowiec z własnym samochodem, a my wiemy, że nasza ukochana uwielbia szybką jazdę. My nie możemy jej dać nawet tego. I dlatego chcemy odejść.

Nędza jest niesłychanie ważną rzeczą: jest to przyczyna naszego samobójstwa. Wstyd: mamy już swoje trzydzieści parę lat, a jedyny nasz majątek osobisty to maszynka do golenia, którą dostaliśmy po wybraniu azylu od narodu amerykańskiego. Jesteśmy tym, co nazywa się tak pięknie po angielsku loser, czyli przegrywacz. Pisarz bez trudu może wymyśleć sytuację, w której przegrał życie: pracował przez rok dla wielkiego reżysera z Hollywood; od tego zależała jego przyszłość; reżyser stał się jego najbliższym przyjacielem; jednak żona reżysera-milionera zakochała się w nim i dostaliśmy kopa w tyłek. Parę takich sytuacji i wreszcie nędza i wstyd, który nas zadręczył, stały się powodem do desperackiego kroku: brak powodzenia, nędza, świadomość że jesteśmy na utrzymaniu żony - jeśli tak jest istotnie. Wtedy rozmowa pomiędzy lekarzem-idiotą a pacjentem-idiotą wygląda w sposób następujący:

Lekarz: - Więc cóż było ostatecznym powodem pańskiej decyzji odebrania sobie życia?

My: - Mogę panu to powiedzieć. Ale to zajmie panu trzydzieści dwa lata.

Tyle, ile ja żyję. Czy ma pan tyle czasu dla mnie?

Lekarz: (łagodnie): - Proszę jednak opowiedzieć, co było, że tak powiem, ostatecznym bodźcem. To bardzo ważne.

My: - Jeśli chodzi o ludzi takich jak ja, to nic nie jest ważne, oprócz tego, aby nas (ludzi takich jak my) unikać. Ale spróbuję to panu powiedzieć. Kiedy umiera człowiek wolny, kończy się życie pełne niebezpieczeństw, pełne walki, pełne radości. Ale kiedy umiera nędzarz, kończy się tylko wstyd.

Mamy łzy w oczach. Powyższe zdanie ukradliśmy z filmu Spartakus. Kirk Douglas postanowił zginać razem ze swymi ludźmi, ponieważ Krezeus wykupił jego flotę, na której

chciał z nimi zwiać; pozostał tylko jeden statek; kapitan korsarzy namawia Spartakusa, aby wziął precjoza, Jean Simmons i zaczął nowe życie; Douglas z oburzeniem odrzuca jego propozycję.

Kapitan korsarzy: - Dlaczego postanowiłeś zginąć, Spartakusie?

Kirk Douglas (po chwili zamyślenia, uśmiechając się z początku gorzko, następnie uśmiech zamienia się w wyraz wyniosłości): - Kiedy umiera człowiek wolny, kończy się życie etc.ect. Al kiedy umiera niewolnik - kończy się tylko ból.

Ogólnie biorąc Niemcy nie są złym krajem na udawanie wariata, ale jeszcze lepiej jest udawać wariata w Izraelu. Po pierwsze: mamy znajomych lekarzy, którzy są wariatami i którzy zrobią dla nas wszystko co w ich mocy; po drugie ilość chorób psychicznych wśród emigrantów z Europy jest duża na skutek cierpień, które ludzie ci przeszli z powodu różnych uszczęśliwaczy ludzkości jak Hitler, Stalin i nasz Towarzysz Tomasz. Trudne dzieciństwo zostaje; koszmar okupacji zostaje; natomiast musimy zmienić wersje co do prześladowań ze strony policji politycznej.

Duża ilość członków aparatu bezpieczeństwa rekrutowała się spośród Żydów; ludzie nie wiedzą jednak, że działa się to na skutek szantażu ze strony NKWD, które w wielu wypadkach zmuszały ich do wstąpienia w szeregi aparatu bezpieczeństwa. Genialny Stalin umiał utrwalić rzecz najbardziej hańbiącą Polaków - antysemityzm. Był on mądrzejszy w swoich planach od Hitlera; wiedział, co musi czuć przeciętny Polak na widok człowieka rasy semickiej; siedzącego naprzeciw niego i ubranego w mundur Urzędu Bezpieczeństwa: oto Żydzi, którzy przeszli tak straszne prześladowania w czasie wojny - prześladują teraz Polaków; Genialny Ziutek rozumiał, że cierpienie uszlachetnia, ale tylko w powieściach takich jak Ania z Zielonego Wzgórza.

Dziwne, że żaden z publicystów polskich nie wziął w obronę tych ludzi, których prosto z więzienia NKWD posłano do więzień UB, aby stali się stróżami braci swoich.

W Izraelu życie wariata jest usłane różami. Piękny kraj, słońce, gaje pomarańczowe, gdzie można płaść i zreć witaminy; w niektórych domach wariatów wprowadzono terapię pracy. Wariaci pracują na budowach lub przy pracach związanych z budową dróg. Dostają za darmo wikt i opierunek, a zarobione pieniądze odkładają na lepszą przyszłość, co pozwoli im po opuszczeniu szpitala na rozpoczęcie nowego życia lub powrót do ulubionego nałogu. To drugie wydaje mi się zjawiskiem bardziej typowym: jako empiryk operuję tu własnym doświadczeniem.

Zostaje tylko sprawa prześladowań ze strony policji politycznej Zachowujemy trudne dzieciństwo, publiczne egzekucje, szczegół z rewolwerem i przykucniętym podoficerem; ale

zamieniamy zupełnie sprawę szantażu ze strony Urzędu Bezpieczeństwa. Przedstawiamy to tak, że proponowano nam współpracę z UB w charakterze informatora; my jednak uparliśmy się, ale teraz boimy się wszystkiego: kroków na schodach, nocnych telefonów, mundurów Gwardii Papieskiej i tak dalej.

Lekarz: - Proszę, niech pan mówi, jak to było.

My milczymy.

Lekarz: - Proszę mówić. Proszę pamiętać, że jestem przede wszystkim lekarzem.

My milczymy.

Lekarz: - Czy ten oficer był...

Przerywamy.

My: - Tak. Panie doktorze, rzeczywiście trudno mówić mi o tych sprawach.

Mam w Izraelu wielu przyjaciół. Wiem, że terrorem i głodem można zrobić wszystko z ludźmi. Istnieją warunki, w których każdy zdolny jest do uczynienia każdej rzeczy w stosunku do innego człowieka. Jako katolik (protestant, baptysta, grecki katolik i tak dalej) wiem, że wszyscy ludzie...

I znów zyskujemy pewien czas, aby się odezwać i aby wymyśleć jakąś książkę czy też opowiadanie. Po jakimś czasie możemy poprosić, aby skierowano nas do pracy na budowie i przez parę miesięcy możemy pozbierać trochę grosza, a potem napisać coś, co nam sprawia przyjemność. Jest jednak rzeczą szalenie ważną, aby wybrać sobie odpowiedniego hysia. Najłatwiejsza do symulowania jest mania prześladowcza; ale raz jeszcze powtarzam, że nie należy zapominać o odmawianiu przyjmowania pokarmów przez parę dni w szpitalu, pod pozorem, że doszliśmy do wniosku, że lekarze są w zмовie z gestapo, UB, czy też mafią Casa Nostra, aby nas wykończyć. Głodu nie będziemy odczuwać, gdyż chroni nas od tego infuzja. Nie jest złą rzeczą udawanie, że słyszymy głosy rozkazujące nam rozmaite rzeczy, jak na przykład zamordowanie teściowej, popełnienie samobójstwa i tak dalej. Ale jeśli znaleźliśmy się tylko w przejściowych tarapatach finansowych - wystarczy najzupełniej nieudane samobójstwo. Przez trzy miesiące można wymyśleć kupę ciekawych rzeczy.

## **2. ROZCZAROWANIE KOMUNIZMEM.**

Ta sprawa jest zupełnie do niczego i nie może nam zapewnić wystarczających dochodów. Commies stworzyli świat fantastyczny i przeciętny człowiek nie ma ochoty ani możliwości, aby myśleć o takich rzeczach jak obozy Kołymy, Łubianka i nocne śledztwa. Opowiadano mi, że więźniowie obozów dalekiej Północy planując ucieczkę zabierali niekiedy świeżo przybyłego więźnia, aby karmić się w drodze jego mięsem. Wiem, że to prawda; lecz mimo to trudno mi w to uwierzyć. Czytając niedawno Zmartwychwstanie natrafiłem na

podobną historię o więźniu, który próbował ucieczki z Sybiru; wiadomo było, że namówił swego przyjaciela do wspólnej ucieczki, po czym zabił go i włókł trupa przez setki kilometrów, żywiąc się jego mięsem. Ale te sprawy nikogo nie interesują. A poza tym w imię czego wymagać od ludzi, aby w nie wierzyli. Kiedy opowiadałem ludziom, jak żyje się w Polsce, słuchali mnie z uprzejmym znużeniem. Potem przestałem mówić; a potem minął mój gniew. W imię czego miałbym żądać od ludzi wiary w to, że więźniowie pożerają się nawzajem; w imię czego miałbym żądać od ludzi to, że gest braterstwa zmienia się w gest samozniszczenia; w imię czego miałbym żądać od ludzi wiary w to, że pracując jak bydle zarabiałem na jedzenie gorsze od tego, jakie dostaje się w więzieniu w Jaffie? Niewiele wiem o moralności; jest to zdaje się pojęcie elastyczne; ale to wiem, że nie można żądać, aby ludzie w takie rzeczy wierzyli.

My, Polacy, w ogóle niewiele mamy szans. Każda książka rosyjska, choćby najślabsza, zawsze będzie miała tysiącokrotnie większe powodzenie od dobrej polskiej. Książka Herseya jest słabizną w porównaniu do tego, co napisał Adolf Rudnicki. Książki Urisa Mile 18 nie można w ogóle z niczym porównać, gdyż jest tak głupia. Jeden Dzień w Życiu Iwana Denisowicza jest książką słabą, ale z olbrzymim powodzeniem komercyjnym. Inny Świat Grudzińskiego jest książką wstrząsającą, ale nie przypuszczam, aby jej powodzenie komercyjne dało się porównać z Iwanem Denisowiczem. Ciemność w Południe, książka dziś już klasyczna, jest literacko słaba i pełna idiotyzmów świadczących o tym, że autor pojęcia nawet nie ma, jak wygląda więzienie - bohater powieści ogląda ze swej celi prowadzonego na śmierć przyjaciela; jak wiadomo „kapisz” jest możliwy do użycia, ale tylko od strony korytarza.

Inny bohater powieści ma papier i ołówek i rysuje Rubaszowowi mapę ZSRR w czasie spacerów na podwórzu - w więzieniu nie wolno mieć ani papieru, ani ołówka, czyli tak zwanych „ksywek”. Jeszcze inny nosi zegarek z dewizką („sikor”) - i tak dalej. Wszystkie trzy postacie: Rubaszow, Iwanow i Gletkin są postaciami papierowymi, do czego nawet sam Koestler przyznaje się w swej biografii, mówiąc, iż jego bohaterowie to nie żywi ludzie, ale kukły wypowiadające myśli. Kiedy czyta się dziś tę książkę, nie można oprzeć się wrażeniu, iż jest to tylko sentymentalny wykład totalitaryzmu. I sprawy nie ratują ani cytaty z Biblii ani cytaty z Machiavellego. Ale są to wszystko książki napisane przez Rosjan lub ludzi stamtąd; powodzenie tych książek jest zrozumiałe; jeśli chciałbym się dowiedzieć czegoś o Ameryce, wolałbym porozmawiać przez godzinę z przeciętnym inteligentnym Amerykaninem od czterogodzinnej rozmowy z najmądrzejszym człowiekiem w Porto Rico. Nie warto się tą sprawą więcej zajmować; tu grosza nie zarobimy.

### 3. SUTENERSTWO

Sutenerstwo jest zawodem niesłychanie trudnym i wymagającym wzorowo opanowanego aktorstwa, silnych nerwów i szybkich decyzji. Trzeba poza tym dysponować szeroką skalą uczuć; od skrajnego okrucieństwa do jagnięcej wręcz łagodności. Aby zostać sutenerem, niewiele nam jednak pomoże szkoła Reinhardta, Kazana czy Stanisławskiego, jeśli nie opanujemy rzemiosła aktorskiego sami, usilną pracą woli i charakteru. Opowiadano mi, że aktor amerykański, Burt Lancaster kazał się zamykać swemu lokajowi na długie godziny w pokoju, gdzie było tylko lustro i krzesło; mówił mu przy tym, aby otworzył mu drzwi dopiero o z góry oznaczonej godzinie i aby nie zważał na walenie w drzwi, kiedy zrozpaczony Lancaster nie będzie mógł wytrzymać samotności. Nie wiem, czy historia ta jest zmyślona, czy prawdziwa, ale musimy postępować podobnie.

Wbrew temu, co się powszechnie mniema i czego się nauczyliśmy z filmów i książek, trudniej jest odebrać zawodową prostytutkę innemu sutenerowi niż zrobić prostytutkę z dziewczyny szlachetnej i młodej. Z każdej kobiety można zrobić prostytutkę, jeśli się użyje tego rodzaju argumentów jak ukończenie studiów muzycznych czy lekarskich, kupno małego domku poza miastem, czy rozpoczęciem nowego życia połączonego z odrodzeniem moralnym.

Natomiast poderwanie prostytutki innemu sutenerowi jest trudne z dwóch zasadniczych powodów. Pierwszy - prostytutka kocha swego pasterza i poprzez codzienny stosunek z nim oczyszcza się moralnie i fizycznie; drugi - możemy dostać nożem od przyjaciół rzeczzonego pasterza, przy czym policja nie ujmie się za nami, ponieważ każda policja świata jest zblatowana przez sutenerów i ich wychowanice.

Zakładamy jednak, że widzimy ładną prostytutkę. Ona siedzi w lokalu; my przychodzimy i przyglądamy się na nią głodnym wzrokiem. Pierwszego wieczora nie mówimy nic; wypijamy piwo i wychodzimy. W drzwiach zatrzymujemy się przez chwilę i znów patrzymy na nią; patrzymy na nią z nienawiścią; już otwieramy usta, aby coś powiedzieć, ale nagle odwracamy się gwałtownie i wychodzimy. Idziemy następnie do naszej narzeczonej i długo przekonujemy ją, że Schiller jest lepszy od Goethego. Lub odwrotnie, to i tak bez znaczenia.

Następnego dnia idziemy do kina na film z Humphrey Bogartem. Najlepiej obejrzeć film Casablanca, piekielną szmirę, gdzie Bogart jest genialny. I od niego musimy się uczyć jak trzeba grać. Należy zwrócić uwagę na następującą scenę: Ingrid Bergman, była kochanką Bogarta, przychodzi do niego, aby prosić go o pomoc dla męża, któremu grozi aresztowanie przez gestapo; i tylko Bogart może go uratować. Dlaczego tak się dzieje, że w całej Casablance



tylko jeden Bogart może uratować tego szmondaka, nie wiem; ale to nieważne.

Bogart siedzi i pije whisky z olbrzymiej szklanki, którą trzyma w łapie.

Jest północ; przed Bogartem popielniczka wypełniona stu pięćdziesięcioma niedopałkami. Na pianinie gra Murzyn, ulubioną piosenkę Bogarta i Bergman.

Słysząc kroki; wchodzi Ingrid Bergman. Staje przed Bogartem. Na twarzy Bogarta nie drga ani jeden mięsień.

Bergman: - Musisz mi pomóc. Ten człowiek walczy o najważniejsze sprawy świata.

Bogart: - Przykro mi. Jediną sprawą, która mnie interesuje, jestem ja.

Bergman: - Jeśli mi nie pomożesz, ten człowiek zginie tutaj.

Bogart: - Ja też tutaj umrę. (Chwila milczenia, po czym dodaje uspokajająco): - Tu jest bardzo miły cmentarz.

Bergman: - Słuchaj. Kiedy go spotkałam, byłam młodą dziewczyną. Ten człowiek powiedział mi, co w życiu jest piękne, a...

Bogart (przerywa): - Kiedy byłam młoda, spotkałam mężczyznę, który... i tak dalej... i tak dalej. Piękna historii. Mnóstwo takich w życiu słyszałem.

Bergman wyjmuje pistolet. Bogart wybucha szatańskim śmiechem. Ale nie wypuszcza szklanki z whisky z ręki.

Bogart: - Strzelaj. Oddasz mi tylko przysługę.

Ta scena jest kapitalna. Bogart mówi powoli, nie śpiesząc się, twarz jego jest przy tym zmęczona i wykrzywiona.

Na pytanie dziennikarzy, o czym myśli wtedy, kiedy twarz jego przybiera wyraz zrezygnowania i zmęczenia, Bogart odpowiedział, że nigdy w ogóle nie myśli o niczym, a dziwaczną ekspresję twarzy uzyskuje dzięki prostemu trickowi: otóż prawy but zakłada na lewą nogę i odwrotnie; jest rzeczą oczywistą, że w tej sytuacji człowiek nie może mieć twarzy tak pogodnej, jak Ziutek Słoneczko przedstawiony na obrazie pod tytułem „Poranek naszej ojczyzny”, gdzie widzimy naszego tatę stojącego na tle wschodzącego słońca; widzimy tam też druty elektryczne, wieże wiertnicze, samoloty i zniwiarki.

Ale nie w tym rzecz.

Najważniejszą sprawą jest nauczenie się dialogu. Bogart był tym człowiekiem w filmie, który wszystko przewrócił do góry nogami. Do czasu Bogarta wszyscy aktorzy starali się wyszczezać swoją kwestię gładko i poprawnie; pierwszy Bogart w Skamieniałym lesie pokazał, jak powinno mówić się dialog. Bogart mówił źle, patrząc w bok i zacinając się. Długie zdania wyszczekiwał prędko, krótkie rozciągał do granic maksymalnych. Stwarzało to wrażenie, że szuka słów, że mówienie przychodzi mu z trudem i męczy go, a do tego mówił

bardzo niewyraźnie. Brando, aktor ze szkoły Kazana, mówił w tenże sam sposób: męczy się, zacina, jednak Brando nie ma w sobie prawdy Bogarta. Być może dlatego, że brak mu rezygnacji i spokoju, jakie miał Bogart. Wszyscy inni - Newman, Cliff, Dean są dziećmi Bogarta, ale nie jest chyba faktem przypadkowym, że Bogart święci triumfy w dziesięć lat po swojej śmierci, kiedy miliony widzów obejrzały już tłumy jego dzieci, z których żadne nie miało w sobie rozpacz i zimnej determinacji ojca.

Tak więc, nie zapominając ani chwili o Bogarcie, wchodzimy następnego dnia do knajpy, gdzie siedzi nasza jedyna. Jesteśmy ubrani źle i niechlujnie; nie myśleliśmy przecież o sobie; myśleliśmy o niej. To dlatego jesteśmy źle ogoleni; mamy źle zawiązany krawat i oczy podkrążone po bezsennie spędzonej nocy. To dlatego bruzdy na naszej twarzy pogłębiły się i dlatego ręce nasze drżą lekko, kiedy zapalamy papierosa stojąc szeroko rozkraczeni na progu knajpy; pamiętamy, że nikt nie jest tak czarujący jak człowiek, który wie, iż jest niezgrabny i nie potrafi nad tym zapanować.

Podchodzimy do niej.

My: - Ile?

Ona: - Sto.

Patrzymy na nią z osłupieniem; jesteśmy przecież nędzarzem i za tę sumę moglibyśmy żyć przez tydzień. Pomału osłupienie nasze przechodzi w rozpacz: nie mamy przecież tyle forsy. A potem patrzymy na nią z nienawiścią: przecież każdy ją może mieć, każdy, kto ma tę sumę, ale nie my. A potem ta nienawiść kieruje się przeciw naszej własnej osobie: mamy już przeszło trzydzieści kilka lat. Inni ludzie w tym wieku mają domy, samochody i konta bankowe; my nie mamy nic. Przegraliśmy życie; przegraliśmy przyszłość; przegraliśmy tę noc. Gasimy papierosa i wychodzimy.

Ona (za nami): - Osiemdziesiąt.

Odwracamy się gwałtownie. Ale na naszej twarzy nie ma już nienawiści i rozpacz; jest tylko zimna świadomość klęski. I tak przez krótki ułamek sekundy; a potem znów myślimy o tych wszystkich młodych ludziach jeżdżących jaguarami, uwodzących nieletnie i nudzących się w Portofino. Patrzymy na postrzępione rękawy naszego płaszcza i znów na naszej twarzy widać wściekłość.

My: - Nie potrzebuję litości.

Wychodzimy. Idziemy do narzeczonej i opowiadamy jej, że Schiller jest lepszy od autora Fausta lub odwrotnie; co jest bez znaczenia. Przychodzimy do naszej knajpy następnego dnia i w milczeniu pokazujemy jej żadaną sumę; i idziemy z nią na górę. Potem mówimy do niej, wyciągawszy z kieszeni list uprzednio zaadresowany na jakieś zupełnie

obce nazwisko...

My: - Jeśli nie wrócę jutro do ciebie, wyślij ten list.

Ona: - Dlaczego.

My: - Rąbnąłem dzisiaj jednego gościa. Chciałem cię mieć.

W dalszym ciągu dialogu wyjaśniamy jej, że idąc za głosem serca i czując w sobie tak zwany huragan zmysłów, a nie dysponując odpowiednimi środkami, przyłożyliśmy jakiemuś nieznanemu panu sztangę do głowy w celu uzyskania niezbędnego kapitału. Popelniliśmy zbrodnię, aby ją posiadać. Oddajemy jej także medalik kupiony dwie godziny temu u Żydów, a który jest naszą jedyną pamiątką z dzieciństwa; wyjaśniamy również, że jeśli nie wrócimy do jutra - medalik należy przesłać naszej matce, gdyż człowiek, który zabił, niegodzien jest nosić medalika czy krzyża.

William Faulkner powiedział kiedyś na zadane pytanie dziennikarzy - jaki jest najlepszy zawód dla człowieka piszącego - iż najlepszym zawodem jest zostać tak zwanym „panem”, czyli kierownikiem burdelu. Motywacja Faulknera jest prosta: dobre jedzenie, dobre stosunki z policją, łożuzy z przeciwka są pełni szacunku i nazywają cię „panem”, ranki wolne od pracy, a wieczorem wesoła zabawa. Ale w Europie nie ma nawet co marzyć o takiej posiadzie.

Jednak sutenerstwo potraktowane rozważnie, jako czas przejściowy konieczny na uzbieranie odpowiedniej sumy pieniędzy, aby wspólnie z ukochaną otworzyć gdzieś mały hotel, odrodzić się moralnie, nie jest zawodem złym. Sutenerzy mający po kilka kobiet, nie sypiają z nimi: jest rzeczą wiadomą, że sutener traci kontrolę nad prostytutką, z którą się prześpi. Ale o tym nawet nie ma co marzyć. Z chwilą jednak kiedy będziemy mieli jedną, musimy wymóc od niej przysięgę, że nie będzie ze swymi klientami uprawiać pewnego rodzaju rozkoszy: to jest to święte, co ma zachować dla siebie. Na przykład, aby nigdy nie zdejmowała biustonosza. To są rzeczy delikatne i każdy musi pomyśleć za siebie: jestem w końcu pisarzem-moralistą, a nie doktorem Kinseyem. Ale to jest niezbędne; musicie się upierać, aby zachowała coś świętego, i tylko dla was; i prac ją po pysku przy każdej okazji, urządzając sceny zazdrości. Ona będzie szczęśliwa i wy też. Ale kiedy po raz pierwszy przyniesie ci pieniądze, podrzyj je i wyrzuć przez okno, gdzie będzie stał już twój kolega, który jutro poskleja je i wytłumaczy w banku, iż dziecko wyjęło mu portfel z kieszeni i podarło banknoty. Następnie trzeba usiłować popełnić samobójstwo: w tym celu bierzemy żyłkę i usiłujemy podciąć sobie żyły powyżej łokcia (nigdy nie powyżej przegubu), gdzie żyły otoczone są grubą powierzchnią tłuszczu i mięśni, o czym my nie wiemy, ponieważ działamy w afekcie. I tak będą nam płynąć dni wśród róż i wina.

#### 4. CICHĄ PRZYSTAŃ ŻYCIOWĄ

O tym, aby człowiekowi ktoś pomógł, kiedy jesteś w nieszczęściu, nie może być nawet mowy. Ja sam zwracałem się o pomoc do polskich organizacji dwa razy w moim życiu: po raz pierwszy, kiedy byłem w Izraelu i kiedy nie mając pozwolenia na pracę zdychałem z głodu; po raz drugi w analogicznej sytuacji. Za każdym razem odmówiono mi; muszę jednak przyznać, że grzecznie. Jeśli zawiedzie nas dom wariatów - w sensie cichej przystani życiowej i sutenerstwo - w sensie zdobycia pieniędzy, aby odrodzić się moralnie i napisać nowelkę na temat wiosny uczuć młodej kobiety - zawsze znajdziemy szereg przytulisk zwanych więzieniami.

W więzieniu w Monachium nie jest źle, zwłaszcza jeśli ktoś pragnie nawiązać kontaktu z mową ojczystą, tak niezbędną dla człowieka piszącego: co trzeci więzień jest Polakiem. Panowie ci prowadzą nieskomplikowany tryb życia: śpią na dworcu, a w dzień zbierają się w Domu Towarowym w centrum miasta i tam składają się na butelkę wódki Puschin (reklamują ją jako wódkę dla twardych mężczyzn: jest to dwóch facetów z kielichami w rękach, koło nich siedzi niedźwiedź, patrzący na nich z życzliwością). Po czym rodacy nasi idą na dworzec, aby się nieco przespać, tam zostają aresztowani i skazani na osiem dni więzienia za włóczęgostwo. W więzieniu dokonują niezbędnych ablucji, których nie są w stanie dokonać na wolności, z tej prostej przyczyny, iż nie posiadają ani miejsca zamieszkania, ani dowodów osobistych. Przed kilkoma laty istniał w Monachium hotel Bunkier, gdzie można się było przespać za jedną markę; dziś jest to jednak niemożliwe. Na dworcu śpią również Włosi - nieudani sutenerzy i oszuści matrymonialni; tak więc w więzieniu monachijskim słyszymy trzy języki: niemiecki, polski i włoski.

W więzieniu tym jednak karmią marnie. Wszystkie filmy, w których widzieliśmy ludzi latających po celi po przekątnej, są nieprawdziwe: w więzieniu trzeba dużo leżeć, gdyż każdy zbędny ruch powoduje głód. Jest o tyle źle, że nie można pisać; trzeba wszystko obmyśleć z góry; sytuację po sytuacji, dialog po dialogu i nie wolno niczego napisać: regulamin więzienny zabrania wykonywania pracy zarobkowej.

Wbrew temu, czego tak bardzo pragną pedagodzy i reżyserzy filmowi, strażnicy więzienni nie lubią więźniów grzecznych i usłużnych; lubią „ciężkich chłopców”, jak to się tam nazywa: cwaniaków i bezczelnych skurwysynów. Jeśli kończy ci się jakiś wyrok i nie masz ani grosza, a chcesz jeszcze posiedzieć, aby zebrać zrozpaczone myśli, sposób jest prosty: zrzucasz ze ściany krzyż i dzwonisz na strażnika, a wtedy wpięprzają ci dodatkową szóstkę za profanację uczuć religijnych: Bawaria, miejsce pierwszych triumfów Adolfa Hitlera, jest krajem katolickim.

Nie daj Boże, żeby ci przyszedł do głowy głupi pomysł i abyś zameldował się do więziennego szpitala: nie wolno palić i nuda cholerna. Jeśli jednak rzeczywiście czujesz się kiepsko i musisz poleżeć, to uzbieraj trochę chleba i zamelduj się w niedzielę rano, że chcesz iść na mszę; w czasie nabożeństwa istnieje szansa wymiany koryta z facetami siedzącymi pod celą; możesz dostać trochę papierosów za wędlinę czy chleb od tych fetniaków, którzy nie palą, a którym przysługuje prawo kupna tytoniu dwa razy w miesiącu. Najlepiej odpalać towar w czasie podniesienia. W więzieniu nie wolno czytać Jerry Cottona, ale na izbie chorych mają do cholery i trochę zeszytów z Jerry Cottonem; trzeba je wymieniać w czasie kazania. I tak, gdy ksiądz mówi:

- Dla tej przyczyny zawołałem was, abym się z wami ujrzał i rozmówił; albowiem dla nadziei ludu izraelskiego tym łańcuchem jestem opasany...

Ty musisz wyszczekać ponad głową wachmistrza: - Mam Jerry Cottona. O tym, jak nakrył Jacka Buldoga i skosił go coltem-cobrą...

Wtedy odszczekuje ci:

- Całuj nas w dupę z twoim Cottonem. My chcemy ten kawałek, jak Jerry rznął tę Malajkę.

Wtedy ty do nich”

- Tę, co chodziła pod Jackiem Diamondem?

A oni do ciebie:

- Nie, t, co chodziła pod braćmi Ryan z San Fransisco...

A ksiądz:

- A będąc niezgodnymi między sobą, rozeszli się, gdy Paweł rzekł to jedno słowo: „Iż dobrze Duch Święty powiedział przez Izajasza proroka do ojców naszych...”

Chodzi o to, aby dobrze zsynchronizować się z głosem duszpasterza.

Zresztą kościół jest radiofonizowany, ale więźniowie z izby chorych siedzą osobno i są oddzieleni od siebie wachmistrzami. Po paru niedzielach nabierzesz takiej wprawy, że mógłbyś opowiadać w czasie mszy świętej całą historię Mike'a Hammera i nikt by cię przy tym nie nakrył. Wskazaną dla ciebie rzeczą jest znajomość Pisma Świętego, a przynajmniej Nowego Testamentu, tak, abyś wiedział mniej więcej, kiedy ksiądz uderza w patetyczne struny; i wtedy możesz załatwić co chcesz.

I trzeba mieć kraj, gdzie czekają na ciebie: to wtedy, kiedy będziesz krótki z forszą. Wyroki nieduże, ale pewne; przekraczasz granicę i jesteś jak w domu. Nie trzeba za to robić afer w Paryżu, bo to jest jedyne miasto, gdzie możesz się przefartować, kiedy jesteś krótki; ale tu dają łomot i spalisz się; a pamiętaj, że kto nie dostał w mordę od francuskiego

policjanta, ten w ogóle nie wie, co to jest być bitym. Jeśli znajdziesz się w więzieniu w Jaffie, to też nie rzucaj się za bardzo; dostaniesz taki łomot, że nabierzesz wreszcie pewności, że Izraelczykom nic się nie stanie i dadzą sobie jakoś radę. W Palermo, jak cię będą drutować i zdejmą ci medalik z szyi - przykleknij i ucałuj: dostaniesz papierosy od strażników, a jeśli będziesz miły, to pozwolą ci nawet napić się piwa w czasie śledztwa. I w ogóle bądź miły i twardy.

Jeśli już siedzisz pod celą razem z innymi niewinnymi, to nie wpadaj w rozpacz i nie łkaj, ponieważ nie zostaniesz przez nich zaakceptowany dramatycznie i towarzysko; a nigdzie nie przydaje się tak bardzo wyrobienie dramatyczne jak właśnie w tego rodzaju przytulisku. Bierz udział w ich rozmowach, ale nie bądź nachalny. W żadnym wypadku nie zabieraj głosu w sprawie winy; nie zapominaj, że w historii więziennictwa całego świata nie było jeszcze ani jednego niewinnego więźnia. Nie wtrącaj się w cudze rozmowy, nawet jeśli czyjś bełkot wyda ci się oczywistą bzdurą. Kiedyś siedziałem w Stadelheimie, dwóch niewinnych prowadziło ze sobą od miesięcy bezustanny spór: chodziło o to, gdzie pójdą po otrzymaniu wolności; mając oczywiście na myśli taką restaurację, gdzie upiją się najszybciej i najtaniej. Problem nie był łatwy: więzienia w Stadelheim zwalniają o piątej rano; o tej porze wszystkie knajpy są zamknięte.

Jeden z nich proponował, aby wprost z kryminału udać się na Schwabing i tam od razu przystąpić do dzieła. Drugi obstawał za wypadem na Dworzec Główny; jest to droga nieco dalsza, ale za to na dworcu jest taniej i będzie można wypić więcej; a poza tym odpadnie kłopot z następnym aresztowaniem, gdyż policjanci w Monachium zaczynają razie właśnie od Dworca Głównego tak, że nie będzie w ogóle problemu. Drugi więzień widać nieco bardziej zaawansowany w alkoholizmie, obstawał jednak twardo, aby udać się wprost na Schwabing i tam zacząć pić. Wreszcie obaj panowie znaleźli wyjście kompromisowe: udadzą się na rynek, gdzie w wielkiej pijalni, której nazwy już nie pamiętam, przystąpią do dzieła. Uzgodniono najdrobniejsze szczegóły: zwolnieni zostaną o piątej: pierwszy tramwaj dorwą dopiero o piątej piętnaście; jazda zajmie im pół godziny, a pozostałe piętnaście minut umilą sobie rozmową. Najbliższej niedzieli zapytałem obu panów, dlaczego ich nie zwolniono; okazało się, że mieli do odsiedzenia jeszcze po sześć lat.

W więzieniu istnieje pewna hierarchia ważności rozmów. Tematem numer jeden jest oczywiście niewinność każdego więźnia i bolesna omyłka organów wymiaru sprawiedliwości. Tematem numer dwa jest nikczemność i przewrotność kobiet; dalej sport, najważniejsze decyzje życiowe, wspomnienia z wojny; głupota aktualnego kanclerza czy też prezydenta; zagadnienie istnienia Boga i lamenty nad złym wyżywieniem; przy czym ten

ostatni problem staje się problemem numer dwa - to znaczy przed przewrotnością kobiet - w piątek,, kiedy to człowiekowi dają kawałek ryby z jakąś piekielną mazią. W sobotę jest już normalne jedzenie i pierwotna hierarchia rozmów zostaje przywrócona.

Wdzięcznym tematem jest snucie wspomnień dotyczących pobytu w innych więzieniach. Na ogół więźniowie niemieccy zgadzają się jednomyślnie, że najmiłym więzieniem w NRF jest więzienie w Stuttgarcie. Jest ono nowoczesne, zradiofonizowane i z bieżącą wodą; dodatkowy element dumy stanowi fakt, iż więzienie w Stuttgarcie wyposażone jest w radarowy system alarmowy i nie istnieje nawet jedna szansa na sto, aby uzyskać wolność na własną rękę. Więźniowie włoscy nie mają na ten temat jednomyślnej opinii, ponieważ Sycylijczycy nie lubią Włochów z Północy; ale wydaje się, że więzienie w Palermo nie jest złe; więzienia amerykańskie karmią najlepiej; jednak więźniowie kapryszą, twierdząc, iż reżym jest tam zbyt surowy.

Jeśli siedzisz pod celą, bądź towarzyski, ale nie staraj się zdobyć pozycji dominującej i nie bądź w żadnym wypadku duszą oszczerstwa, gdyż niepotrzebnie wzbudzisz zazdrość innych więźniów z natury mrukliwych i małomównych. Nie gładź bez przerwy o sobie; pamiętaj, że ci wszyscy włamywacze i sutenerzy też dostali się tutaj przez pomyłkę i chcą o tym mówić. Dobrze jest, jeśli widziałeś dużo filmów i umiesz je odgrywać. Jeśli masz dobrą pamięć, to odgrywaj *Przeminęło z wiatrem*, *Waterloo Bridge* i *Casablanca*; nie odgrywaj natomiast filmów gangsterskich i policyjnych, gdyż są to prawie wyjątki filmów idiotycznych, z wyjątkiem *The Asphalt Jungle* - ale niech cię Bóg broni, aby ci przyszła ochota odegrania *Rififi*. Pamiętaj o tym, że zrobienie dobrego i prawdziwego filmu szpiegowskiego lub policyjnego jest niemożliwe, ponieważ aby być dobrym szpiclem, trzeba umieć zgubić się wśród innych ludzi, a nie może tego dokonać człowiek taki jak Gary Cooper czy Sean Connery. Trzymaj się dramatu obyczajowego i filmów awanturniczych; więźniowie lubią *Eddie Constantine'a*: jego filmy odgrywać najłatwiej, ponieważ mało różnią się między sobą.

Jeśli chcesz zabłysnąć erudycją i odczytaniem, to opowiadaj przede wszystkim *Mickey Spillane'a*. Jest on mało znany więźniom niemieckim i będziesz miał na tym polu sukcesy. Natomiast wystrzegaj się komplikacji; jeśli nakryją cię na tym, stracisz na zawsze ich zaufanie i nie dostaniesz nigdy *peta*.

W więzieniu w Stadelheim istniał oddział nazywany przez więźniów „*Porsche Abteilung*”. Siedzieli tam generalni dyrektorowie i prezesi rozmaitych banków i zakładów; musieli odcierpieć swoje, gdyż policja złapała ich z kurwami w stanie nietrzeźwym za kierownicą. *Porsche* jak wiemy, jest bardzo popularnym samochodem sportowym; i tak

powstała nazwa tego oddziału. Faceci z „Porsche Abteilung” trzymają się z daleka i wyniośle; stanowią oni przedmiot drwin i nienawiści ze strony innych więźniów-nędzarzy. Musisz w więzieniu zapomnieć, że Bóg jest zawsze po stronie silniejszych batalionów; pamiętaj, że bogaty człowiek nigdy nie pomoże ci, wychodząc z założenia, że jałmużna demoralizuje. Jednak pamiętaj, że to nie biedni ludzie wymyślili powyższe zdanie; i nie wierz w to, co powiedział Fryderyk Wielki. Jeśli będziesz miał ochotę dać w mordę komuś z „Porsche Abteilung”, aby zyskać sympatię towarzyszy swego cierpienia i trzy dni karceru, to powiedz raczej tak, jak powiedział ów szwedzki król do Boga: „Panie, jeśli nie chcesz nam pomóc, to popatrz sobie przynajmniej, jak my, Szwedzi, potrafimy się bić.”

Kiedy jesteś w karcerze, oddajesz normalną kurtkę; zamiast niej zakładają ci czerwoną, abys był trefny w czasie gęsiówki i aby nie podchodzili do ciebie inni więźniowie. Ale nic się nie bój; jeśli byłeś równy pod celą, to więźniowie zaczną się młócić między sobą, a wtedy strażnicy skoczą aby ich rozdzielić, a jeden z więźniów odpali ci paczkę machorki, jeśli ją znajdą przy tobie przy powrocie do karceru, to musisz powiedzieć, iż znalazłeś ją na ziemi. Trzy dni to nie jest tak długo; jednak nie staraj się umilać sobie czasu onanizmem, bo rozklekoczesz się nerwowo. Myśl o swojej książce: spokojnie, scena za sceną i opowiadaj ją sobie od początku do końca, a potem zaczynaj na nowo. To rada, którą dał mi Igor Newerly; ale jest to rada najlepsza. Nie myśl o swojej żonie i w ogóle nie myśl o kobietach, kiedy jesteś w karcerze; staraj się myśleć o krajobrazach dzieciństwa, o żabach, które otwierałeś żyletką i o tym, jak rąbnąłeś swojej babce-staruszce złotą, ślubną obrączkę, gdy babka twoja leżała na katafalku, a ty powiedziałeś rodzinie, że chcesz zostać sam z drogimi zwłokami i wtedy zamieniłeś osiemnastkę na tombak. Nie śpiewaj; potem będziesz czuł się zmęczony, a kiedy będziesz zbyt zmęczony, nie uśniesz.

Staraj się wyobrazić sobie, iż żyjesz gdzieś poza czasem i przestrzenią; staraj się nie zwracać uwagi na bicie zegara. Pamiętaj o tym, co Szatow powiedział do Stawrogina: „Jesteśmy jak dwie osoby, które spotkały się gdzieś w nieskończoność, poza czasem i przestrzenią.”

Myśl raczej nie o terażniejszości i nie o jutrze, ale o sprawach przeszłych i przebrzmiałych; o rzeczach wesołych i przyprawiających cię o łagodny uśmiech i lekką zadumę. Ja na przykład myślałem o wkroczeniu radzieckich sokołów w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym, byłem wtedy w Częstochowie i mieszkalem przy ulicy Sobieskiego osiemdziesiąt cztery. Rosjanie weszli: rozbito cysternę ze spirytusem i potem ludzie leżeli w błocie pijąc spirytus zmieszany z rozdeptanym śniegiem. Ale to rzeczy ogólnie znane; tak się działo w czasie każdej wojny i w każdym mieście. Ale pod moimi oknami



Rosjanie szli dwa tygodnie; była to droga wiodąca na Warszawę. Oni jednak nie pytali nawet o Warszawę, od czasu do czasu jeden z nich, który wchodził do domu prosząc o trochę kapiatoku, pytał: „Gdzie droga na Berlin?” - i nie pytał nawet o kilometry, tylko o kierunek; z tyłu zostawił Ukrainę, góry Uralu, Kaukazu; złotą Moskwę i kamienny Leningrad; a teraz szedł do Berlina nie pytając nawet o kilometry, a tylko o kierunek.

Szli przez szereg nocy i dni śpiewając jedną i tę samą pieśń: o bohaterze Czapajewie, który hulał po Uralu; nocami gwałcili, a wtedy ci, którzy trzymali się za ręce szarpiącego się męża tej kobiety, mówili do niego uspokajająco i ze zdziwieniem: Ty czewo bezpakoiszsia? Razoczek żonku pieriejbiom i dostateczno. A ci idący na ulicy wciąż śpiewali o Czapajewie i o tym, że dostali list pierwszego maja od swojej matki, która pyta, czy nie zabito go jeszcze.

Mieli dużo dobrych pieśni; o tym, że gniew ich jest święty i pieni się jak fala; o tym, aby nie rozpaczały ich matki i życzyły im dobrej drogi, kiedy idą pod gwiazdami zwycięstwa; i o tym, że piją za Ojczyznę i Stalina; a potem naleją po jeszcze jednym. I dopiero dzisiaj wiem, że Rosję można zrozumieć także poprzez śpiew' kłamią ich nędzne książki i głupie gazety; ale melodie prowadzące do zwycięstwa są prawdziwe i w nich jest siła narodu; i prawda, że każdego żołnierza można pokonać, ale nie żołnierza rosyjskiego.

Kładli się spać na śniegu w bramie naszego domu; nie chcieli wejść do środka i zasypiali natychmiast, a rano budzili się i otrząsali się jak psy po wodzie; gotowali swoją kaszę z kawałkiem słoniny i szli na Berlin. Brali nasze zegarki i nasze obrączki; brali nasze kobiety, ale nie chcieli naszej gościny i naszego dachu pod głową. Pamiętam, jak gwałcili jakąś kobietę na podwórku, a potem któraś z naszych kobiet, chcąc uchronić się od tego losu, podeszła do zapinającego rozporek sierżanta i podała mu kielich wódki mówiąc: Wasze zdrowie, kamandir. Sierżant wyjął z jej rąk butelkę i rzucił ją o ścianę; i wtedy zrozumiałem; że żadna pogarda nie jest tak straszna jak pogarda człowieka rosyjskiego. Oni rozdeptali szkło i dołączyli do tamtych, idących na Berlin i śpiewających o Czapajewie.

A potem przeszły oddziały bojowe i weszły wojska NKWD i my wszyscy poszliśmy patrzeć, jak będą rozwalać rodziny własowców mieszkających o parę metrów dalej. Ci z NKWD zajechali na podwórko willisem i sierżant krzyknął nie wyłączając motoru i nie wychodząc z maszyny: „Wychodźcie bracia!” - i oni wyszli; ustawili się pod murem, a sierżant przejechał po nich karabinem maszynowym; odjechali nie sprawdzwszy nawet, czy w piwnicy domu starał się ktoś ukryć, my wszyscy, którzy rzuciliśmy się, aby ukraść to co się da, zobaczyliśmy, że nikt z nich nawet nie próbował ukryć się; wszyscy leżeli martwi i przyprószeni śniegiem. Więc kiedy jesteś w karcu, myśl o tym i pamiętaj, że jeśli przyjdą tu kiedyś, to nie próbuj nawet uciekać.

Pamiętaj, że prawdziwy człowiek nigdy nie ucieka naprawdę; ale przed nimi nie ucieka nikt. Nie ciesz się z tego, że masz paszport uciekiniera i że wolno ci mieszkać w Szwajcarii, Francji czy we Włoszech; na końcu tak czy owak będziesz sam; ale jeszcze przedtem będziesz sam przez całą drogę i nikt nigdy nie uwierzy ci w to, co mógłbyś powiedzieć i co chciałbyś powiedzieć. Ale może lepiej nie myśl o tym w karcu; możesz zacząć o tym myśleć, kiedy znów będziesz w celi razem z innymi ludźmi, którzy wierzą jeszcze w to, że za sześć lat pójdą do tej samej knajpy i będą pić to samo piwo; i że nie śmieją się z ich wiary. Być może, iż jest święta.

## **5. UCZCIWA PRACA**

Uczciwej i dobrej pracy nigdy nie dostaniemy. O szpiegostwie nie ma nawet co marzyć; Polacy nie nadają się do tego. Kiedy po wybraniu wolności pytano mnie, czy wiem, gdzie są wojskowe lotniska w Polsce, powiedziałem, że o niektórych nie wiem. Mój rozmówca ożywił się.

- Więc gdzie?

- W Warszawie na Boernerowie - powiedziałem.

- I gdzie jeszcze?

- Koło Legnicy.

- Wie pan o jeszcze innych?

- Zdaje mi się, że jedno jest w okolicach Gdyni - powiedziałem. - Pomiedzy Gdynią a Gdańskiem. Nie jestem pewien. Ale gdzieś tam powinno być.

- Pan widział te lotniska? - zapytał mój rozmówca.

- Nie - powiedziałem. - Nie widziałem ich nigdy.

- To skąd pan o nich wie?

- Z Radia „Wolna Europa” - powiedziałem. I tak skończyła się moja kariera szpiegowska.

O tym, żeby zostać szpiegiem, nie można nawet marzyć, ku mojemu najszczerzszemu ubolewaniu. Mam o to osobistą pretensję do Jerzego Putramenta, który w swej mistrzowskiej powieści Arka Przymierza sportretował konegenialnie Polaka-szpiega będącego na usługach jakiegoś tam wywiadu; moje pretensje rozciągają się również na Tadeusza Konwickiego i Jarosława Iwaszkiewicza. Jak pamiętamy bowiem z ich książek, Polacy wybierający wolność w Europie Zachodniej są kuszeni przez oficerów CIA., którzy wręczają im sympatyczny atrament, pistolety z tłumikami trucizny i dynamit - ale Polacy dumnie odrzucają propozycję amerykańskich oficerów i skruszeni wracają na łono ojczyzny. Także w filmie według scenariusza Tadeusza Konwickiego, pod tytułem Kariera, widzimy Jana Świderskiego, który

zostaje amerykańskim szpiegiem; w filmie Pościg widzimy amerykańskiego szpiega, którego oficerowie CIA wysłali do Polski, aby wytruł czy wykastrował ogiery; w filmie Wandy Jakubowskiej, którego tytułu już nie pamiętam, występuje również szpieg; w drugim filmie Wandy Jakubowskiej pod tytułem Żołnierz Zwycięstwa występuje aż dwóch szpiegów angielskich. Jeden szpieg nazywa się Władysław Gomułka; drugi szpieg - Marian Spychalski. Na podstawie tych lektur i obrazów człowiek ma prawo przypuszczać, że zostanie natychmiast zauważony przez Amerykanów, aby truć ogiery, kastrować kurczaki i przecinać druty telefoniczne; ale czeka nas straszne rozczarowanie - zamiast dynamitu i pistoletu z tłumikiem dostajemy po prostu kopniaka w tyłek i na próżno powołujemy się na to, iż przeczytaliśmy powyższe książki i obejrzelśmy wspomniane wyżej filmy i że na tej podstawie pełni ochoty i nadziei pragniemy rozpocząć karierę. Nasza argumentacja nie trafi do przekonania udzielających nam azylu oficerów.

Pisarzy pragnących poświęcić się pisaniu powieści szpiegowskich należy ostrzec się przed tego rodzaju twórczością. Jest rzeczą niesłychanie trudną przerzucenie szpiega do kraju poza żelazną kurtynę. Osobnik taki jest albo oficerem amerykańskim, którego wyszkolenie trwało, Bóg wie ile lat i kosztowało Bóg wie ile pieniędzy; albo kanalią, której nie można zaufać i która pracuje dla tego, kto da więcej. Na zasadzie prostego myślenia.

Technicznie przerzucenie takiego osobnika przez granicę jest, przy współczesnym systemie alarmowym, bardzo trudną rzeczą; można go wysłać w misji handlowej czy też jako attache' culturel; ale nie jest to łatwe.

Natomiast Rosjanie i Polacy mogą przerzucać na Zachód tysiące szpiegów rocznie i nie jest to związane z żadnym ryzykiem: po prostu przyjeżdżają tutaj i proszą o azyl polityczny, argumentując swą decyzję na zasadzie pieśni, tak niegdyś popularnej w Polsce „Truman, Truman, puść ta bania, bo to jest nie do wytrzymania.” Zostają tutaj i przez szereg lat siedzą cicho, pracując w swoich zawodach i dopiero po jakimś czasie rozpoczynają działalność na rzecz swoich mocodawców. Nie są to przypadkowe kanalie, którym nie można zaufać, lecz ludzie partyjni i fanatycy, którzy wiedzą dobrze, iż droga ich jest w rzeczy samej krótka i skończy się ilością dwudziestu czterech tysięcy volt; jednak nie odstrasza ich to i robią swoje. Widzieliśmy, w melodeklamacjach napisanych przez Leona Kruczkowskiego, jak małżeństwu Rosenbegr strzygą główki, aby lepiej przylegały do elektrody; a zniecierpliwiony prezydent Eisenhower czeka na telefon, który podłączony jest do ich celi; chodzi o to, aby Rosenbergowie zasypali innych szpiegów; ale oni tylko całują się i mówią o Stalinie, aż do momentu kiedy kat łączy się z Western Electric i potem puszcza prąd przez ich ciała; Eisenhower rozumie wtedy klęskę swego narodu, swej polityki i głupotę oficerów

amerykańskiego wywiadu.

Jeżeli już prosiliśmy o azyl, to trzeba wystrzegać się bredzenia, pamiętając, że nasi przyjaciele z dzieciństwa, lat szkolnych i młodości, które prysnęły uprzednio - zasypali nas gruntownie i powiedzieli o nas wszystko co najgorsze; tak, że przesłuchujący nas oficer CIA wie o nas to, czego my nawet sobie nie jesteśmy w stanie przypomnieć. Nie należy również wpaść na głupi pomysł i opowiadać Amerykanom o rzeczach nieprawdziwych, licząc na to, że znajdziemy - przynajmniej na jakiś czas - cichą przystań życiową. Możemy wpaść pod rozhukane konie; ale jeszcze przedtem dostaniemy tak po mordzie, że nawet w grobie zachowamy pozycję zasadniczą.

Nie dostaniemy więc żadnej uczciwej roboty, jeśli jesteśmy człowiekiem piszącym, a nie należeliśmy do partii i nie byliśmy wychowankami Światły, Monata i Fejgina. Chętnie zostałbym amerykańskim szpiegiem, aby załatwić paru commies, chociaż wiem dobrze, że szybko by się do mnie dorwali. Ale jak powiedziałem: nic z tego, ponieważ nikt nas nie potrzebuje. Nie wiemy przecież w gruncie rzeczy absolutnie nic o kraju, w którym żyliśmy; wiedza o nieszczęściu jest wiedzą jałową. I cóż można powiedzieć więcej o Polsce poza tym, [...] w dniu, kiedy speaker Radia Moskiewskiego powiedział:

Dzisiaj, siedemnastego stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku nasze pełne chwały wojska oswobodziły miasto Warszawę. Wieczna sława bohaterom armii czerwonej poległym w dziele oswobodzenia Ojczyzny. Śmierć niemieckim najeźdźcom.

## MAM DRZWI DO SZAFY DWUDRZWIOWEJ OSZKLONE

Wbrew temu, co się czyta, okres wolności słowa, trwający tak krótko w Polsce, nie zaczyna się z chwilą przejścia do władzy Władysława Gomułki, lecz właśnie w tym okresie kończy się zaszantażowanym pojęciem „racji stanu” użytym właśnie przez tegoż Władysława Gomułkę, z którym wiązano nadzieje. Gomułka nie potrzebował używać metafor i przenośni, aby podbudować swoją tezę: czołgi sowieckie na ulicach Budapesztu i piętnaście - jeśli wierzyć danym oficjalnym - tysiące zabitych Węgrów stanowiło wystarczająco silne ostrzeżenie.

Wywieszono wtedy na ulicach Warszawy flagi węgierskie i tysiące ludzi zgłaszało się, aby oddać swoją krew, którą następnie transportowano samolotem do walczącego miasta; grano hymn węgierski; Po prostu drukowało na pierwszej stronie węgierski poemat po tytule „Powietrza”; lamentowano i pito; w ten sposób narodowe poczucie tragizmu zostało zaspokojone.

Nie łatwo jest dzisiaj pisać i mówić o Październiku; okazuje się nagle, że nikt nie wierzył. Nie myślę, aby warto rozwodzić się na ten temat; nie pamiętam jednak, aby w historii świata znany był fakt, iż tyran rozdziera pewnego dnia szmaty, po czym oświadcza, że od jutra postara się być lepszy.

W starych numerach Po prostu w artykule naczelnego redaktora czytamy, iż „polski październik” nastąpił w rezultacie rewolucyjnego wrzenia mas robotniczych i chłopskich, i ich zdrowego instynktu i wyrobienia politycznego, nakazującego im wysunięcie żądań praworządności i demokracji w stosunku do kierownictwa partii i narodu. Nie wiem w jakim stopniu można brać na serio dumne oświadczenie robotników Żerania: „nie przepuścimy”. O tym, czy trzy tysiące ludzi uzbrojonych w karabiny ręczne ze sztykami jest w stanie powstrzymać armię sowiecką, najlepiej spytać wojskowych. W każdym razie partia rozegrała w swój taktyczny manewr bezbłędnie z punktu widzenia widowiska i sceny teatralnej; dano ludziom poczucie, iż dokonali czegoś, co stanowi istotny punkt zwrotny w dziejach narodu.

Trudno jest natomiast ocenić całą sprawę z punktu widzenia humorysty. Nie wiem czego, i na jakiej podstawie, ludzie spodziewali się po Październiku; i czy upoważniało ich do tego jedenastoletnie doświadczenie i bliskość granicy sowieckiej. Być może, że działo się to na zasadzie wiary w jednego człowieka: Władysława Gomułkę. Być może, iż wierzono, iż człowiek ten, który cierpiał i był więźniem swych współwyznawców, rządzić będzie nami nie zapominając o tym, co sam przeżył i przecierpiał. Są to jednak przesłanki etyczne, stanowiące treść wspomnianej już przeze mnie książki pt. Ania z Zielonego Wzgórza; jeśliby jednak

oprzeć się na materiałach statystycznych i na tym, co mówią policjanci i dyrektorzy więzień, mający wieloletnie doświadczenie nic nie wiadomo, aby cierpienie uszlachetniało. Drugim zabawnym elementem w tej całej hecy jest uczucie rozczarowania w stosunku do Gomułki; tak, jakby rzeczywiście ten człowiek miał szansę zmienienia czegokolwiek na lepsze w bliskiej przyszłości. Sam Władysław Gomułka, wkrótce po dojściu do władzy, w oświadczył w jednym ze swych przemówień, iż niemożliwe jest szybkie podniesieni stopy życiowej, gdyż po prostu nie mam czym płacić. Mówił przy tym o kolosalnych zadłużeniach Polski; o katastrofalnym stanie gospodarki narodowej, nie zapominając dodać, że Związek Radziecki wspaniałomyślnie zrezygnował z części swych roszczeń w stosunku do Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Nie słuchano jednak wystarczająco uważnie jego słów; kiedy jechał do Moskwy, tłumy zebrane na dworach ryczały radośnie na jego widok, błagając go jednocześnie, aby zabrał ze sobą na wszelki wypadek suchy prowiant i dając mu dobrą radę, która w owym czasie stała się hasłem narodowym: „Wiesiek, trzymaj się.” I zupełnie nie pamiętano, iż człowiek ten jest komunistą, prawdopodobnie najbardziej zaciekłym i twardym, i nieustępliwym. Ta cała historia świetnie nadaje się dla pisarzy-moralistów: naród gnębiony i bity w tyłek przez lat jedenaście, na skutek cierpień i bolesnych doświadczeń wierzy w to, iż nagle stanie się inaczej za sprawą jednego samotnego człowieka; jednak z punktu widzenia literatury policyjnej, w której duchu zostałem wychowany i która mnie interesuje, ta sprawa nie nadaje się na nic.

Pisarze i myśliciele głosili po jakimś czasie legendę, iż są znieawidzeni przez Gomułkę. Przykro mi, ale nie jest niestety aż tak dobrze. Obawiam się, że jest to legenda wymyślona przez nich samych.

Gomułkę uznano za szpiega i nikczemnika; pluto na niego; urządzano masówki, w czasie których potępiano go publicznie, zarzucając mu ponad wszelką wątpliwość działanie na rzecz wywiadów francuskiego, angielskiego i amerykańskiego; nie dano mu nawet tego, co stanowi przywilej najpodlejszego kryminalisty: stanięcia przed sądem i powiedzenia prawdy o sobie ludziom i sędziom. Pisarzom piszącym o szpiegach Gomułki i nieszczęściach wynikających z „wychylenia gomułkowskiego” dawano nagrody państwowe; kosztem olbrzymich środków finansowych i wielu lat pracy i przemyśleń nakręcono wspomniany film pod tytułem Żołnierz Zwycięstwa; szadzono z niego i drwiono, i nie było nawet ani jednego Szymona Cyrenajczyka, który by mu pomógł. Po czym - według określenia Putramenta - rozgromiony Gomułka powrócił. I nic się nie stało: ci sami ludzie, którzy na niego pluli, dalej kręcą filmy i piszą książki; nikt nie został skrócony o głowę, nikt nie podzielił losu Borysa Piliniaka, Izaaka Babla i Gorkiego, którego siedem śmierci opisał Gustaw Herling-

Grudziński. Nienawiść jest uczuciem, na które w zasadzie trzeba porządnie zasłużyć, jeśli ma się do czynienia z prawdziwym człowiekiem, niezależnie od tego, czy jest komunistą, czy nie.

Ale legenda jest dobra: głowa państwa nienawidzi nas. Chciałbym, aby tak było w istocie; jestem jednak zbyt stary, aby wmówić sobie, że uczucie pogardy jest tym samym, co uczucie nienawiści. Jak powiadają: każdy może zabić, ale tylko król potrafi darować życie. Tak więc otrzymano podarunek królewski; ale podarunek ten jest podarunkiem człowieka pogardzającego, a nie człowieka nienawidzącego.

Przykro mi.

Ja sam w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym nie miałem już nic do roboty. W roku pięćdziesiątym szóstym wydano zbiór moich opowiadań pod tytułem Pierwszy Krok w Chmurach, ale był to krok również i ostatni. W literaturze interesowała mnie poza donosem policyjnym jedyna tylko sprawa: miłość kobiety do mężczyzny i ich klęska. Nie wiem, dlaczego tak się stało: ja sam kochałem się w życiu tylko raz; było to jedenaście lat temu i potem już nigdy nie kochałem nikogo ani przez minutę. mimo iż bezustannie starałem się stworzyć sobie złudzenia. Wszyscy, którzy mnie znają i pamiętają, wiedzą, iż przestałem się interesować literaturą naprawdę z chwilą, kiedy rozstałem się z Hanią. Ale Hania nie zostawiła mnie samego: dostałem wtedy przydział na mieszkanie i mając wybór między Starym Miastem i Ochotą, wybrałem Ochotę, ponieważ w domu, w którym mieściło się gniazdo mego przyszłego szczęścia rodzinnego, mieścił się również żłobek dla dzieci, a Hania miała dzieci. Tak więc Hania odeszła, a ja zostałem z dziećmi. Wracalem o piątej rano z knajpy zalany łzami, ale już o siódmej chór świeżych głosów dziecięcych w sile trzystu osób, budził mnie pieśnią, której część tylko pamiętam:

Witaj w codziennym trudzie.

W radosnym zgiełku, w naszych but płomieniach.

Kraju radosnych ludzi.

Narodów czynem wznosim dom z marzenia.

Wśród stepów, lasów, bujnych łąk,

Z południa po polarny krąg.

Legł ukochany mój, niepokonany mój,

Narodów stu ojczysty kraj...

I dalej w tym stylu. Budziłem się i znów zalewałem łzami; o godzinie ósmej przychodzili do mnie pierwsi goście: koledzy wracający z Zieleniaka, gdzie zazwyczaj trafiali po godzinie piątej rano, kiedy zamykano już „Kamerę nocną”. Na Zieleniaku można było pić na zasadzie over-time.

Niektórzy z przyjaciół mej młodości przychodzili, aby otworzyć przede mną serca, inni, aby zaciągnąć pożyczkę umożliwiającą im dalsze kontynuowanie pijaństwa. Ja siedziałem w pościeli i płakałem; inni pili dyskutując o polityce. Kiedyś Tadeusz Kubiak przyprowadził ze sobą jakiegoś karła, którego kupił na prezent dla swego syna; i poprosił, abym przechował u siebie karła do następnej gwiazdki; było to zdaje się w lutym; chodziło o to, aby dzieci Tadzia Kubiaka otrzymały niespodziankę w Wigilię; ale na szczęście karła odkupił od Kubiaka kolega Janicki i odszedł z nim sobie tylko wiadomym kierunku. Na dole dzieci śpiewały; a ja płakałem, a koledzy chodzili do restauracji „Esplanda” mieszcząca się o dwie ulice dalej i przynosili wódkę. Od czasu do czasu przychodził Adam Pawlikowski z jakąś kobietą, która była skłonna dać mu tak zwane szczęście i wyrzucał mnie z mego własnego domu na czas trwania romansu; odchodziłem więc żegnany przekleństwami sąsiadów i chórem dziecięcym. A pewnego dnia kolega Pawlikowski oświadczył mi, iż wstępuje w trwałe związki małżeńskie; i tak skończyła się historia mego gniazda rodzinnego przy ulicy Częstochowskiej.

Otworzyłem wtedy serce przed Poldkiem Tyrmandem oświadczywszy mu, że nie mogę żyć bez Hani. Tyrmand wysłuchał mnie, po czym ze złowieszczym uśmiechem powiedział:

- Wobec tego została ci tylko zimna stal. Ale spróbuj wyjechać z Warszawy. Jedź gdzieś, gdzie jej nie będzie, i spróbuj pisać.

- Ale i tak nic się nie uda - powiedziałem.

- To jest to, czego ci właśnie brakuje. Naucz się pracować z myślą, że nie może się udać. Tylko wtedy udaje się coś od czasu do czasu i naprawdę.

I rzeczywiście: nie udało się. Pojechałem do Kazimierza i zabrałem się do pisania opowiadania pod tytułem Cmentarz; opowiadanie to zacząłem dwa lata temu.

Siedziałem w Kazimierzu i myślałem o swoim domu przy ulicy Częstochowskiej. Nie czytałem jeszcze wtedy wspaniałego eseju Hostowca pod tytułem „Wronia i Sienna”, ale nasz dom niewiele się różnił od tego, w którym mieszkał Hostowiec. I tam odbywały się straszliwe sceny zazdrości, w których uczestniczyła cała ulica; i tam odbywały się libacje obficie zakrapiane alkoholem, i jak każda szanująca się warszawska ulica mieliśmy swego Złego - był nim niejaki „Lolek-Partyzant.” Lolek-Partyzant był człowiekiem o sile niedźwiedzia. W czasie wojny na skutek niezwykłych perypetii dostał się jakoś do Jugosławii, gdzie walczył w partyzantce Tity.

Wrócił do Polski w randze jugosłowiańskiego oficera i obwieszony medalami; po jakimś czasie, kiedy Rosjanie zaczęli cholerować się z Jugosławianami, Lolka-Partyzanta



zaproszono do najbliższego komisariatu i tam kazano mu nie tylko oddać wszystkie medale, które otrzymał za waleczność, ale także podpisać list do swojego byłego dowódcy, oświadczając, że nie zamierza utrzymywać z nim żadnych stosunków i że uważa go za zdrajcę ruchu robotniczego. Od tego czasu Lolek-Partyzant zaczął pić; zarabiał przy tym na pijaństwo w sposób bardzo prosty - brał żelazny łom, szedł na róg do znajomego garbusa, który miał kiosk z gazetami i prosił go o postawienie ćwiartki wódki. Garbus odmawiał; Lolek przewracał cały kiosk z garbusem i teraz proponował garbusowi podniesienie kiosku, ale już nie za ćwiartkę, lecz za pół litra. Ponieważ do podniesienia kiosku potrzeba było trzech silnych ludzi, garbus zgadzał się i Lolek-Partyzant, podłożywszy żelazny drąg, stawiał kiosk wraz z garbusem i zainkasowawszy pieniądze, szedł na wódkę.

Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego garbus nie zgadzał się na pierwszą propozycję Lolka, na ćwiartkę, lecz twardo obstawał przy swoim, iż nie da nic, co w rezultacie kosztowało go dwa razy tyle. Był to niewątpliwie człowiek z tragedii antycznej i chodziło mu o element cierpienia - catharsis, który ratowałby jego klęskę od śmieszności. Drugim takim człowiekiem, to jest bohaterem w skali tragedii antycznej, jest Bill, barman w „La Bohe'me”. Bill był amerykańskim żołnierzem i będąc stałym klientem w „La Bohe'me”, robił tam więcej awantur, w których zawsze zwyciężał. Właściciel „La Bohe'me”, genialny Tony, wpadł na zaiste szatański: kiedy Bill odsłużył swoje, zaproponował mu posadę barmana, na co Bill się zgodził, gdyż w międzyczasie ożenił się był ze śliczną paryżanką.

Ale będąc barmanem, nie może bić gości; wręcz przeciwnie; musi ich uspokajać i rozdzielać, i nawet nie wolno mu kopnąć gościa w pizczel.

Często, kiedy siedzę w „La Bohe'me” i widzę bójkę, i wkraczającego w krąg walczących Billa, myślę, patrząc na jego twarz, co musi się dzieć w duszy tego człowieka; myślę o jego piekielnym pragnieniu przyłączenia się do walczących. Jest to najbardziej tragiczny człowiek, którego znałem.

Na ulicy Częstochowskiej moim bankierem, opiekunem moralnym i doradcą był stróż mający trzech synów. Byli to chłopcy mili i spokojni. Natomiast osobą straszliwą była ich matka, mająca stałe kłótnie i zatargi z sąsiadami.

Synowie musieli regulować te sprawy i dlatego nigdy nie siedziało ich trzech przy stole, jeden z nich bywał zwykle gościem Wymiarów Sprawiedliwości. Dzieci kochały swoją matkę i gdy matka wpadała z rozwianym włosiem i oczami miotającymi jak błyskawice, krzyząc: „Tadek, niech teraz zapłacze matka Kwiatkowszczaków!...” Tadek wstawał od stołu i biorąc od najstarszego brata pamiątkowy nóż sprężynowy, wylatywał na ulicę. Tadek był najmłodszym synem w rodzinie i jako taki najczęściej musiał regulować właśnie rodowe

przy ulicy Częstochowskiej. Kiedyś wraz z moim stróżem i jego rodzinę poszliśmy na sprawę sądową Tadka. Prokurator ciskał gromy, a Tadek wykonywał uspokajające gesty w stronę matki, krzycząc od czasu do czasu przejmującym szeptem:

- Mama nie pęka! Ja go zaraz ułożę!

Wszystko są to sytuacje z Wiecha. Jest wielkim nieporozumieniem, iż Wiechę uważa się za felietonistę, w rzeczywistości jest to największy nowelista i pisarz obyczajowy. Jego niektóre opowiadania są genialne, o tych dwóch złodziejach, którzy pokłócili się przy podziale zysków; o „Aniele dobroci”, czyli najspokojniejszym sublokatorze przy ulicy Rybaki; o amerykańskim Tatersalu konnej jazdy figurowej przy ulicy Dzikiej, pod fachowym kierownictwem pana Heńka Szpagata; i o panu Mońku Alfabecie - największym donżuanie przy ulicy Twardej. Pisząc powyższe zdaje sobie sprawę, iż nie wyjawiam nie znanych dotąd spraw, natomiast jest jedna rzecz, której - mimo że sam jestem warszawiakiem urodzonym na Powiślu - nie rozumiem: czy Warszawa mówi tak jak pisze Wiech; czy też Wiech pisze tak, jak mówi Warszawa. Pamiętam, że wszyscy nasi kierowcy z „Metrobudowy”, WSS, MHD i niektórzy warszawscy z „Pagedu” kupowali Express Wieczorny tylko po to, aby dowiedzieć się o aktualnych kłopotach Gieni, szwagra Piekutowszczaka i Walerego Wątróbki. Wiech przestał być pisarzem obyczajowym i stał się felietonistą, ale stało się to już po wojnie, kiedy sam Wiech powiedział: „To nie ja zmieniłem Piekutowszczyka. Piekutowszczyka zmieniła historia” I rzeczywiście: po wojnie szwagier Piekutowszczak przestał być „wychowawcą monopolowym”, a stał się zwolennikiem kefiru; z racjonalisty stał się pozytywistą; z cwaniaka - dialektykiem. Przestał się posługiwać rozumem; miast tego zdobył wiedzę o tym, jak należy myśleć o różnych sprawach. I tak umarł najzabawniejszy człowiek Warszawy.

Przed długie lata szukałem pisarza, który zastąpiłby mi Wiecha z okresu Nalewek, Smoczej i Dzikiej. Znalazłem go wreszcie: jest nim Damon Runyon. I on także stworzył galerię postaci podobnie jak u Wiecha i mówiących osobliwym żargonem przedmieść Nowego Yorku. Jest tam Harry-Koń, człowiek, który tak długo grał na wyścigach, aż sam upodobił się do konia; Hiszpański John - przestępca; Wielki Rzeźnik - rozpruwacz kas. Kiedy mieszkałem w pewnym hotelu w Tel-Awivie, niektórych jego mieszkańców nazywano już Hiszpańskim Johnem, Wielkim Rzeźnikiem i Harry-Koniem. Został tylko jeden wakat - dla mnie. Tak więc, z powodu mojego rzucającego się nachalnie w oczy semickiego wyglądu, nazywano mnie „Little Isadore”. W ten sposób byliśmy wszyscy w komplecie. Wszystkie te postacie, tak jak bohaterowie Wiecha, mają podobne kłopoty, podobne radości i smutki.

Harry-Koń, Hiszpański John i Mały Izidor przychodzą do Wielkiego Rzeźnika z propozycją, aby im otworzył kasę, ten odmawia: jest właśnie szczęśliwym ojcem

sześciomiesięcznego dziecka, a żona jego poszła do teściowej i nie wróci na noc. Po długich naradach postanawiają wziąć dziecko ze sobą; tak więc kiedy Wielki Rzeźnik boruje kasę pancerną, jego kumple zabawiają dzieciaka dając mu do zabawy piły i świdry; Mały Izydor przez pomyłkę dał mu nawet - miast butelki ze smoczkiem - butelkę z nitrogliceryną. I tam również, jak u Wiecha. Damon Runyon: In fact, everybody in the neighbourhood is sitting out on the front stoops over there, including women and children, because sitting out on the front stoops is quite a custom in this section. Broń - rzecz jak wiadomo niezwykle delikatna - zwana przez Polaków „gnat”, „spluwa”, „kopyto”, „rozdzielać” i tak dalej.

Amerykanie występujący w powieściach Runyona ujmują rzecz jeszcze bardziej delikatniej, ale o wiele precyzyjniej: „wielki wyrównywacz”. Deportowani z Ameryki sycylijscy gangsterzy, dziś już starsi panowie, do których barmani i knajpiarze mówią *commandatore*, powiedzieli mi, że nazwa „wielki wyrównywacz” datuje się od czasu działalności osobnika zwanego Baby Face Nelson, który cierpiał szalenie z powodu swego niskiego wzrostu i dziecięcej twarzy, i który doszedł do wniosku, że tylko trzymany w rękę cobra 38 czyni go równym w stosunku do partnera rozprawy czy też interlokutora.

Wszyscy trzej synowie mego dozorca byli tak zwanymi „mistrzami bata”, podczas gdy ja nigdy nie byłem „mistrzem kierownicy” i to zapewne zbliżyło nas w jakiś sposób intelektualnie. Paweł Hostowiec w swym esej o Wroniej i Siennej pisze również o przedstawicielach świata podziemnego, działających w tamtych okolicach, także i po wojnie ta właśnie część Warszawy była najbardziej bandycka, bardziej bandycka od przodującej w tej dziedzinie Marymontu i Woli. Działo się to z prostego powodu: jak wiemy, część ulicy Towarowej zajmuje Warszawa Główna Towarowa, czyli po prostu towarowy dworzec rozładunkowy; okolice ulicy Towarowej - w latach do roku pięćdziesiątego - pełne były jeszcze prywatnych stajni, do których właściciele pracowali na tak zwanej „szesnastej i siedemnastej obwodowej” oraz „pierwszej i drugiej węglowej”, wykazując prace przewozowe i rozładunkowe dla takich firm jak Państwowe Przedsiębiorstwo Budowlane lub „Metrobudowa”. Aby użyć tu najbardziej określonego i wyświechtanego określenia: było to gniazdo korupcji.

Teraz trzeba opisać, jak to odbywało się naprawdę. Każda z firm transportowych miała na „szesnastej i siedemnastej obwodowej” czy też „węglowej” swego ekspedytora, który czuwał, aby wagon z towarem przeznaczonym dla jego firmy został wyładowany w przeciągu sześciu godzin, gdyż taki był ustalony limit przez Polskie Koleje Państwowe, jeśli wyładunek trwał dłużej, dana firma musiała płacić kolei odszkodowanie. W owych latach nie mieliśmy jeszcze wystarczającej bazy transportowej; trzeba było angażować prywatnych

przewoźników, którzy podstawiali swego konia i furmana. Jak jednak rozładować w „limicie” wagon o zawartości trzydziestu ton, jeśli na platformę konną nie można załadować więcej jak cztery czy pięć ton, a punkt rozładunku mieści się przypuścimy na Bielanach? Proste: od ekspedytora danej firmy przychodzi prywatny przedsiębiorca i częstuje go paczką giewontów. Ekspedytor - mąż zaufania danej firmy - w milczeniu sięga po papierosy; spod pudełka wyciąga stużłotowy banknot. Obaj panowie rozchodzą się w milczeniu. Ekspedytor idzie z kolei do kierownika szesnastej lub siedemnastej obwodowej i częstuje go paczką giewontów; przedstawiciel PKP sięga po papierosy i wyciąga spod paczki banknot pięćdziesięciozłotowy, na którego brzegu napisany jest numer wagonu, który zamiast sześciu godzin musi postać piętnaście. Następnie przedstawiciel PKP w liście przewozowym stawia stempel i podpis stwierdzający, że wagon należący do węzła kolejowego X numer Y został dnia takiego a takiego „rozładowany w limicie”.

Wieczorami, w którejś z prywatnych stajen w okolicach Wroniej i Siennej urządzano libację, w której brał udział: prywatny przedsiębiorca, mąż zaufania danej firmy, czyli ekspedytor, przedstawiciel PKP i tajniacy z milicji. Po czym szło się na Złotą pod trzydziesty siódmy, gdzie mieszkały trzy prostytutki i tam kontynuowano pijaństwo łącząc je jednocześnie z uciechami cielesnymi.

Znam te sprawy dobrze, ponieważ przez krótki czas byłem ekspedytorem firmy „Metrobudowa”; zarabiałem wtedy dziennie po tysiąc lub pięćset złotych; moje oficjalne wynagrodzenie nie przekraczało sumy siedmuset złotych przy pracy dwunasto-, czternastogodzinnej. Nie ma dziś na świecie człowieka, który byłby w stanie obliczyć straty poniesione przez Polskie Koleje Państwowe; są to, przypuszczam, sumy miliardowe, wynikające z faktu przestoju wagonów. Jest to skutek planowania odgórnego. Potem, niestety, odwołano mnie ze stanowiska ekspedytora, a wkrótce zburzono także ostatni prywatny burdel przy ulicy Złotej; na tym miejscu rozciągają się obszary należące do Pałacu Kultury i Sztuki.

Myślałem o tym wszystkim siedząc w Kazimierzu i pisząc swoje opowiadanie Cmentarz. Do czasu Hani wszystko było dla mnie proste, ponieważ interesowałem się tylko sprawą mężczyzny i kobiety; to było dla mnie ważne i tragiczne. Ale potem nagle wszystko zaczęło być dla mnie groteskowe, zrozumiałem, że nie można napisać prawdziwego opowiadania o totalitaryzmie, które byłoby tragiczne; i do dziś nie wierzę w możliwość takiej literatury.

Człowiek wkraczający w bramy niemieckiego obozu koncentracyjnego wiedział, iż istnieją tylko dwie możliwości wydostania się stamtąd. Pierwsza droga prowadzi przez komin krematorium obozowego; druga to ewentualne wkroczenie wojsk alianckich czy też

sowieckich sokołów. Ale od początku do końca osoby dramatu pozostają te same: kat pozostaje katem, ofiara ofiarą; dozorca niewolników do końca swej kariery nie wypuści bata z ręki. Człowiek wkraczający w bramy sowieckiego więzienia nie wie nic. Być może zostanie jutro rozstrzelany; być może odsiedzi dziesiątka i odczytują mu następny rok opiewający na piętnaście lat; ale być może stanie się tak, że partia w międzyczasie zmieni taktykę i ofiara stanie się z kolei katem, a jego dotychczasowy oprawca będzie pełzał przed nim na kolanach, błagając go o paczkę sierawo, dopóki nie zostanie skierowany na oddział dla dachadziągów.

Elementy tragedii zostały tu zachwiane; wyrok śmierci może zamienić się w mandat władzy, ofiara w kata; miejsce męczarni miejscem odwetu. I brakuje tu elementu catharsis: nie może go stanowić świsstek z NKWD stwierdzający, iż człowiek, którego zabito strzałem w tył głowy przed dwudziestu laty, został zabity na podstawie fałszywych oskarżeń i fałszywych zeznań.

O książce Herlinga-Grudzińskiego czytamy o aktorze, który grając w jakimś filmie historycznym rolę bojara przesadził w szlachetności i dostał dziesiątka, ponieważ szarżą aktorską wypaczył ideologiczną linię filmu. Po jakimś czasie do obozu, w którym siedzi nieszczęsny aktor, przychodzi tenże właśnie film: aktor: - wyniszczone głodem widmo - ma możliwość oglądania samego siebie w sytuacji jakże odmiennej od obecnej. Siedzi bowiem za carskim stołem i wznosząc ciężkie od wina puchary obżera się bażantami.

Jeśli nawet historia ta nie jest prawdziwa, jest ona prawdziwym zmyśleniem.

Absolutna bezradność pisarzy piszących o totalitaryzmie polega na tym, iż prawd przez nich napisanych nikt nie jest w stanie przyjąć.

W filmie Orsona Wellesa *The Trial* widzimy bohatera Józefa K., błakającego się po Pałacu Sprawiedliwości. Pałac ten stanowi zlepek rozmaitych stylów architektonicznych: jest tam kawałek baroku, kawałek budownictwa współczesnego, kawałek gotyku; po czym idący przez zakurzone korytarze Józef K. znajduje się ni stąd ni zowąd w poczekalni dworca Gare St. Lazare.

Jako całość Pałac Sprawiedliwości jest idiotyzmem; dziwię się, że żaden z krytyków filmowych nie zwrócił uwagi na właśnie ten element filmu, stanowiący w zasadzie klucz do tego, w jaki sposób Orson Welles chciał pokazać Kafkę. Jest to fantastyczna brednia, którą ludzie uważają za Pałac Sprawiedliwości; nie ma sensu, stylu i jasności: księga praw, do której zagląda raz Józef, jest zbiorem pornograficznym fotografii.

Wtedy, w Kazimierzu, pomyślałem sobie: A cóż by się stało, gdyby napisać opowiadanie oparte tylko i wyłącznie na autentycznych faktach i zdarzeniach, posługując się fragmentami przemówień i po prostu - jak w opowiadaniu jednowątkowym - przeprowadzić

bohatera przez to wszystko. Czy uda się tego rodzaju opowiadanie i czy ludzie, którzy sami przez tyle lat widzą to wszystko, uwierzą po prostu w fakty, które z chwilą, w której zamienione zostaną w opowiadanie, siłą rzeczy staną się fikcją; czy ci ludzie uwierzą w to? Rażno zabrałem się do dzieła; pojechałem przede wszystkim do Warszawy i zacząłem czytać Nowe Drogi.

Chciałem przy okazji odszukać Edwarda Bernsteina; wszedłem do bursy, w której niegdyś mieszkał, i idąc korytarzem usłyszałem dźwięki gitary i następującą pieśń:

List mi przysłałaś pewnego ranka,

Z bukietem białych róż.

A w tym liście mi napisałaś,

Że masz mnie w dupie już...

Zafascynowany dramatyzmem i prostotą pieśni zapukałem do drzwi i wszedłszy zobaczyłem dwóch moich kolegów, aktorów ze szkoły teatralnej.

Jeden z nich siedział na łóżku trzymając gitarę; drugi z twarzą pełną posępnej zadumy zamarł na środku pokoju w pozie umierającego łabędzia.

Zapytałem o co chodzi.

- Robimy przeżycie - powiedział człowiek z gitarą. - Na egzaminach dają nam dowolny temat, ale trzeba scenę zagrać aktorsko. W tym wypadku treść pieśni stanowi scenariusz. A teraz zobacz.

Usiadłem na łóżku obok gitarzysty; gitarzysta wstał i wyszedłszy na korytarz zaczął pukać do drzwi. Umierający łabędź położył się w międzyczasie na łóżku i nie reagował na pukanie. Dopiero kiedy tamten zaczął walić pięścią w drzwi, łabędź poderwał się i chwilę patrzył przed siebie nieprzytomnie. Następnie zaczął szukać nocnych pantofli; szukał ich przez chwilę, wreszcie - nie zapominając o tym, że jest człowiekiem zaspanym - podszedł do drzwi na bosaka i otworzył je. Gitarzysta podał mu coś; to był ów list z wiązką róż. Twarz zaspanego rozjaśniła się; otrzymał róże od ukochanej, więc sytuacja jest jasna: ona go kocha, ona go pożąda, ona mu rankiem przysłała róże. Trzeba dać napiwek listonoszowi; zakochany przeszukuje portfel, ale bezskutecznie, ponieważ z rozpaczony wszystko przepił ostatniej nocy. Sadza listonosza na honorowym miejscu przy stole i idzie do sąsiadów pożyczyć pieniądze; z sąsiadami nie rozmawiał już wiele lat na skutek jakiejś waśni; ale wszystko to okazuje się błahe wobec dowodów uczucia ukochanej kobiety. Pożycza wreszcie dziesięć złotych, daje listonoszowi i listonosz wychodzi. Teraz oczywiście trzeba załatwić sprawę róż, bierze więc wazon, ale ponieważ wciąż jest zaspany, potyka się o dywan i z wazonu zostaje skorupa. Znów - tym razem z różami w ręku - idzie do sąsiadów i tłumacząc im coś pełnym szczęścia

bełkotem, pożyczca od nich ohydny kryształowy puchar; puchar ten jest jednak pamiątką pana domu, którą otrzymał jeszcze w czasach „Strzelca” jako żołnierz wyborowy, czy coś takiego; pertraktacje trwają długo, ale ponieważ były piłsudczyk jest człowiekiem romantycznym, pożyczca mu wreszcie wazon i szczęśliwy kochanek wsadza tam róże. Jest podniecony; siada na fotelu i zapalając papierosa patrzy na leżący przed nim nie otwarty list; ale jest zupełnie pewien, że list ten zawiera słodkie i pełne upojenia słowa. Popada nawet w zadumę; myśli o tych wszystkich nocach, które przełaził pod oknem ukochanej; o jej mężu, który nie chciał dać jej rozwodu; o tych wszystkich chorobach, które w kręgach wojskowych zwa się „grupą z komplikacjami”, a które leczy się za pomocą antybiotyków i sulfamidów. Chorób tych oczywiście nabawił się po pijanemu, kiedy rozpacz pchała go w objęcia cór Koryntu. I tak siedzi patrząc na list i odwołując chwilę otwarcia. Wreszcie niedopałek papierosa parzy go w palce i tym samym doprowadza do przytomności; gasi niedopałek i stanowczym ruchem otwiera list, w którym zawarte są owe fatalne słowa.

Odwraca twarz do tyłu; rękę zaciska na kolcach róży. Koniec.

- Gramy według Stanisławskiego - wyjaśnili. - Wszystko jest w tej scenie: miłość, nadzieja, rozpacz. Ale na egzaminie zmienimy słowa. „I mam cię w dupie już” na „że ze mną zrywasz już”. To oczywiście nie jest to samo, ale coś można zrobić. A teraz zagramy tę samą scenę według Strasseberga i Kazana. Mietek, zaczynaj!

Tym razem gitarzysta położył się na łóżku, a tamten zaczął pukać.

Gitarzysta nie reaguje na pukanie; paląc papierosa patrzy w sufit i w wybija bosą nogą o poręcz łóżka. Po jakimś czasie tamten zaczyna walić pięścią w stół.

Gitarzysta: - Przynosisz mi forszę?

Listonosz: - Nie, róże.

Gitarzysta: - Powiedzieli ci, że wykorkowałem? Zostaw róże u ciecia.

Listonosz: - Mietek, zmiłuj się, w Stanach nie ma cieci.

Gitarzysta: - Połóż je pod drzwiami.

Listonosz: - Musisz podpisać.

Gitarzysta: - To mój błąd. Mogłem je posłać Heli. Hela ma znajomego zegarmistrza w Paryżu, u którego mógłbym kiedyś zanoć, kiedy tam będę.

Zamyśla się przez chwilę; po czym mówi: - Zupełnie zapomniałem, że Hela jest moją żoną od dwóch lat, teraz wyjechała na wczasy, a te róże dostałem od kobiety, z którą nawiązałem romans tydzień temu.

Następnie zapytano mnie, która z koncepcji mi odpowiada bardziej; powiedziałem, że nie widzę żadnej różnicy w tej całej sprawie i w ogóle nie wydaje mi się to prawdopodobne;

kobiety, które zrywają, nie inwestują lekkomyślnie pieniędzy w bukiety róż. W najlepszym wypadku możemy liczyć, iż kobieta, która wychodzi akurat za męża za bogatego ogrodnika podwarszawskiego, napisze nam list, iż postanowiła odejść od nas, aby nie łamać nam życia; ale i to wyjście wydaje mi się mało prawdopodobne. Adolf Rudnicki napisał, że łatwość kobiety stała się piekłem dla osobistej udręki, ale poradziłem im, aby przeczytali Rudnickiego. Kiedy wreszcie zapytałem Edwarda, okazało się, że wyrzucono go ze szkoły przed dwoma laty i nikt nie wiedział, gdzie przebywa obecnie.

Znów wróciłem do Kazimierza; pamiętam, iż idąc o świcie po Krakowskim Przedmieściu w kierunku Alei, zobaczyłem przed pomnikiem jakiegoś człowieka rzucającego pękiem kluczy w gołębie siedzące na pomniku tego, co wstrzymał słońce, a poruszą ziemią. Ten sposób polowania nie był mi dotąd znany; podszedłem tam i zobaczyłem, iż samotnym myśliwym jest Paweł Minkiewicz.

Przez chwilę obserwowałem jego działalność, po czym zapytałem:

- Pawle, czego chcesz od tych nieszczęsnych ptaszków.

Paweł wyjaśnił mi, że znalazł się w katastrofalnej sytuacji materialnej i jeśli nie upoluje ptaka, to nie będzie jeść dziś obiadu. Wzruszony losem samotnego myśliwego, zaproponowałem mu wspólne śniadanie w bufecie Dworca Głównego; myśliwy zgodził się. Pamiętam ich wszystkich - Mietka, Zdziśka, Maklakiewicza, Miszkę Stanielewicza, Poldka Tyrmanda i tego aktora, który wchodząc do prywatnych sklepów na Chmielnej podchodził do właściciela zakładu i tragicznie przyciskając do serca prawicę, mówił:

- Daj stówę. Artycha ginie!

Trudno mi teraz myśleć o nich; nie wiem, czy umiałbym mówić z nimi dzisiaj tak, jak mówiliśmy z sobą kiedyś. Najstraszniejszą rzeczą jest u mnie zupełny brak tęsknoty za Polską i kiedy obecnie pytam siebie: czym jest dla mnie Polska? - nie umiem sobie odpowiedzieć na to pytanie inaczej, jak że jest to dziesięciu czy piętnastu ludzi, z którymi łączyła mnie przyjaźń. Niewiele umiałbym o nich napisać, o moich rówieśnikach bawiących się w pisanie; oni całe życie uważali mnie za kabotyna; ja zaś z kolei nie bardzo wiedziałem, o czym mam z nimi mówić, gdyż interesowały nas inne sprawy i dzieliły różne doświadczenia. Ale przez te całe lata myślałem, że właśnie tych kilku czy też kilkunastu ludzi stanowi dla mnie Polskę, ale i to okazało się złudzeniem. Kiedy ogłosiłem w Kulturze pierwszy odcinek swoich denuncjacji, spotkałem jednego z moich najlepszych przyjaciół i najinteligentniejszych z ludzi, który po przeczytaniu pierwszego odcinka powiedział mi:

- To jest całkiem zabawne. To jest Polska a'la James Bond. Takiej Polski nie ma.

Człowiek ten nie był nigdy ani komunistą, ani sympatykiem komunizmu; nie był



nigdy oportunistą i przez całe życie borykał się z przeszkodami, których mu nie szczędzono, zarzucając mu raz gusty drobnomieszczańskie, raz pornografię; kiedy indziej surrealizm, a kiedy indziej profanowanie zdobyczy klasy robotniczej. Cóż mogę na to odpowiedzieć? Nic, poza jednym; to ja wymyśliłem nędze w Polsce, to ja wymyśliłem sprawy policji politycznej; to ja wymyśliłem skrytobójcze i jawne mordy; to ja wymyśliłem fakt, że przez dwa lata byłem szantażowany przez policję, to ja wymyśliłem likwidację Po prostu; i te wszystkie rzeczy, o których wspominałem; a uczyniłem to tylko dlatego, aby redaktorowi Jerzemu Giedroyciowi umilić przyjemne spędzanie wieczorów. Ale myśląc, że Polska to dla mnie kilkunastu ludzi, myślałem ja idiota; nie przewidziałem atrofii. I nie przewidziałem tego, że ja pilny czytelnik Dostojewskiego, że nędza jest rzeczą wstydliwą; być może nawet najbardziej wstydliwą.

Ci wszyscy chłopcy, z którymi ja zaczynałem, wiedzieli, że jest fatalnie, ale czekali przez lata, aby móc napisać jeden wiersz, jedno opowiadanie; aby móc namalować jeden surrealistyczny obraz czy też wystawić rzeźbę niepodobną do niczego. Ale to byli wszystko ludzie, którzy wbrew faktom i wbrew wszystkiemu co działo się dokoła, usiłowali zachować wiarę, że nadejdzie chwila, w której wolno będzie powiedzieć: nie. My, łysiejący już i nie piękni, i nie dwudziestoletni, mieliśmy tych parę kroków w słońcu; jedni z nas robili to gorzej, drudzy lepiej, nie powstały w tym czasie dzieła o wielkiej wartości, ale być może przydadzą się one przyszłym kronikarzom jako dowody nędzy i nieudolności i jako dowody niemocy człowieka żyjącego w koszmarze, nie znajdującego w sobie siły, aby to wyznać. Ale jak powiedziałem: byli to ludzie, którzy wierzyli, że wolno im będzie powtarzać tylko to jedno najważniejsze w życiu każdego człowieka słowo: nie.

Kiedy dzisiaj spotykam ludzi pięknych, dwudziestoletnich i rozmawiam z nimi, przeraża mnie jedno: wszyscy oni wiedzą, że w Polsce jest źle; wszyscy nie mają złudzeń co do tego, że Polska jest krajem [...]; natomiast nikogo to z nich specjalnie nie interesuje. Jedna z najładniejszych dziewczyn, jaką ostatnio spotkałem, chce zostać inżynierem od mózgow elektronowych; inny piękny, dwudziestoletni studiuje archeologię śródziemnomorską; jeszcze inny jest inżynierem-metalowcem. Żaden z nich nie chciał być ani pisarzem, ani malarzem, ani rzeźbiarzem; żaden z nich nie czeka już na dzień, w którym wolno mu będzie powiedzieć: nie. Jeśli urywa się na Zachód malarz, pisarz, czy reżyser, czekają go lata udręki i dorywczych prac; noce spędzone w brudnych hotelach; kobiety, które płacą; i właściwie nie znam wypadku - poza Miłozhem - aby proces deklasacji społecznej nie towarzyszył zawsze artyście uciekającemu spoza żelaznej kurtyny. Ci nowi piękni, dwudziestoletni nie będą już mieć tych problemów: po wybraniu azylu dalej będą lekarzami, inżynierami czy Bóg wie

zresztą czym. Nie grozi im ani nędza, ani głód, ani tęsknota za krajem, który zostawili i który nie sprawiał im cierpienia. I to są ci nowi piękni, dwudziestoletni.

Ale wtedy, w Kazimierzu myślałem jeszcze, że nastąpi czas atrofii. Jak powiedziałem: nie było Hani, a ja wziąłem się za nie swoje rzeczy.

Napisałem opowiadanie Cmentarz, opowiadanie dziecinne i nieudane; ale postanowiłem zbudować je na faktach autentycznych, gdyż jeszcze wtedy nie wiedziałem, że w prozie liczy się fakt, a tylko prawdziwe zmyślenie. Fakty te w prozie okazały się niemożliwe do wykorzystania: historia z psem Sambą jest autentyczna; przemówienie, którego słucha bohater opowiadania; jest pomówieniem Romana Werfla, przepisany z Nowych Dróg; historia, którą opowiada wysoki oficer policji politycznej od pułkownika Jacka Różańskiego; historia rzeźbiarza, który rzeźbi posągi Wielkiego Nauczyciela przeznaczone do prywatnej strzelnicy, jest historią prawdziwą i znaną całej Warszawie, historia z dzieckiem, które mieszka w na pół zrujnowanym domu i które wychodząca do pracy matka przykuwa łańcuchem do łóżka, aby nie spadło ze zdewastowanych schodów, jest pokazana w filmie dokumentalnym zrobionym bodajże przez reżysera Jerzego Bossaka; historia o dziewczynie, która specjalnie zaszła w ciążę z gruźlikiem-komunistą, aby w ten sposób dać mu siłę do życia, i który odchodzi, kiedy dowiaduje się, iż ojciec dziewczyny jest politycznie niepewny, zdarzyła się w rodzinie moich przyjaciół; sam fakt zastraszenia pijanego bohatera przez policję insynuującą mu wypowiedzi antypaństwowe jest historią znaną mi najlepiej, gdyż w ten prosty sposób policja werbowała nowych informatorów - ale wszystkie te fakty razem nie zdały się na nic. I przypuszczam, gdyby nawet na tych samych faktach zbudował opowiadanie pisarz lepszy ode mnie - i wtedy również nie uwierzono by w to, co się codziennie widziało, słyszało i o czym mówiło się szeptem.

Słaba książka Koestlera Ciemność w południe, którą pozwolę sobie nazwać sentymentalnym wykładem totalitaryzmu, roi się od bredni, o czym już pisałem. Niemniej jest to zmyślenie prawdziwe; Rubaszow rozmawia ze swoim pierwszym sędzią - Iwanowem, który jest jego przyjacielem z lat Rewolucji Październikowej; Iwanow nawet zbyt się nie wysiła, aby przekonać Rubaszowa, iż zostanie skrócony o głowę dla dobra partii. Iwanow powiada:

„Co roku miliony ludzi giną z głodu, na skutek chorób, na skutek powodzi i klęsk żywiołowych - dlaczego nie mielibyśmy zabić ileś tam tysięcy ludzi, jeśli przyjmiemy, iż podejmujemy eksperyment mający na celu uszczęśliwienie ludzkości”. Skoro argumentacja Iwanowa nie zdaje się na wiele, miejsce Iwanowa zajmuje Gletkin - młodszy komunista, dziecko Rubaszowa, ale porozumienie ojca z dzieckiem okazuje się niemożliwe. Jeżeli ta

powieść posiada jakąkolwiek wartość, to polega ona na konflikcie Rubaszow-Gletkin; ale nie tylko dlatego, że jest to wątek literacko-tradycyjny; to jest po prostu zagadnienie tych niepotrzebnych, którzy muszą odejść. Pisząc o Dzikich palmach Hostowiec zauważa, że gdyby tę książkę traktować jako dokument życia amerykańskiego człowieka, czytelnik musiałby dojść do wniosku, że pieniąż jest najrzadszą i najtrudniejszą rzeczą do zdobycia w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, w najbogatszym kraju na świecie, niemniej jest to książka stanowiąca zmyślenia prawdziwe. W innej książce Faulknera człowiek stoi tyłem do zachodzącego słońca, a jego rozmówca mówi cały czas do jego cienia padającego w przeciwną stronę, w jeszcze innej książce tego samego autora bohater walczy samotnie z krokodylami tylko po to, aby wyżywić kobietę, która rodziła na jego oczach i do której nie ma ochoty nawet zbliżyć się; po czym - uratowawszy dwoje ludzi - dostaje dodatkowe dziesięć lat więzienia, gdyż jego nieobecność w więzieniu przeciągnęła się, a w regulaminie więziennym nie są przewidziane powody, które pozwalają więźniowi na oddalenie się od miejsca swego cierpienia.

Jeszcze inny bohater tej samej opowieści zostaje skazany na dziewięćdziesiąt dziewięć lat więzienia tylko dlatego, iż bał się konfrontacji z histeryzującą kobietą. I to jest to, co możemy nazwać zmyśleniem prawdziwym.

W tym czasie wielu ludzi mówiło, iż tylko jeden człowiek byłby w stanie pokazać koszmar naszych czasów. Nie wierzę w to; Fiodor Michajłowicz Dostojewski był wizjonerem i wszystko to już dawno opisał w ósmym rozdziale Biesów pod tytułem „Iwan Carewicz”. Nie mogę oprzeć się pokusie, aby zacytować to co mówi do Mikołaja Stawrogina Piotr Stiepanowicz Wierchoński wyjaśniając Stawroginowi program Szigalewa, który jest teoretykiem grupy rewolucjonistów, zorganizowanej przez Wierchowieńskiego.

Piotr Wierchowieński: „Tam u niego w zeszycie - sama prawda. Tam - szpiegostwo. U niego każdy członek społeczeństwa pilnuje drugiego i ma obowiązek denuncjować go. Każdy należy do wszystkich i wszyscy do każdego.

Wszyscy są niewolnikami równymi w niewolnictwie. W wyjątkowych wypadkach - oszczerstwo i zabójstwo. Lecz zawsze równość. Zaczyna się od znizienia poziomu wykształcenia, wiedzy, talentów. Wysoki poziom wiedzy i talentów jest dobry tylko dla uzdolnionych. Nie trzeba ludzi uzdolnionych. Bardziej uzdolnieni zawsze zdobywają władzę i byli tyranami. Nie mogli być nie tyranami. Więcej deprawowali, niż przynosili korzyści. Tam, w dziele Szigalewa, wypędza się ich i skazuje na śmierć. Cyceronowi odcina się język, Kopernikowi wykluwa się oczy, Szekspira zarzuca się kamieniami. Oto jest szigolewszczyzna. Niewolnicy muszą być równi. Nie było nigdy ani wolności, ani równości

bez despotyzmu, lecz w stadzie musi być równość. I jest to szigalewszczyzna. Cha, cha, cha. Pan się dziwi. Jestem zwolennikiem szigolewszczyzny.”

I dalej: „Od dziś hasłem kuli ziemskiej będzie: potrzebne jest tylko to, co jest niezbędne. Potrzebne są jednak i dreszcze, a o tym pomyślimy my, władcy. Całkowite posłuszeństwo, całkowite zabicie jednostki, lecz raz na trzydzieści lat Szigalew puszcza dreszcze, a wtedy jedni zaczynają pożerać drugich; tylko do pewnych granic, byle nie nudził się tłum, nuda jest uczuciem arystokratycznym. W szigielowszczyźnie nie będzie pragnień.

Pragnienia i cierpienia - dla nas, dla niewolników - szpigalewszczyzna.”

Po roku pięćdziesiątym szóstym ulubionymi autorami w Polsce stali się tacy pisarze jak Ionesco i Beckett, nie mówiąc już o Kafce czy Gombrowiczu.

Nikt nie chciał już literatury tragicznej; to mogło skończyć się niedobrze dla piszących, gdyż odbierając sobie jeden z najbardziej niemoralnych zawodów, jakim jest pisarstwo, człowiek zobowiązany jest chociażby w minimalnym stopniu orientować się czy żyje w piekle, czy też w krainie uśmiechu. Wobec tego rzucono się na Gombrowicza; Ferdurke stała się tym, czym dla Dostojewskiego w czasie jego katorgi była Biblia: jedyna książka, którą wolno było czytać więźniom politycznym. Tak więc powiedziano: upupiono nas. O tym, że miliony ludzi zginęły w obozach i więzieniach dowiedziano się dopiero od Chruszczowa; przedtem wszystko było O.K.

Inżynierowie dusz ludzkich nie wiedzieli, co wiedział każdy człowiek na ulicy; każdy robotnik i każdy nie należący do nowej klasy uprzywilejowanych. Ucieczka w śmieszność i groteskę stała się jedyną możliwością uniknięcia śmieszności: lepiej być błaznem grającym przed pełną salą niż Hamletem przemawiającym do pustych krzeseł. W jednym z opowiadań, drukowanych w tym okresie, spotykamy następującą sytuację: koniec świata, zostało tylko dwóch mężczyzn, którzy przez cały czas dręczą się wzajemnie; wreszcie jeden z nich wiesza się z obawy; iż drugi go zadenukuje; nie interesuje go to, że nie istnieje już świat, ani więzienia, ani policja polityczna.

Również literatura rosyjska przemycana na Zachód ratuje się śmiechem. W książce Terca, pisarza radzieckiego, którego czeka teraz przykry okres abstynencji, spotykamy następującą scenę: młody człowiek przesłuchiwany przez sędziego śledczego, powiada: „Rozmawiajcie ze mną grzeczniej. Jestem tylko oskarżony, a nie skazany.” Sędzia podprowadza go do okna, skąd rozciąga się widok na olbrzymi plac i przechodzących ludzi. „Ci tam w dole, są „oskarżeni,” powiada sędzia. „A ty jesteś już skazany.”

W innym opowiadaniu innego radzieckiego pisarza, piszącego pod pseudonimem

Arżak, występuje chłopak, który twierdzi, że potrafi zapładniać kobiety w ten sposób, iż będą rodziły synów; zostaje on zbadany przez radzieckich badaczy i potraktowany poważnie. Ale skąd bierze się ten śmiech u ludzi stamtąd; przypuszczam, że wytłumaczenie jest proste. Nikt nie jest w stanie uwierzyć w prawdę; w ludożerstwo, w nieludzkie męczarnie, które ci ludzie przeszli. Być może, iż wynika to z pogardy do siebie samego: widzieliśmy to wszystko przez tyle lat, a nie mogliśmy niczego uczynić; patrzyliśmy na golgotę naszych braci, a mimo to spaliśmy po nocach i nasze organizmy działały normalnie, wiedzieliśmy, że ludzie pracujący w obozach w Północy odmrażają ręce i nogi, a mimo to staliśmy godzinami w kolejce, aby kupić sobie ciepłe buty i płaszcz. Nie wolno nam rozdzierać szmat; ale możemy śmiać się z naszej własnej niemocy. Nie stworzymy jednak nigdy literatury tragicznej, gdyż nikt i nigdy nie uwierzy nam w to, co przeszliśmy. Doświadczenie jest nieprzekazywalne; ludzi Paryża czy też ludzi Mediolanu marzących o komunizmie moglibyśmy przekonać o nędzy tego przedsięwzięcia tylko wtedy, gdyby na ulicach Paryża czy Mediolanu pojawiły się sowieckie czołgi.

Lecz póki to nie nastąpi, śmiejemy się. Nasze życie pozostaje we władzy głupców, którzy mogą nas zabić; ale którzy jednocześnie nie są pewni swojej własnej przyszłości.

Profesor Jan Kott mówił kiedyś do swoich studentów, że w naszej współczesnej literaturze na próżno szukaliśmy sporów dotyczących literatury i ich bohaterów. Takich sporów, jakie bezustannie znajdujemy w książkach Dostojewskiego, Tołstoja, Czechowa i Gorkiego. Istotnie, we wszystkich książkach wydanych i napisanych po wojnie nie znajdziemy ani jednej sceny, w której bohaterowie zaczęliby się wyklócać o wartość innej książki czy ubrania; wartości pieniądza nigdy nie rozumieją ludzie, którzy te książki czytać będą za ileś tam lat. Ucieczka w świat groteski i śmiechu ma również inny powód poza najważniejszym - niewiarą w to, czego było się świadkiem i niewiarą w to, iż inni ludzie będą w stanie dać wiarę naszemu życiu. Powód ten jest prosty: jest nim absolutna nieznajomość życia narodu; nieznajomość warunków, w jakich ten naród żyje, i nieumiejętność wykorzystania faktografii nawet przy zrozumieniu moralnego aspektu sprawy. Jeśli w którejś z tych książek bohater powie: „Żyje nam się ciężko.” to na tym już sprawa się kończy, a my nigdy nie dowiemy się, ile mu było potrzeba do życia, ile zarabiał i ile chciałby zarabiać. Nie dowiemy się ceny biletu do kina, ponieważ pisarze mają własne pokazy i własne projekcje i nie potrzebują stać godzinami w ogonku, aby zdobyć bilet; nie dowiemy się, ile kosztowało ubranie, i ile dostawał chłop za krowę albo za świnię. Ta mała rzecz wydaje mi się w pewnym sensie charakterystyczna czytając Faulknera, Steinbecka lub innych współczesnych Amerykanów możemy mniej więcej wyobrazić sobie, jak byli ubrani ludzie, co jedli i ile im

brakowało.

Obrazu tego nie odtworzymy sobie czytając współczesnych Polaków i Rosjan: przedtem było wszystko dobrze; teraz jest fatalnie, ale to już naprawdę wszystko. Zarówno w książkach autorów socrealistycznych jak i w książkach przemycanych do nas stąd pieniądź stanowi tabu.

We współczesnej literaturze nie istnieje również sprawa pieniędzy. We wszystkich książkach, które możemy uznać za wybitne, nie znajdujemy ani jednej sceny, w której chodziłoby o pieniądze i o zagadnienie wartości pieniądza, nie znajdujemy nawet tego w formie najprymitywniejszej, na przykład jako targu o cenę ubrania czy przy płaceniu rachunku w restauracji; nie dowiemy się, ile kosztowała prostytutka, ile kosztował używany czy nowy samochód i ile kosztowało urządzenie mieszkania. W książkach Balzaka i Dostojewskiego, u Czechowa i u współczesnych pisarzy amerykańskich bohaterowie wchodzi do lokalu i płacą; kupują ubrania i płacą; ale nigdy nie pytają o cenę ani też o racje lub brak racji danego bohatera. Literatura, ważny czynnik propagandowy, demaskuje się w sposób prosty i niemożliwy widocznie do przewidzenia; bohaterów jednego produkcyjniaka nie obchodzą bohaterowie drugiego i to jest chyba jedyna ich ludzka cecha. W książkach współczesnych nie znajdziemy tego, co znajdujemy choćby u Dostojewskiego, który rozprawiał się z Turgieniewem, na swój własny sposób parodiując nawet jego styl; pisząc w sposób zalecony i zachwalany przez nieomylną partię nie mieli nawet aż tak prostego pomysłu, aby zamaskować swoją nędzę i aby starać się nadać swoim książkom trwałe ślad. Teraz dopiero zdaję sobie jasno sprawę z tego, że wziąłem się do nie swoich spraw w Cmentarzach; byłem jednak ciekaw, czy możliwe jest napisanie opowiadania opartego tylko i wyłącznie na autentycznych faktach. W chwili, kiedy piszę te słowa, mam trzydzieści dwa lata; założyłem sobie, że jeśli nie napiszę do czterdziestki porządnej książki, to wezmę się za coś innego.

Mam siedemnaście zawodów i w każdej chwili mogę pracować jako betoniarz, szofer czy spawacz; tak więc mam jeszcze osiem lat próby. Napisałem od tego czasu kilkadziesiąt opowiadań; z tych kilkudziesięciu mogę czytać tylko cztery; nie lubię jednak ani jednego. Lubię myśleć o tym, co napiszę; wtedy wszystko wydaje mi się O.K. Potem kiedy piszę, jest już gorzej; najgorsze kiedy człowiek czyta to, co już napisał i opublikował: wtedy widzi się tylko zmarnowany pomysł i wtedy dopiero się wie, jak by to trzeba było napisać. Artur Sandauer odradzał mi wielokrotnie drukowanie niektórych moich opowiadań, czytanych przez niego w rękopisie; nie myślę, aby to było właściwe. Człowiek nie potrafi ocenić swoich błędów tak długo, jak opowiadanie leży w szufladzie biurka, trzeba je opublikować i zacząć

wstydzic się za nie; to jest jedyna możliwość nauczenia się czegokolwiek na przyszłość, jeśli taka możliwość w ogóle istnieje.

Pamiętam swoją pierwszą wizytę u Sandauera; poszedłem pożyczyć pieniądze.

Sandauer zaczął mi czytać wiersze Białoszewskiego; ja siedziałem i nic nie rozumiałem. Wreszcie Sandauer przerwał czytanie.

- Rozumie pan?

- Nie - powiedziałem.

- Proszę słuchać - rzekł Sandauer i zaczął czytać dalej. Ja siedziałem i w dalszym ciągu nic nie rozumiałem.

- Rozumie pan?

- Nie - powiedziałem.

- Nic?

- Zupełnie nic.

- Proszę posłuchać - rzekł Sandauer i znów począł czytać. Ja patrzyłem na niego, ale mimo nadludzkich wysiłków woli nie wiedziałem, o co chodzi.

- Rozumie pan?

- Nie - powiedziałem.

- Nic?

- Zupełnie nic.

- Jak to jest możliwe?

- Nie wiem - powiedziałem.

Po paru seansach Sandauer uznał mnie za idiotę i wyrzucił z domu. Było to w tym czasie, kiedy postanowił rozgromić literaturę polską nie stosując taryfy ulgowej. O ile pamiętam, na pierwszy ogień poszedł Adolf Rudnicki; Sandauer czytał mi swój rękopis i wynotowane tam zdania z prozy Adolfa, gdzie Adolf nie dość precyzyjnie wyraża się po polsku. Zdziwiło mnie, że człowieka o takiej inteligencji cieszą te potknięcia; krytyk ma prawo do rozpacz, ale nie ma prawa do tego, co nazywa się Schadenfreude. Działo się to w najgorszym okresie, kiedy przeszła przez Polskę fala antysemityzmu.

Rudnicki nie ukrywał nigdy, iż jest człowiekiem religii żydowskiej. Używam tego określenia świadomie, gdyż nie umiem napisać o człowieku urodzonym w Polsce po prostu: Żyd. Gdybym chciał myśleć tymi kategoriami, to musiałbym dojść do wniosku, że nie istnieją na świecie United States of America i że ludzie tam urodzeni nie są Amerykanami, lecz Żydami, Portugalczykami i Polakami. Być może, iż jest to rozumowanie prymitywne, jednak proste myślenie jest jedynym, które mnie interesuje.

- Do czego pan zmierza? - przerwał mi Sandauer.

- Nie wiem - powiedziałem. - Ale liczę, że przy okazji pan mi to wyjaśni.

Wyjaśnił mi: było to wtedy, kiedy dostałem nagrodę wydawców i właśnie wtedy Sandauer pierwszy zaczął mnie reflektować; zrobił to rzeczywiście bez taryfy ulgowej. W tym czasie nie drukowano mnie już; moje dwie nowe książki zostały odrzucone przez wydawców, a wszyscy krytycy marksistowscy uznali mnie za zbrojeńca i degenerata.

Skończyłem więc Cmentarze i zaniósłem je do wydawnictwa. Odpowiedziano mi odmownie. Zapytałem: dlaczego?

Powiedziano mi: - Takiej Polski nie ma.

Zapytałem: - Czy mam uważać odmowę wydawnictwa za ostateczną?

Powiedziano mi: - Tak.

Rozmawiałem potem z jednym z najinteligentniejszych krytyków młodego pokolenia, który pracował w tymże wydawnictwie.

- Wziąłeś się za nie swoje sprawy - powiedział. - Polityka to nie dla ciebie. Trzymaj się tego, o czym jedynie potrafisz pisać: ona i on. Nie staraj się przy tym myśleć; w twoim wypadku to doprawdy zbyteczne.

Poszedłem do innego wydawnictwa, gdzie miałem opublikować swoją pierwszą krótką powieść, a właściwie długie opowiadanie, pod tytułem: Następny do raj. Odmówiono mi: takiej Polski nie ma. Ale zaproponowano mi wydanie tej książki, jeśli zmienię jedno zdanie: „Zamieniliście Polskę w tak wielki obóz koncentracyjny, że nie potrzeba nawet drutów kolczastych i psów, gdyż i tak nie ma gdzie uciec.” Powiedziałem, że nie wykreślę ani jednego zdania. Powiedziano mi, że książka jest zła.

Pojechałem następnie do Wrocławia, gdzie kręcono film według tejże książki: rękopis jej dostarczyłem reżyserowi Czesławowi Petelskiemu; który przyrzekł mi, że zrobi film tak, jak to jest w tej opowieści. Obejrzałem trochę zdjęć i zapoznawszy się ze zmianami, które Petelski porobił, zażądałem zmiany tytułu i usunięcia mojego nazwiska z napisów tytułowych filmu. Zmiany te zostały poczynione na żądanie pułkownika i profesora Aleksandra Forda, który w owym czasie był kierownikiem artystycznym tego właśnie zespołu produkcyjnego, w którym pracowano nad Następnym do raj.

Znałem w swoim życiu wielu cwanych ludzi: znałem sprzedających cukier jako morfinę; znałem sprzedawców perskich dywanów, które wyprodukowano dwie godziny temu przy ulicy Ben-Jehuda w Tel-Awivie; w czasie okupacji znałem faceta, który wyładował się brylantami sprzedając Żydom mąkę i mówiąc im, iż jest to trucizna, która ma uchronić ich od cierpień, kiedy nie będzie już wyjścia, znałem ludzi żyjących z szantażu, i znałem całe



przedsiębiorstwo lotnicze spryskujące pola potasami, które używało samolotów tak starych i tak kiepskich, że żadne towarzystwo ubezpieczeniowe nie chciało ubezpieczyć ani lotników, ani maszyn; ale na całej swojej drodze nie spotkałem człowieka tak bezbłędnie cwanego jak Ford.

Myślę, że mogę to o nim śmiało napisać, gdyż wiem, ilu ludzi, ile pomysłów i ile filmów zmarnował ten człowiek, będący najbardziej chytrym i cwanim oportunistą, a udający człowieka najbardziej rozgoryczonego i rozwścieczonego głupotą władz. „Ósmy dzień” był kiepskim opowiadaniem, ale można było z tego zrobić dobry film. Tylko że filmy trzeba umieć robić.

Ford, który Warszawę zna tylko z okna swego auta, umieścił akcję filmu na Starym Mieście; Agnieszka pęta się po cukierkowych ulicach; tam z kolei stoją statysci ubrani w koszulki gimnastyczne i udają lumpenproletariuszy, którzy zaczepiają dziewczynę. W tym opowiadaniu, które mi się niestety nie udało, a którego pomysł lubilem, chodziło mi o jedną sprawę: dziewczyna, która widzi brud i ohydę wszystkiego, pragnie dla siebie i dla kochanego chłopaka jednej tylko rzeczy: pięknego początku ich miłości. Ford zrobił film na temat, że ludzie się nie mają gdzie rznąć, co oczywiście nie jest prawdą; rznąć się można wszędzie.

Tak więc Ford zrobił film o tym, że po prostu nie ma gdzie, tylko że on sam po prostu nie wiedział jak. Usunął przy tym starannie wszystkie drastyczne sceny, film miał mu przynieść nagrodę w Cannes, uznanie krytyki marksistowskiej i lekką krytykę ze strony władz partyjnych. Z filmu wyszło gówno; na nieszczęście Forda, ale na szczęście dla mnie. Zresztą to też nieprawda, bo w rezultacie musiałem się ożenić z pierwszą naiwną.

Znajomy krytyk filmowy zapytał mnie, co sądzę o tym filmie, nie widziałem jeszcze wtedy całości, ale znałem scenariusz napisany przez Forda i powiedziałem mu, że to chała. W dwa dni później chłopiec ten napisał w swojej gazecie to, co mu powiedziałem, przytaczając wiernie moje słowa. W kilka dni później zjawił się u mnie jeden z pracowników Forda, kierownik produkcji Straszewski.

- Mam z tobą nieprzyjemną sprawę do obgadania - powiedział.
- Nigdy nie miałem innych spraw w zuci - powiedziałem. – Zaczynaj.
- Chodzi o to, co napisał Bohdan Węsierski w Expressie Wieczornym. Że Ósmy dzień to chała.
- Bardzo prosto możecie to zmienić. Przekręć jeszcze raz ten cały film od początku do końca.
- Ford poda do wiadomości prasowej, że nigdy nie widziałeś tego filmu, że zjawiłeś się pijany na planie, i że usiłowałeś zerznąć pierwszą naiwną.

- To będzie pierwszy wypadek, kiedy Ford powie prawdę - powiedziałem. - Ale poczekaj chwilę.

Poszedłem do szatni i telefonicznie zapytałem znajomego adwokata, jak mam postąpić i czy zachodzi wypadek szantażu. Zapytał mnie, czy mam świadków, powiedziałem mu że tak, na co mi odparł, iż jest do mojej dyspozycji.

Stojący przy mnie kolega powiedział mi, abym tego nie robił, jeśli chcę jeszcze kiedykolwiek pracować dla filmu, wyjechać na Zachód czy też coś w tym rodzaju. Stchórzyłem, napisałem do Expressu Wieczornego otwarty list, w którym powiedziałem, że Węsierski nie rozumiał moich słów, i że bardzo przepraszam twórcę polskiego romantyzmu filmowego i czołowego naszego reżysera, za wyrządzoną mu mimowolnie krzywdę.

I „Ósmy dzień” i Następne do rajy są opowiadaniem napisanymi przeze mnie dziesięć lat temu; nie mogę ich dzisiaj czytać, a nawet o nich słyszeć. Ale z następnego można było zrobić dobry film - wypadki samochodowe, bicie po pysku, eksplozje, bohaterce filmu robią się na tyłku odciski, gdyż tak ją tam bez przerwy wszyscy rzną: dobry film dla młodzieżowego widza. Ale Ford zniszczył starannie wszystko, co tam było zabawnego i dziecinnego. Nie widziałem nigdy tego filmu; czytałem tylko recenzje o nim Zygmunta Kałużyńskiego i Krzysztofa Teodora Teoplitz, w której Teoplitz pisze, iż jest to taka Polska, jaką ją widzi mały Mareczek.

Przy realizacji tego cholernego Ósmego dnia pomiędzy mną a pierwszą naiwną zawiązały się tak zwane nieuchwytnie nici sympatii. Pamiętam, że w drugi dzień świąt Wielkiej Nocy jechaliśmy z Warszawy do Kazimierza jej samochodem; jest to najbardziej pijany dzień w Polsce, gdyż wtedy - jak to się mówi - żeni się wieś. Z Warszawy do Kazimierza jechałem samochodem marki BMW, którym można było śmiało jechać sto sześćdziesiąt, parę godzin.

Drogi były pełne pijanych chłopów, pijanych furmanów, pijanych cyklistów i ludzi ganiających się z cepami, nożami, widłami i innymi tego rodzaju akcesoriami zabaw ludowych, których nie uwzględniła Maria Dąbrowska w swoim opowiadaniu „Na wsi wesele”; opowiadanie to było uważane przez pewien czas za szczyt teaizmu czy pozytywizmu, czy też romantyzmu; w każdym razie za szczyt. Kiedy dojeżdżałem do Kazimierza, lał się ze mnie pot; nie łatwo jest jechać czymś samochodem osobowym przez pijany kraj. Jeśli chodzi o ciężarówkę, to mieliśmy własny system sprowadzania ze środka drogi pijanych chłopów wraz z ich furmankami; robiło się mianowicie ze starej dętki bykowiec przeplatając misternie gumę z drutem i jeśli pijany chłop nie zjeżdżał na dźwięk klaksonu - pomocnik zeskakiwał, przykładał chłopu bykowiec i sprowadzał konia na bok

drogi trzymając go za uzdę, tymczasem człowiek przeciskał się jakoś ciężarówką. Tym razem jednak nie miałem bykowca, lecz tylko pierwszą naiwną, przed samym Kazimierzem musiałem zatrzymać wóz; dwóch pijanych ludzi goniąc trzeciego wpadło na maskę prowadzonego przeze mnie samochodu i na moich oczach wbiło mu parę noży; po czym pojechałem dalej.

- Za trzy dni pobiją się znowu - powiedziałem do niej. - To będzie tym razem na jego pogrzebie.

- Na czym?

- Na pogrzebie tego faceta, którego przed chwilą zabili.

- Kogo zabili?

- Zabili człowieka na masce twojego samochodu - powiedziałem.

Uśmiechnęła się; nie wierzyła. Widziała i nie wierzyła; i to jest ta moja pretensja, którą miałem niegdyś do commies, że zmarnowali mi taki świetny interes, że codziennie mogłem oglądać rozpacz, okrucieństwo, zdziczenie; i wierzyłem, że można o tym pisać i że to jest prawda. Kiedy dzisiaj chcę zobaczyć coś mrozącego krew w żyłach, to muszę iść albo do kina, albo na catch, albo na zebranie którejś organizacji kombatanckiej. W filmie *The Third Man* Orson Welles powiada, tłumacząc się ze swych zbrodni: „Czas Borgiów czy też ich rządy trwały trzydzieści lat. W tym czasie powstała taka ilość dzieł sztuki, że trudno jest to nawet skatalogować. Szwajcarzy mają za sobą pięćset lat pokoju, demokracji i wolności. I co udało im się wyprodukować? Zegar z kukułką. Good-bye.” Być może za lat dwieście ktoś wrzuci się przyjemnie pomyślawszy o dziejach Stalina; dzisiaj jednak nikt nie ma na to ani ochoty, ani siły. I nie ma zresztą potrzeby, aby zawsze od ludzi wymagać wiary w ohydę, zbrodnię i występki.

Czasami zdarzają się curiosa. W wybitnym filmie Polańskiego *Nóż w wodzie* widzimy faceta, który jedzie na week-end swoim samochodem, ma przy tym swój własny yacht, ładną żonę; widać, że jest ładowany, jest przy tym młody, przystojny i inteligentny. W Polsce wszystko już wiemy o takim facecie: kogóż stać na yacht, samochód, wycieczkę; nie mówiąc już o tym, że ładna żona też stanowi problem, kiedy człowiek się goli i ma zamydłone oczy i kiedy w mieszkaniu siedzi kolega z wojska, który chce nam ją poderwać właśnie wtedy, kiedy my słabo widzimy, co się dzieje. Jest to w każdym bądź razie określona postać dramatu: cwaniak, zimny, yachtu i samochodu nie przysłali mu kuzyni ze Stanów, ale doszedł do tego drogą własnych kombinacji, o których myśląc widz polski doznaje uczuć zazdrości i pogardy w stosunku do samego siebie. Ten sam film oglądany przez widza niemieckiego był odbierany w sposób zupełnie inny: młody, dobrze wyglądający dziennikarz, posiadający

samochód i yacht nie jest przedmiotem nienawiści, lecz uznania: widocznie wykombinował to wszystko własną głową, własnymi zdolnościami; widocznie zawdzięcza to własnej inteligencji i wyobraźni.

Uczucia niechęci budzi natomiast chłopiec stojący na drodze, jest to niszczyciel nie posiadający ani programu własnego buntu, ani powodów ku temu, aby niszczyć człowieka, który zabiera go z drogi, daje mu jeść i stwarza mu propozycję przyjemnego spędzenia czasu, czym jest niewątpliwie pobyt na yachcie. Świetność tego filmu polega na tym, iż jest to właściwie obraz rykowiska: dwaj samce naporzają się przez cały czas, podczas gdy łania spokojnie skubie trawkę. Nie umiem zacytować tego po polsku, gdyż widziałem ten film w niemieckiej wersji. Żona bohatera mówi w pewnym momencie do młodego buntownika, myśląc o swoim mężu: „On był taki, jakim ty jesteś, a ty będziesz takim, jakim on jest.” I rzeczywiście: ten piękny dwudziestoletni też dojdzie kiedyś do swojego samochodu do własnej motorówki i łódki, i do telewizora, i być może do kamery wąskotaśmowej.

Jest to ostatnia i żalсна próba buntu; ponieważ nie możemy żyć jak ludzie wolni, starajmy się naśladować ich formy życia.

Innym zabawnym filmem - nie tej klasy co film Polańskiego - był radziecki film Lecą żurawie. W pewnym momencie jeden z bohaterów tego filmu, grający na fortepianie w czasie jakiejś prywatnej libacji, z trzaskiem zamyka wieko, mówiąc: „Gdyby nie ta cholerna wojna, siedział bym teraz w sali konserwatorium i grał Czajkowskiego”. Oczywiście, że każdy normalny człowiek woli grać Czajkowskiego niż latać z karabinem po polu, gdzie w dodatku można zostać skaleczonym z broni palnej. Ale inaczej rzecz się dzieje, kiedy wojnę się prowadzi z rozkazu Ojca Narodów. Sytuacja, w której nieudolny reżyser tego filmu usiłował skompromitować swego bohatera, oglądana przez ludzi Zachodu, zyskuje mu sympatię i współczucie. Oba przeze mnie wspomniane filmy i reakcje publiczności stanowią przedmiot eseju dla Hostowca; cóż jednak z tego? Hostowiec kocha tylko Annę Magnani i chodzi tylko na jej filmy, siedząc z zamkniętymi oczami w czasie tych wszystkich scen, kiedy Magnani nie jest w kadrze; zupełnie tak jak na filmach z Orsonem Wellesem.

Tak więc w roku pięćdziesiątym siódmym moje sprawy zostały załatwione; zatrzymano mi dwie książki i zmarnowano mi dwa filmy. Skończyła się również sprawa Po prostu; ja sam stałem się przedmiotem drwin i denuncjacji nie zawsze dobrze napisanych. Szkoda mi mimo wszystko Po prostu; kiedy dzisiaj czytam te pozółkłe numery, zastanawiam się nad jedną rzeczą; styl reportażów, artykułów i rozpraw staje się z biegiem roku pięćdziesiątego siódmego coraz gorszy. Po prostu w swoim czasie miało dobrze postawiony dział reportażu terenowego. Czytając to dzisiaj, odnoszę wrażenie, że czytający oczekiwali

końca z godziny na godzinę. Po prostu czytane dzisiaj stanowi kronikę i to dość przerażającą. O |Po prostu napisał w swej książce Witold Jedlicki. Pisał on również o tragedii wynikającej z faktu zamknięcia Klubu Krzywego Koła. Byłem tam i ja parę razy, jednak na te tematy, o których chciałbym rozmawiać z ludźmi, mógłbym rozmawiać najchętniej w cztery oczy, i to tylko wtedy, kiedy miałbym pewność, że to ja pierwszy przed swym interlokutorem dobiegnę do komisariatu i powiem, o czym mówiliśmy ze sobą. Nie należy zapomnieć, że wierzy się zazwyczaj pierwszemu. Ale Po prostu i Klub Krzywego Koła są już legendą.

W ostatnich miesiącach mojego pobytu w Polsce zacząłem pracować w piśmie Europa; pismo to nie ukazało się nigdy. Zapowiadało się dobrze, naczelnym był Jerzy Andrzejewski i Jerzy był wtedy w świetnej formie. Innymi kolegami redakcyjnymi byli: Julek Żuławski, Zygmunt Mycielski, Janusz Minkiewicz, Henryk Krzeczowski; a ja tam byłem facetem od filmu. Zrobiliśmy pierwszy numer; numer był chyba dobry; ale w KC wyjaśniono nam, że partia nie widzi potrzeby wydawania na obecnym etapie pisma tego rodzaju jak Europa.

Pamiętam, jak siedzieliśmy wszyscy pijąc kawę; nastrój był kiepski, wreszcie niezawodny kolega Krzeczowski wstał nagle i powiedział:

- Panowie, nie dajmy się zwariować.

To zdanie wypowiedziane przez Henryka stało się hasłem mego życia i chyba już nim pozostanie. Pod koniec roku pięćdziesiątego siódmego wszystkie kanale znów podniosły głowę; znów zaczęto pisać o socrealizmie; rozegnano więc studentów domagających się następnych numerów Po prostu; słowa Gomułki o racji stanu użyte zostały przez cenzorów, i tak skończyła się moja kariera pracownika pisma Europa. I tak skończył się ten rok euforii.

Zbiegło się to z rocznicą Wielkiej Rewolucji Październikowej. Pamiętam, jak Janek Rojewski powiedział: „No cóż, czterdzieści lat minęło jak z knuta trzasnął.”

Ja sam dorabiałem jeszcze trochę w filmie; moje wspomnienia dotyczące pracy w filmie nie są najlepsze. Zaczęło się to w roku pięćdziesiątym czwartym; pojechałem wtedy do Łodzi, gdzie Studenci Wyższej Szkoły Filmowej robili film pod tytułem Koniec nocy; a ja byłem tam za jednego ze scenarzystów; a było nas wielu. Poznałem wtedy człowieka-szatana: potrafił on lewym profilem twarzy zagrać faceta przygadującego dziewczynę - dziewczyną był prawy profil jego twarzy. Potrafił - jak powiadają - zagrać ni mniej ni więcej, ale po prostu klamkę. W filmie Koniec nocy grał małą epizodyczną rolę; nie będąc sam aktorem, ale tylko studentem wydziału reżyserii - kładł jak chciał wszystkich studentów Szkoły Aktorskiej, którzy grali w tym filmie. Nie grał: po prostu był. Kiedy wchodził w „kadr”, wiedziało się, iż coś się zaczyna. Był to chłopiec szczupły i nerwowy; kiedyś w czasie rozmowy ze mną

chwycił ze stołu butelkę i rzucił ją we mnie. Na moje pytanie - dlaczego to zrobił? - odpowiedział mi, że po prostu chciał zbadać mój refleks. Do dziś nie wiem, po co mu było to potrzebne. On sam nie udzielił mi na ten temat żadnych wyjaśnień, gdyż w międzyczasie „zapuścił sępie spojrzenie swoich źrenic,” jak to genialnie formułuje Żeromski, w duszę nowej ofiary. Spotkałem go po latach, było to w Monachium. Zagrał mi wtedy dla zabawy chińskiego detektywa, który ma nakryć inflagranti jakąś parę, wchodzi na drzewo i obserwując przez lornetkę tak zwany huragan zmysłów, ulega pokusie, za którą Bóg tak dotkliwie skarcił Onana; spada z drzewa i łamie nogę. Chińskim detektywem był Roman Polański.

Pierwszy jego film nie wydawał mi się odkrywczy; ja sam wciąż jeszcze wierzyłem, że tylko tragizm może przekazać doświadczenie; Polański zaczął od czegoś, co wtedy wydawało mi się groteską, a co dzisiaj nazwę znów z maniackim uporem: prawdziwym zmyśleniem. Ci dwaj ludzie idący z szafą przez miasto; przychodzący znikąd i odchodzący do nikąd nie wydawali mi się wtedy postaciami prawdziwymi. Dziś wiem, że każdy człowiek taszczy przez jakieś miasto swoją szafę, o której wartości wie tylko on jeden. Na pierwszy długi metraż Polańskiego *Nóż w wodzie* poszedłem z jak największymi uprzedzeniami; jednak gdyby mnie spytano, który z polskich filmów uważam za najwybitniejszy, powiedziałbym, że właśnie ten. Po raz pierwszy uwierzyłem wtedy, że Polacy mają również aktorów filmowych.

Szkoła, z której wyszedł Polański, była najzabawniejszą uczelnią w Polsce; ci wszyscy chłopcy mieli własny styl, mieli dobre myślenie, mieli dobry gust i byli ocytani. Kiedy myślę o ich niemieckich czy francuskich rówieśnikach, chce mi się śmiać. Nie bardzo wiem, co oznacza pojęcie „nowa fala”; ale kiedy myślę o tych wszystkich chłopcach w welwetowych spodniach i o zmęczonych twarzach - o tych wszystkich których poznałem wtedy w Łodzi - ogarnia mnie gniew, iż takie miernoty jak Goddard mogą kręcić swoje filmy o problemach erotycznych, które dawno każdy szesnastoletni onanista ma dawno poza sobą. A tamci wszyscy nie nakręcili ani jednego wybitnego filmu.

Z osłupieniem obejrzałem film Wajdy *Popiół i diament*. Czegóż tam nie ma: sowieckie czołgi, byli żołnierze wojny hiszpańskiej; Zyskindówna śpiewa „Rozszumiały się wierzby płaczące”, tańczą poloneza, wnoszą gramofony; Cybulski bawi się bez z przerwę pistoletem i zabija swą ofiarę, która pada w tym momencie, kiedy w niebo wzbijają się ręce na cześć zwycięstwa, dobrzy komuniści, źli komuniści, przesłuchanie na UB i jeszcze do cholery kaplic z trupami, przydrożnych krzyży i upiornych dywersantów. Wajda nie zrozumiał, że jak każda wybitna książka, *Popiół i diament* jest książką, jakich było już wiele.

Problem Cybulskiego jest problemem prawdziwym, ale jest to problem Jesse Jamesa: strzelać czy nie strzelać. Przypuszczam, że gdyby ten film robił Polański, to byłoby tam po prostu łóżko z Cybulskim i dziewczyną; i świętując, pijane miasto poza oknem, i wtedy byłby to prawdziwy Popiół i diament. Znam tylko jeden równie głupi film: jest nim Ósmy dzień. Ale Cybulski z Popiołu i Cybulski z Ósmego dnia to zupełnie dwaj inni aktorzy; oglądając Popiół i patrząc na Cybulskiego igrającego z bronią palną, nie wierzyłem ani przez chwilę, że ten człowiek zabijał innych ludzi, i że musi jeszcze raz zabić, ale patrząc na Cyba w Ósmym dniu wierzyłem mu jak najbardziej, że to dobry i mądry chłopak, który umie naprawdę kochać i zna wartość tej sprawy; Cyb uratował ten film, tak więc, kiedy oglądałem po raz drugi Ósmy dzień, patrzyłem przede wszystkim na Cyba. I nie wchodziły tu w grę moje prywatne sprawy.

Najzabawniejszym człowiekiem w polskim filmie był Henio Szlachet; postać już dziś legendarna. To Henio pierwszy zaczął do mnie mówić „Hłaskower”; do aktora Kęstowicza zwracał się per „kochany panie Kęstower”. Kiedy wezwał mnie telefonicznie do Wrocławia, abym przyjechał popracować jeszcze nad Następnym dniem do raju, powiedział mi: „Hłaskower, ja panu mówię: to nie jest film, to jest wówczas.” Po czym następnego dnia, zbudził mnie słowami:

„To nie jest wówczas to jest film”. Kiedyś w czasie dokumentacji plenerów obserwując zachód słońca wskazał na jezioro leżące w dolinie i powiedział do mnie: „Pan mu spojrz - samowity jezior”; i w ten sposób chciał oddać w słowie żywym piękno pejzażu. Sprawą zapewniającą mu nieśmiertelność była sprawa armaty: Szlachet, będąc kierownikiem zdjęć w jakiś filmie o żołdatkach; kupił wybrakowaną armatę-rekwizyt od Wojska Polskiego; po czym rachunki pokręciły mu się w taki specyficzny sposób, że nie umiał się wyliczyć z kupna armaty; rachunkiem obciążono jego i w ten sposób Henryk Szlachet stał się posiadaczem moździerza. Myślałem o tym w Izraelu patrząc na Olka Pfaua, który kręcił jakiś film dokumentalny, zanim biegał zrozpaczony producent, krzycząc: „Panie Pfau, ja błagam pana - tylko bez sztuki”, chodziło o to, aby Pfau nie marnował taśmy na powtarzanie ujęć. W rzeczywistości „Szlachetu”, jak sam Szlachet nazywa się dla własnej przyjemności, mówi po polsku równie dobrze jak Hostowiec; ale wszyscy błagali go, aby żydłaczył; i nikt tak nie potrafił tego jak on.

Moi starsi koledzy ze Związku Literatów stale namawiali mnie, abym wyjechał na jakiś czas na Zachód, oczywiście do Paryża. Poradzono mi, abym złożył podanie o przyznanie mi stypendium. Stypendia te były przydzielane kolegiąlnie przez specjalną komisję naszego związku i ja to stypendium dostałem. Kiedy stałem się już posiadaczem paszportu i miałem umowę z wydawnictwami Julliard, Dutton Company, Kiepenheuer und Witsch, chciałem

wyjechać i poprosiłem o przyznanie mi stypendium. Okazało się, iż to stypendium - przyznane mi kolegią - zostało cofnięte. Kazano mi się zgłosić do Ministerstwa Kultury; w Ministerstwie Kultury nie potrafiono odpowiedzieć mi, nic poza tym, iż rzeczywiście stypendium mi cofnięto.

Poprosiłem o rozmowę z Ministrem Kultury; Minister Kultury przyjął mnie bardzo serdecznie i oświadczył, iż rzeczywiście stypendium mi cofnięto, ale to nie zależy od niego, ponieważ stypendium zostało przyznane mi nie przez niego osobiście, lecz przez specjalną Komisję Stypendialną przy Związku Literatów Polskich. Minister Kultury ubolewając iż nie jest w stanie mi pomóc, poradził mi jednak po przyjacielsku, abym udał się do Związku Literatów, gdzie urzęduje owa specjalna komisja. Poszedłem jeszcze raz; tam mi powiedziano, abym poszedł do Ministra Kultury, gdyż są to stypendia, którymi co prawda dysponuje Związek, jednak są one w ramach puli stypendialnej Ministerstwa Kultury - i tak dalej. Jacek Wilczek, poprzedni minister był zabawniejszy. Zawsze mówił, że nienawidzi dekorowania trumien z nieboszczykami, bo zawsze, mimo wieloletniej rutyny, ślizga się i nigdy nie jest pewien, czy nie wpięprzy się do grobu wraz z odznaczonymi zwłokami. Ale na dobro ministra Kuryluka trzeba powiedzieć, iż nawet nie bardzo udawał, że kłamie. Wszystkie legendy, iż poślizgnął się z mego powodu, nie są prawdziwe; nie wiedząc o tym, że mam już mnóstwo z różnymi wydawnictwami, cofnął mi stypendium; nie otrzymałem nawet prawa kupienia biletu za złotówki; musiałem bilet kupić za dolary.

W roku pięćdziesiątym ósmym dostałem Nagrodę Wydawców; otrzymałem je za dwie nie wydane książki, i zapewne, jako dowód zaufania na przyszłość; ale w parę dni później byłem już w Paryżu. Koledzy żegnając mnie na lotnisku nie wierzyli, iż wrócę; ja ani przez chwilę nie myślałem, że pozostanę. Nie miałem złudzeń; wiedziałem, że Polska interesuje ludzi tylko na zasadzie przedmieścia Rosji; sam nie interesuję się młodą prozą bułgarską czy rumuńską, nie mogłem przecież być aż na tyle śmieszny, aby żądać od ludzi, by nagle porzucili Camusa i Faulknera i poczęli interesować się młodą prozą polską. Ale chciałem zobaczyć, jak to wszystko wygląda; no i ponieważ moje Cmentarze i Następny do rajy zostały odrzucone, a powiedziano mi, że przysługuje mi prawo znalezienia innego wydawcy - chciałem wydać swoje opowiadania. Moim wydawcą był Jerzy Giedroyc.

Przeszedłem przez odprawę celną; srebrny ptak wzbił się w powietrze, domy jak zapalki, pola jak szachownice - wszystko to znamy. W samolocie leciałem z jakąś staruchą, która udawała się do Stanów na zaproszenie siostry; w czasie długiego lotu pustym prawie samolotem wyznała mi radośnie, że jest chora na raka i że jedzie umierać. Nie wierzyłem jej i starałem się ją pocieszyć; pokazała mi świadectwo lekarskie, w którym przeczytałem, iż



osoba taka a taka jest chora na daleko zaawansowanego raka; świadectw takich nie wydają zazwyczaj lekarze, ale siostra pasażerki, osoba prawdopodobnie nie najlepiej sytuowana, zgodziła się ją przyjąć pod tym tylko warunkiem, iż wizyta nie potrwa zbyt długo. Stara pani pokazywała mi również zdjęcia rentgenowskie, z których niewiele rozumiałem; miała oczywiście lipne zaświadczenia, które musiała przedstawić Ambasadzie Amerykańskiej, iż jest osobą o kwitującym zdrowiu, inaczej nie dostałaby wizy. Ale lecąc z szybkością sześciuset kilometrów na godzinę tym luksusowym samolotem o czterech olbrzymich silnikach, pomyślałem patrząc na jej szczęśliwą rozpromienioną twarz, o tych wszystkich starcach czołgających się do grobu i czepiających się swych nędznych przyzwyczajęń; i nie wiedziałem jeszcze wtedy, że to nie ona, ale my oboje odjeżdżamy, aby umrzeć z daleka od Polski. Ja miałem dwadzieścia cztery lata i uznany zostałem za skończonego; ona miała prawie siedemdziesiąt i jechała, aby zaczynać w kraju, o którym nie wiedziała nic poza jedną istotną dla niej rzeczą: iż jest oddzielony tysiącami kilometrów od kraju, w którym przeszła swoją drogę. Ja miałem przy sobie osiem dolarów; ona zdjęcia rentgenowskie stwierdzające, iż wykorkuje niedługo; i tak umilaliśmy sobie rozmowę - ona promieniała jak Królowa Śnieżka po siedmiu skrobankach; ja - ponury i pełen wiary, że nie wytrzymam długo bez Polski. Bo wtedy jeszcze nie wiedziałem.

Bo wtedy jeszcze nie wiedziałem, że świat dzieli się na dwie połowy, z tym jednak, że w jednej z nich jest nie do życia, w drugiej - nie do wytrzymania. Siedząc obok staruchy, wyjąłem z kieszeni numer gazety i przeczytałem na ostatniej stronie ogłoszenie następującej treści: Mam drzwi do szafy dwudrzwiowej, oszklone, oczekuję propozycji. I wtedy zrozumiałem, że w tych kilku słowach jest więcej prawdy o życiu, które pozostało poza mną, niż we wszystkim, co napisałem na kilkuset stronach swej prozy; i dopiero w tym samolocie zrozumiałem, iż kapelusz mój nabrał deszczu. Z poczuciem klęski i śmieszności wkroczyłem w nowy świat i w nowe życie i tak się kończy ta próba opowieści o pogoni za szczęściem, o której powiadają, iż jest przeważnie bezcelowa; ale dla której warto poświęcić życie.

## HOTEL „VICTORY”

Przyjechawszy do Paryża zachowywałem się jak ostatni idiota. Nie wiem dlaczego czułem się tak beznadziejnie śmieszny i samotny. Kiedy szedłem ulicą i patrzyłem na tych wszystkich ludzi siedzących w kawiarniach, śmiejących się i pijących, zdawało mi się, iż jestem najbardziej nędzną figurą. Oczywiście nie przyszło mi nawet do głowy, że powinienem pójść do jakiejś szkoły i zacząć uczyć się francuskiego już tylko choćby po to, aby móc się przekonać, że oprócz mnie żyje w Paryżu również i kilku innych idiotów; ja chodziłem do lokalu „Chez Wania”, gdzie rosyjscy taksówkarze pijąc wódkę Smirnoff i rozmawiając o swych przepadłych milionach, mówili przy każdym kieliszku: „Eto wsio czerez jewreji”. Znajomi Polacy pytali mnie bez przerwy: „Czy był pan już w Luwrze?”; w Luwrze nie byłem dzisiaj.

Po wydaniu mojej książki w Kulturze Trybuna Ludu zamieściła artykuł pod tytułem „Primabalerina Jednego Tygodnia”, nie sposób, aby przytoczyć tutaj całą denuncjację; zaczynało się od słów: „Do międzynarodowej bandy handlarzy bronią przeciw komunizmowi przyłączyło się w tym tygodniu nowe nazwisko.” Napisałem list do Trybuny Ludu wyjaśniając, iż jeśli odmówiono mi wydania książki w Polsce, to miałem święte prawo do znalezienia sobie wydawcy za granicą; powiedziałem przy tym, iż o wartości książki nie może wypowiedzieć się czytelnik, inny pisarz, krytyk, ale nie cenzor .

Poprosiłem o wydrukowanie mojego listu proponując, aby Trybuna Ludu opatrzyła ten list wysłanym komentarzem; komentarz był mi obojętny.

Oczywiście listu mego nie wydrukowano, natomiast zjawili się u mnie rozmaici dziennikarze. Najgłupszy był z pisma L'Express. Kiedy zapytali mnie, jaką rolę wyznaczyłem sobie w literaturze, odpowiedziałem, iż rolę świadka. Zapytano mnie, o jaki proces chodzi, powiedziałem, że jestem świadkiem procesu przeciw człowiekowi. Zapytano mnie, czy mam zamiar wrócić do Polski; odpowiedziałem, że oczywiście, że nie jestem aż takim idiotą, aby dobrowolnie pozbawić się przyjemności patrzenia na zbrodnie, rozpacz i te wszystkie rzeczy o których jedynie umiem pisać. W następnym numerze rozłożyło mnie fachowo: felietonista tego pisma mówiąc, iż bardzo ceni mój liryczny pesymizm, zwrócił mi uwagę, że wszystko co powiedziałem, jest brednią. Przed wojną była emigracja zarobkowa z Polski, dzisiaj nie ma.

Wtedy przypomniałem sobie o tych drzwiach do szafy dwudrzwiowej i oszklonych; pomyślałem, że nie ma po co pisać i powiedziałem o tym dziennikarzom. Zapytano mnie, jaka istnieje możliwość, abyśmy mogli się nawzajem dobrze zrozumieć, powiedziałem, że czołgi sowieckie na ulicach Paryża stworzyłyby nam wspólną płaszczyznę porozumienia i mnóstwo

czasu na dyskusję; w więzieniach co prawda pracuje się do wieczora, ale w nocy też można pogawędzić.

Było to już po referacie Chruszczowa wygłoszonym na dwudziestym zjeździe; z partii komunistycznych Francji i Włoch wystąpiło kilkunastu intelektualistów, jednak w obrachunku ostatecznym zwyciężył oczywiście Chruszczow, gdyż oświadczeniem swym i obietnicą destalinizacji przekonał ludzi, że istnieje możliwość zmian na lepsze; naturalnie w myśl zasady, że myśl jest słuszna ale wykonanie złe. Chruszczow swym referatem stworzył na nowo kredyt zaufania w stosunku do wschodniego bloku i per saldo opłaciła mu się utrata tych kilkudziesięciu rozgoryczonych. Późniejsze zajścia w Poznaniu i Budapeszcie nie obaliły tego kredytu a wręcz przeciwnie, w jakiś sposób podbudowały: nie jest tam widocznie aż tak strasznie, jeśli ludzie mają odwagę, aby upomnieć się o swoje prawa; a przecież - ludzie zbiegli spoza żelaznej kurtyny mówili nam, że jest to niemożliwe. Nawet błagania nieszczęsnego premiera Węgier, który prosił, aby nie wtrącano się do jego spraw egzekucji, gdyż jest to tylko i wyłącznie sprawa narodu węgierskiego.

Nie wzbudziły uczucia gniewu i niewiary w stosunku do Związku Radzieckiego.

O tym wszystkim mogłem myśleć i czytać, kiedy byłem już po tamtej stronie: i to były moje pierwsze wrażenia z pobytu na Zachodzie. Trafiłem na fatalny okres; Francja, przedmiot admiracji ze strony Polaków, symbol wolności i demokracji, przeżywała wtedy ciężki okres; co chwila zmieniali się premierzy rządu; Pola Elizejskie obstawione były oddziałami policji i wojska, przypominając mi Aleje Ujazdowskie z roku tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego; co chwila zatrzymywano mnie na ulicach i legitymowano; innego znów dnia strajkowali policjanci. Pamiętam, jak siedząc kiedyś na dworcu Gare St. Lazare i czekając na pierwszy poranny pociąg idący do Maisons-Laffitte, widziałem dwóch młodych policjantów znęcających się nad starym Algierczykiem; oni mieli po dwadzieścia parę lat; on musiał mieć około siedemdziesiątki. Bili go po twarzy śmiejąc się i dowcipkując; stary nie bronił się nawet, a raczej nadstawiał twarz do uderzania. O tym, iż ludzie bici nie unikają uderzeń, wiedziałem od siedzących w naszych więzieniach. „Nie trzeba rozwścieczać swego kata” - mówili. „Raczej trzeba mu dopomóc”. Na moje pytanie, czy to pomaga, odpowiadali rozmaicie; ale zgadzano się na ogół z tym, iż to nie może zaszkodzić. Wiadomo było jednak, że pomoc nie może nic; cała sztuka życia polegała na maksymalnym wyeliminowaniu rzeczy, które mogłyby pogorszyć los bitego. A skąd mógł o tym wiedzieć Jezus zalecający w czasie kazania na Górze, aby nadstawiać policzek swemu oprawcy; i czy wiedział, że słowa jego zalecające miłosierdzie staną się czymś w rodzaju niepisanego prawa w więzieniu; i czy mówił to przeczuwając własny los; czy też znał już na tyle ludzi, aby im móc poradzić coś, co

przydawać im się będzie do końca świata - o tym myślałem wtedy, włócząc się ulicami Paryża. O to, że nigdy niczego nie napiszę, byłem już zupełnie spokojny: komuniści pozbawili mnie jedynej ludzkiej cechy charakteru: nienawiści. To życie, które widziałem dookoła siebie, było mi obce; obce były mi tłumy na Polach Elizejskich; obcy był stary Algierczyk, którego masakrę widziałem; obcymi ludźmi byli dla mnie Polacy spotykani tutaj i tłumaczący mi, iż my tam, za żelazną kurtyną, zmarnowaliśmy wszystkie nasze szanse, Wszystko, co wtedy czytałem, nie sprawiało na mnie wrażenia; filmy które oglądałem w Paryżu, odbierałem zupełnie inaczej od filmów oglądanych w Warszawie; na wystawach malarzy abstrakcjonistów nudziłem się jak pies; a w Warszawie przed każdym bohomazem popadaliśmy w zamyślenie, patrząc na obrazy Buffeta myślałem o wystawie, która odbyła się w roku pięćdziesiątym piątym w Arsenale, kiedy to po raz pierwszy, zamiast traktorów i murarzy, nasi młodzi malarze poczuli malować cebulę, martwe natury, kobiety. A ja chodząc po Paryżu wciąż myślałem o tym, który ma do drzwi szafy dwudrzwiowej i oczekuje propozycji. Kiedy opowiadałem to ludziom tutaj, pękali ze śmiechu.

Miałem trochę pieniędzy i chciałem pojechać do Stanów; zgłosiłem się wobec tego do Ambasady Amerykańskiej z prośbą o wizę turystyczną. Ponieważ jednak w moim polskim paszporcie ograniczono moją swobodę ruchów li tylko w granicach: wsiech stran Jewropy, poszedłem do Polskiej Ambasady w Paryżu z prośbą, aby wpisano mi również wsie strony mira. Przywitano mnie uprzejmie i wpisano powyższe zdanie; poprosiłem przy okazji aby przedłużono mi paszport.

- My chcemy wam pomóc - rzekł urzędnik, załatwiający moje sprawy. - Amerykanie będą od was wymagać, aby wasz paszport ważny był przynajmniej na rok. Z chwilą kiedy wasza amerykańska wiza będzie gotowa, przyjdziecie do nas i paszport zostanie wam przedłużony.

- Dlaczego mi nie możecie przedłużyć paszportu od teraz? - powiedziałem.

- Mój paszport jest ważny do piętnastego października pięćdziesiątego ósmego roku. Nie zmieniać chyba pieczętek w październiku.

- Amerykanie mają swoje przepisy konsularne, i my mamy swoje.

- Czy mogę mieć pewność, że wszystko będzie załatwione?

- Ależ oczywiście. Dostaniecie wizę, my wam przedłużamy paszport i pojedziecie sobie do Stanów.

- Jaką mam pewność, że przedłużycie mi paszport?

- Ja wam na to daję słowo honoru - rzekł urzędnik; rozcałowaliśmy się i wyszedłem. Urzędnik zaprosił mnie do siebie na niedzielę, a ja tymczasem poszedłem do Amerykańskiej

Ambasady, aby wypełnić formularz, w którym musiałem napisać, iż nie zamierzam obalić przemocą rządu United State of America; stwierdzić, że nie jestem osobnikiem chorym umysłowo; homoseksualistą, podać ilość samobójstw w mojej rodzinie i tak dalej.

W niedzielę, pożarłszy dwie czy trzy puszki sardynek, poszedłem ubrany w ciemny garnitur do owego urzędnika konsulatu na kolację. Był tam jeszcze jeden osobnik, który nie powiedział mi swego nazwiska, ale z którego buźki domyśliłem się, iż nie należy on do najbliższych współpracowników Kardynała Wyszyńskiego. Zaczęło się pijaństwo; pytano mnie, dlaczego zdecydowałem się wydać książkę we wrogim wydawnictwie. Powiedziałem, że każde wydawnictwo jest wrogiem pisarzowi, ponieważ skreślają nieprzyzwoite słowa i trzeba opowiadać o swoich chorobach i nieszczęściach, aby wyżebrać zaliczkę czy honorarium. Ale zaproponowałem im, aby zwrócili się ze swoim zapytaniem do wydawnictw w Polsce, a tam im podadzą motywy; ja nic bliższego na ten temat nie wiem, poza tym, iż mi odmówiono.

Straszliwe pijaństwo trwało dalej; urzędnik trzymał się dobrze; ale ubek wysiadł i trzeba go było wsadzać do samochodu. Całując mnie umówił się ze mną, że pojedziemy kiedyś do Polski i przejdziemy bory szlakiem jego partyzanckich wędrówek; nie wiem tylko, tytułował mnie przy tym „towarzyszu generale”; podczas gdy ja tłumaczyłem mu jak dziecku że jestem tylko dezenterem rezerwy. To samo zresztą mówiłem na komisjach wojskowych, kiedy pytano mnie, czy jestem zdolny do odbycia służby wojskowej.

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Bo ja jestem nerwowo.

- To nie jest powód.

- Ale ja się zacynam, kiedy jestem zdenerwowany.

- To także nie jest powód.

- A jak trzeba rzucić granatem?

- Granaty są dobre.

- Tak, ale trzeba liczyć do trzech, zanim się rzuci.

Kończyło się to zawsze awanturami, ubek odjechał krzycząc: „Towarzyszu generale, nie takimi jak oni...” i tak się jakoś wkomponowywał w mgłę Paryża; my z urzędnikiem doszliśmy do wniosku, że mały niezbędne i nie cierpiące zwłoki sprawy rodzinne do załatwienia w okolicach Palcu Pigalle.

Nigdy w życiu nie byłem przedtem w prawdziwym burdelu; naprzeciw nas wyszła stara, piękna siwa pani; zgłupiałem i pocałowałem ją w rękę; mój towarzysz zachował się o

wiele wykwintniej i pewniej siebie. Po czym rozstaliśmy się w pocałunkach.

Spotkałem innego przyjaciela z Polski; zadzwonił do mnie i prosił, abym przyjechał do niego. Przyjechałem, w milczeniu wziął mnie pod rękę i poprowadził przez swe mieszkanie; w milczeniu otworzył szafę, w której wisiały dwa kiepskie garnitury i parę kiepskich sukien jego żony. Kupionych prawdopodobnie na Żydach w okolicach St. Paul; pokazał mi również radio, telewizor i lodówkę.

- Pamiętasz, jak żyłem w Polsce - zapytał.

- Tak - powiedziałem. - Nie bój się. Nie przyjdę tu nigdy więcej i nie zadzwonię do ciebie. To chciałeś mi powiedzieć, prawda?

- Tak - powiedział. - Ale możesz myśleć o mnie co tylko chcesz.

- Zrobię dla ciebie jeszcze więcej - rzekłem. Nawet nie będę o tobie myśleć.

- To byłoby najlepsze ze wszystkiego.

Wyjechałem następnie do Nicei i zacząłem zwiedzanie Lazurowego Wybrzeża w sposób klasyczny: od złapania trypra. Nie mogłem jednak w żaden sposób porozumieć się z portierem w hotelu; kiedy wskazywałem mu dolną część swego ciała, pokiwał porozumiewawczo głową i powiedział:

- La femme?

Zacząłem machać przecząco rękami. Zobaczyłem w jego oczach błysk porozumienia.

- Attendez - powiedział i począł łączyć się telefonicznie z kimś i coś mu tłumaczyć; następnie dał mi klucz i kazał mi iść do swego pokoju.

Uspokojony poszedłem; za piętnaście minut wbiegł herkulesowej postawy Murzyn i krzyknąwszy: „Hi, body-boy” i począł się błyskawicznie rozbierać.

Chciałem mu wytłumaczyć, o co chodzi; nie zdołałem jednak; musiałem mu zapłacić trzydzieści franków za wizytę i poszedłem szukać zbawienia na własną rękę.

I wtedy zobaczyłem kopuły cerkwi i przysłała mi do głowy myśl: pójdę po popa i proszę go, aby dał mi adres lekarza. Duchowny wysłuchał mojej opowieści w milczeniu pełnym dezaprobaty i zgorszenia; zgodził się jednak pójść ze mną do lekarza i przedstawić mu przyczynę moich cierpień. Szliśmy ulicami Nicei, a pop prawil mi morały: jak to jest możliwe, aby młody człowiek nie uważał na siebie i tak dalej; każdą swą tyradę kończył słowami:

- Kak wam nie стыдно, maładoj czeławiek?

Ja szedłem ulicą ze spuszczoną głową, pop gładząc brodę prawil mi morały i tak szliśmy przez słoneczne ulice. Nagle duchowny złapał mnie za ramię i wskazał drzwi jakiejś restauracji.

- Tu poznałem kiedyś jedną dziewczynę - wyszeptał. - Krasawica. A d... miała jak dzwon.

Po wizycie u lekarza poszliśmy do rosyjskiej knajpy. Knajpiarz ten był najdziwaczniejszym bussinessmanem, jakiego spotkałem w swoim życiu. Kiedy poprosiłem go o befszytk i zapytałem, czy jest dobry, roześmiał się szyderczo.

- To gówno, nie befszytk - powiedział.

- A bliny?

- Tak samo do niczego.

- A ryba?

- Nie do jedzenia.

- Więc może tatar?

- Mięso fatalne.

Czułem się bezradny; poprosiłem jednak o befszytk. Podał mi befszytk i nalał wody do szklanki; i znów roześmiał się szyderczo.

- Woda sfalszowana - powiedział. I natychmiast wyjaśnił: - Eto wsio czerez jewreji.

W barze tym poznałem kiedyś bardzo ładną dziewczynę. Siedziałem nad szklanką whisky i zobaczyłem, iż młoda osoba rzuca mi powłóczyście spojrzenia; pełen wiary we własne siły zamówiłem następną whisky i jej zaproponowałem także, na co zgodziła się z entuzjazmem. Nie mówiła po angielsku, ale z jej pełnej czaru paplaniny wynikało, iż mam ładne oczy czy też ładne ręce; czy też że jestem bardzo miły.

- Pan jest Amerykaninem? - zapytała po pewnym czasie.

- Nie.

- Niemcem?

- Nie.

- Anglikiem?

- Nie.

- Więc?

- Polakiem - powiedziałem zwycięsko.

Na twarzy jej odbił się wyraz przerażenia i pogardy, aby się tu posłużyć sformułowaniami zaczerpniętymi z powieści Lady Hamilton, czyli najpiękniejsze oczy Londynu; nerwowym ruchem złapała torebkę leżącą między nami na barze i szybko wybiegła z lokalu. Właściciel spojrzał na mnie i skostatował ponuro: „To wszystko przez Żydów.”

Pojechałem potem do Niemiec, gdzie z kolegą Rojewskim chodziliśmy często do nocnych lokali. Osobliwością nocnych lokali w Niemczech jest dominujące zazwyczaj troi:

właściciel Polak religii żydowskiej, kurwy - córki narodu myślicieli i poetów; konsumenci - amerykańscy żołnierze. Często spotykałem się ze zdaniem, że Polacy religii żydowskiej nie powinni żyć i zarabiać pieniędzy w Niemczech; i chyba nie jest to zupełnie pozbawione sensu. Nie bardzo jednak wiem, czy można wymagać od ludzi, którzy stracili po sześć lat życia w Oświęcimiu czy Dachau, aby jechać do Izraela i tam pracować przy budowie dróg; nie wytrzymają ani dwóch godzin takiej pracy. Niemniej sprawa Polaków religii żydowskiej działających w Niemczech nie skończy się dobrze; obawiam się, że Niemcy stracą pewnego dnia cierpliwość i wtedy znów swastyka stanie się aktualna.

Jeden z moich przyjaciół powiedział mi, w jaki sposób zarabia się pieniądze w Niemczech. Handlując radiami otworzył sklep naprzeciwko Niemca, który miał identyczny interes i prowadził go dziesięć lat, płacąc podatki i dostarczając swym klientom najlepszy towar. Mój przyjaciel sprzedawał towar o piętnaście procent taniej; Niemiec po jakimś czasie zbankrutował, a mój przyjaciel zarobił forszę; jednak hurtownie odmówiły mu dalszej sprzedaży na skutek protestów innych kupców. Przyjaciel mój narobił kolosalnych długów, za długie nie idzie się do więzienia, jeśli jest się posiadaczem interesu, gdyż interes - w myśli kalkulacji naiwnych Niemców - jest zawsze podstawą do wytoczenia procesu i odzyskania pieniędzy. Ale to się tylko tak wydaje na pierwszy rzut oka; podczas gdy mój przyjaciel obracał zarobionymi pieniędzmi, robiąc tak zwane małe interesy, a jego sklepie siedział za ladą smutny osobnik, który dostawał dwadzieścia marek dziennie za to, iż siedział w tym pustym sklepie mając do zaoferowania swoim klientom jeden odkurzacz i trzy tranzystory najtańszego gatunku. Oczywiście żaden Niemiec nie użyje tu terminu Żyd, tak jak i ja świadomie nie używam tego terminu; jednak wszyscy oni z ochotą używają określenia „te przekłete polskie świnie”.

Szybko wyjechaliśmy z Jankiem Rojewskim; z Niemiec pojechaliśmy na Sycylię i tam przeżyłem okres grozy: kolega Rojewski miał zwyczaj oświadczenia się o rękę przy każdej okazji. Kiedy przyjechaliśmy do Mondello o godzinie czwartej po południu, przeczytaliśmy iż parę dni temu, o godzinie dwunastej w południe, dwie rodziny prowadziły strzelaninę trwającą przez parę godzin; kilka osób padło trupem. Chodziło o zemstę rodzinną: dwadzieścia lat temu jeden z Sycylijczyków wyjechał do Ameryki w poszukiwaniu zarobku, obiecawszy przedtem swojej narzeczonej, że sprowadzi ją do Stanów i poślubi. Nie uczynił tego, a dziewczyna pozostała z dzieckiem przy piersi; od tamtego czasu rodziny te pozostawały w stanie waśni, której koniec przypadł na czas naszego przyjazdu. Romantyczne usposobienie kolegi Rojewskiego wprowadziło mnie w stan ciągłego napięcia; nie należy przy tym zapominać, że Sycylijczycy obrażają się, kiedy nazywa się ich Włochami, i że są rozkochani w broni.



Wtedy widziałem chłopców, którzy strzelali tak jak na filmach kowbojskich: do rzuconego kamienia, który rozlatywał się w powietrzu.

Mieszkaliśmy u rybaka; koło obrazu Madonny, przed którym paliła się zawsze lampka, wisiał portret jakiegoś młodego mężczyzny w czarnej obwódce.

Myślałem, iż to któryś z członków rodziny; wszedłszy kiedyś do innego domu zobaczyłem to samo: Madonnę i wiszącego obok niej owego młodego mężczyznę.

Myślałem, że rodziny te są w jakiś sposób spokrewnione i łączy je wspólna żałoba, ale potem jadąc do Taorminy znów ujrzałem twarz tegoż młodzieńca obok Madonny. Zapytałem, kto to jest; nieodżałowanym nieboszczykiem był capitano Salvatore Giuliano, zabity dziesięć lat temu przez własnego kuzyna, którego Sycylijczycy nazywali assistento. Kariera assistenta nie trwała długo i wzlot jego był równie błyskotliwy jak i upadek: został otruty w więzieniu przez ludzi wiernych „kapitanowi”. Do więzienia zamknęła go policja, na której rozkaz zabił swego kapitana, chodziło o to, aby uchronić go od zemsty.

W kilka lat później znów byłem na Sycylii i zaprzyjaźniłem się z wieloma ludźmi deportowanymi ze Stanów. O jednym z nich opowiadano mi, że był przez długie lata zawodowym mordercą do wynajęcia. Udało mi się nawiązać znajomość z tym panem i zapytałem go, jak wygląda sprawa honorarium za wykonywane przez niego prace. Zamyślił się, po czym odpowiedział: „Nie dostałem nigdy więcej jak trzy wielkie za zwykły łeb.” Opowiadał mi o swoich przygodach; nagle spojrzawszy na zegarek powiedział, iż musi już iść. Wstałem, aby uścisnąć mu prawicę, a wtedy koszula moja rozchyliła się i mój rozmówca zobaczył medalik, który dostałem od mych amerykańskich przyjaciół z Chicago: była to Madonna z napisem: Our Lady merci pray for me. Rozmówca mój ucałował medalik i odszedł.

Nasz pobyt na Sycylii skończył się; postanowiliśmy pojechać do Rzymu, gdzie w Polskiej Ambasadzie chciałem w myśl danego mi przyrzeczenia przedłużyć paszport. Zatrzymaliśmy się w hotelu i poszliśmy do Ambasady.

- Musimy zapytać Warszawy - powiedziano mi.

- Przecież w Paryżu dano mi słowo honoru, że przedłużycie mi paszport, kiedy będzie trzeba.

- Poczekaście dwa dni.

Po dwóch dniach zgłosiłem się do Ambasady; powiedziano mi, abym czekał.

- Nie mogę czekać - powiedziałem. - Moja włoska wiza kończy się za dwa dni. Muszę opuścić Włochy. Mam tylko wizę niemiecką i nie dostanę już żadnej innej, gdyż ważność paszportu kończy się za kilka dni.

- Jedźcie do Berlina; człowiek rozmawiający tam ze mną powiedział mi, abym natychmiast wracał do Warszawy.

- Dlaczego? - zapytałem. - Wyjechałem na Zachód za własne pieniądze, nie spełniam żadnej oficjalnej misji, nie otrzymałem żadnego stypendium .

- Wracajcie do Warszawy.

- Przez całe życie uczyliście mnie, że my, ludzie socjalizmu, jesteśmy najwolniejszymi ludźmi na świecie - powiedziałem. - Dlaczego wolno Amerykanowi wyjechać na Zachód i siedzieć tak długo, jak mu się podoba; a dlaczego nie wolno mnie. Nie żądam dla siebie niczego więcej; ale żądam absolutnie tych samych praw, jakie ma Amerykanin czy Anglik.

- Czy mam to rozumieć jako odmowę powrotu?

- Nie - powiedziałem. - Ale chcę was o coś zapytać. Jeśli polski dyplomata i towarzysz partyjny da mi słowo honoru - czy mogę mu ufać?

- Tak.

- Polski konsul w Paryżu dał mi słowo honoru, że paszport mój zostanie przedłużony. Konsul ten był członkiem partii.

- Wracacie czy nie?

- Wrócę, ale kiedy będę chciał.

- Ja wam daję dwa dni do namysłu.

Po dwóch dniach spotkaliśmy się tym razem nie w Polskiej Misji Wojskowej, lecz w kawiarni „Kempiński”. Przedtem powiedziałem do Janka Rojewskiego, który nie myślał jeszcze wtedy o pozostaniu na Zachodzie, aby poszedł ze mną i był świadkiem rozmowy. Powiedziałem mu: ty wiesz, co będą o mnie pisać, jeśli tu zostanę. Powiedz tym paru ludziom, których obaj lubimy, jak to wyglądało naprawdę; Rojewski zgodził się.

Przyszliśmy do kawiarni Kempieńskiego; ekscelecja czekał na mnie.

Przedstawiłem mu Janka.

- Potrzebujecie świadków? - zapytał.

- Tak - powiedziałem. - Co zdecydowano w Warszawie?

- Macie wracać. Posiedzicie w Warszawie te dwa tygodnie i znów wrócicie na Zachód.

- A po co mam siedzieć w Warszawie te dwa tygodnie?

- Ponieważ rozeszła się pogłoska, że macie zamiar zostać na Zachodzie.

- To nie moja wina - powiedziałem. - Ja tej pogłoski nie puściłem. To wyście o mnie napisali, że ja jestem szpiegiem. To Bogdan Czeżko pisał, że niechętnie wkracza w to szambo, jakim jest moja sprawa. To Sokorski pisał o mnie, że zdradziłem naród polski.

- Wróćcie do Warszawy, pochodzcie trochę po mieście i znów wyjedźcie.

- A skąd mogę wiedzieć, że tak będzie naprawdę - powiedziałem.

- Ja wam daję słowo honoru.

- Ja to słyszałem w Paryżu.

Wtedy Rojewski, który do tej chwili siedział milcząc, wpadł nagle w furję i zrobił się biały.

- Nie wierz ani jednemu słowu - powiedział. - Ja byłem w Rosji i znam ich. Zgnoją cię. Nie wierz w ich honor i w ich obietnice. Niech ci przedłużą paszport tutaj albo nie wracaj.

Wstałem od stolika.

- Nie mówię panu do widzenia - powiedziałem. - Nie spotkamy się już nigdy.

Ale omyliłem się; być może, iż spotkamy się kiedyś. Człowiek, który ze mną rozmawiał, był jednym z naszych najlepszych w Europie specjalistów od porywania ludzi i przetrzymywania ich na Wschód; on sam parę miesięcy temu prosił o azyl polityczny, motywując swą decyzję argumentami natury moralnej. Udzielono mu azylu; i nikt nigdy nie będzie go sądził za tych wszystkich ludzi, których posłał na śmierć; nikt nigdy nie upomni się o tych, których zniszczył, i o tych, którzy spędzili lata w więzieniach. Nie zazna również głodu, ponieważ jego informacje mogą stać się cenne; resztę dorobi wywiadami prasowymi, po czym prawdopodobnie otrzyma z jakiejś fundacji jakieś stypendium, aby mógł pojechać do Ameryki i przekonać się, że Ameryka nie jest piekłem i więzieniem, a pięknym i mocnym krajem; tak jak się pomylił pułkownik Światło i pułkownik Monat. I będzie żyć spokojnie i dobrze, tak długo, jak długo nazwisko jego pojawiać się będzie w prasie; ale potem, kiedy zostanie zapomniany, przypomną sobie o nim tamci; i tak skończy się kariera ministra Tykocińskiego.

W Niemczech nie było mi łatwo, kiedy już poprosiłem o azyl i przeszedłem przez wszystkie badania. Nie umiem nic powiedzieć o Niemczech; w swoim czasie proponowano mi kilkakrotnie napisanie scenariusza: dwa razy do filmu; raz dla telewizji. Nie umiem nic powiedzieć o Niemczech; nie bałem się ich podczas wojny i nie myślałem o tym już nigdy po wojnie; ale przelęknęłam się ich naprawdę wtedy, kiedy żyłem tam przez jakiś czas i kiedy zobaczyłem, jak oni żyją: spokojnie, przytulnie, cicho. Pamiętam, jak taksówkarz niemiecki oświadczył mi kiedyś: „Amerykanie nas zdradzili. W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym mieliśmy jeszcze dużą ilość dywizjonów zdolnych do boju; gdybyśmy razem poszli na Rosję, nie byłoby dziś tego wszystkiego.” Opuściłem Niemcy, gdyż zbyt mi to przypominało Polskę; i tam również nikt nic nie wiedział; inni moi rozmówcy - zażywni panowie pod pięćdziesiątkę jeżdżący mercedesami 300 SL - mieli podczas wojny po lat dziesięć i także nic im nie było wiadomo na temat figlów, których dopuścili się chłopcy z SS. Kazano im zabijać,

zabijali; kazali im żyć spokojnie, żyją spokojnie. Pamiętam, jak kiedyś któryś z pisarzy niemieckich powiedział do mnie: „Uciekaj pan stąd. Pan nigdy nic o Niemczech i Niemcach nie napisze; tak jak i ja nie napiszę niczego. Niemcy są tematem dla ślusarza; ale nie dla człowieka piszącego.”

Mieszkałem przez pewien czas w Monachium; tam poznałem dyrektora Jana Nowaka z Radia „Wolna Europa”; dyrektor Nowak pokazał mi okólnik wydany dla wewnętrznego użytku organizacji partyjnych; Leon Kruczkowski powiedział o mnie tymi oto słowami: „Jak widzimy, towarzysze, niedługa jest droga od pierwszego kroku w chmurach... do ostatniego kroku w bagno imperialistycznego wywiadu.” (Powyższy cytat został wyjęty z protokołu XII Plenum KC (15-18 X 58Ď). Egzemplarz nosi datę listopad 1958 i zaopatrzony jest w notatkę: „Wyłącznie do użytku partyjnych.”) Wtedy pojechałem do Berlina, zgłosiwszy się do Polskiej Misji Wojskowej, i poprosiłem o prawo powrotu do kraju. Człowiek rozmawiający ze mną kazał mi napisać podanie, uprzedzając mnie jednocześnie, że grozi mnie odpowiedzialność sądowa.

Napisałem i wyszedłem.

Powiedziałem sobie: Polska to nie jest Putrament i Kruczkowski, i ci wszyscy inni. Polska to ci wszyscy ludzie, którzy mnie czytali i którzy we mnie wierzyli. Więc wrócę tam i stanę przed sądem jako szpieg; trzeba mi tylko będzie udowodnić, że posiadałem materiały szpiegowskie, gdyż nie można być szpiegiem przychodzącym z niczym. Powiedziałem sobie: mieliście odwagę pluć na mnie, mieliście odwagę nazwać mnie szpiegiem; zniszczyliście mi najlepszy kraj do pisania na świecie; moja rodzina wstydzi się za mnie; więc weźcie mnie teraz i ukarście. Jestem wariatem i nie przyznam się do niczego, choćby badano mnie nawet w najbardziej okrutny sposób; mieliście odwagę oskarżyć mnie, miejcie odwagę mnie skazać. Wiedziałem oczywiście, że nikt nie wierzy w to, że pracuję dla wrogich Polsce wywiadów; ale jeśli wśród moich czytelników znalazł się choć jeden, który w to wierzył - ta książka napisana jest dla niego.

Ale nie dostałem wizy powrotnej; wyjechałem do Izraela i tam postanowiłem czekać na odpowiedź, gdyż Warszawa znów musiała zdecydować. Chodziłem do Polskiego Konsulatu przy ulicy Allenby, gdzie mi wciąż powtarzano, iż odpowiedź jeszcze nie nadeszła. Widziałem wtedy wielu ludzi religii żydowskiej, którzy chcieli wrócić z powrotem do Polski, ale nie wpuszczono ich. Komuniści przyznający sobie prawo do omyłek odmawiali tegoż samego prawa ludziom, którzy przyjechali do Izraela tylko po to, aby przekonać się, że nie mają nic wspólnego z żydostwem, z żydowskimi obyczajami i państwem Izrael. Ludzie ci wyjechali z Polski w okresie, kiedy fala antysemityzmu przeszła przez kraj; Izrael był

jedynym miejscem, w którym mogli schronić się przed Polakami. Ludzie ci, przeważnie już starsi, nie mogli znieść ani klimatu Izraela, ani ciężkiej pracy, ani niechęci ze strony Izraelczyków urodzonych w Izraelu; tak więc postanowili powrócić, ale commies nie wpuścili ich; w ten sposób poczęli nienawidzić Polski i wszystkiego co polskie; i w ten sposób Polaków religii żydowskiej ponizono raz jeszcze i raz jeszcze zhańbiono Polskę; krąg nienawiści zamknął się, tym razem za sprawą commies, na zawsze.

Ja sam pracowałem wtedy jako robotnik budowlany; pewnego dnia w Konsulacie Polskim powiedziano mi, iż będzie ze mną rozmawiał minister Bida. Byłem ciekaw, wielu ludzi twierdziło, iż Bida jest prototypem Szczęsnego - bohatera książki Igora Newerly Pamiątka z Celoulozy. Szczęsny, którego pamiętam, był wojownikiem; zabił na własną rękę człowieka z „Defy”; był postacią prawdziwą - ten starzec siedzący naprzeciw mnie i oglądający uważnie mój paszport był biurokratą nie silącym się nawet zbyt, aby udawać, iż mówi prawdę. Zapytał mnie, dlaczego pracuję na budowie; powiedziałem mu, że jestem pusty. On z kolei powiedział, że praca robotnika budowlanego nie jest wskazana dla pisarza polskiego. Zapytałem go, dlaczego; ale nie otrzymałem odpowiedzi. Powiedział mi, że istnieje dla mnie jedyna szansa powrotu: trzeba, abym powrócił z powrotem do Berlina i zwoławszy konferencję prasową oświadczył, że nigdzie nie żyje się tak dobrze jak w Polsce.

- Panu chodzi o to, abym odszczekał wszystko, co powiedziałem, prawda? - zapytałem. - Abym ośmieszył tych ludzi, którzy dali mi azyl i którzy chcieli mi pomóc. O ile dobrze zrozumiałem, o to panu chodzi.

Bida spojrzał na mnie.

- Pomyślcie przez chwilę, czyje sputniki latają wyżej - powiedział. - Pan pojedzie do Berlina i w tym samym mieście, w którym pan poprosił o azyl, powie im pan, iż pan się pomylił.

- O tym chcę powiedzieć sędziom w Polsce.

- Jeśli pan będzie miał okazję.

Oddał mi paszport i wyszedłem. Pomyślałem sobie, że nie jest z nimi aż tak dobrze, jeśli nie mają odwagi wsadzić mnie w Polskę i bić tak długo, aż im wyśpiewam wszystko. Ale nie miałem nic do wyśpiewania; chodziłem jeszcze przez długi czas do konsulatu i stale odpowiadano mi, że odpowiedź nie nadeszła. Chciałem zabawić się w ułana, ale nawet i to nie wyszło.

Pracowałem przez jakiś czas dla pisma Maariv, zostałem zaproszony przez to pismo na miesiąc pobytu w Izraelu, z tym, iż będę pisał co tydzień felietony i że zostaną mi zwrócone koszty podróży. Natychmiast po przyjeździe wręczyłem swój bilet lotniczy

Philipowi Benowi; Ben schował bilet do kieszeni i powiedział:

- Proszę jutro przyjść do redakcji, to wypłacimy panu sumę za bilet.

- Niech lepiej zostanie w redakcji - powiedziałem. - Zgłoszę się po pieniądze w przeddzień wyjazdu. Dobrze?

- Dobrze - powiedział Philip Ben.

Zacząłem swoją karierę felietonisty: pierwszy felieton napisałem o niemieckim filmie Dziewuszka Rosemarie; napisałem o tym dlatego, iż film ten, jakkolwiek artystycznie żenująco słaby, oddawał wiernie atmosferę panującą w Niemczech; a także dlatego, iż w owym czasie w Izraelu nie wyświetlano filmów niemieckich i myślałem, iż właśnie ten film, mający olbrzymie powodzenie w Niemczech i zagranicą, zainteresuje czytelnika izraelskiego. Potem napisałem jeszcze kilka felietonów; wreszcie po miesiącu przyszedłem do redakcji i powiedziałem do Bena:

- Zostanę jeszcze przez jakiś czas w Izraelu. Nie mam po co wracać do Europy. Czy mogę prosić o pieniądze?

- O jakie pieniądze?

- Na koszty podróży, które obiecał mi pan w imieniu redakcji.

- Jakiej podróży?

- Samolotem według umowy.

- Jakiej umowy?

- Naszej. Przeprowadzonej między panem a mną.

- A ma pan tę umowę?

- Nie. To była umowa ustna, obowiązująca tak samo jak pisana.

Pamiętam dobrze tę scenę, gdyż nigdy nie widziałem człowieka tak rozbawionego jak Ben, kiedy powiedziałem, iż ustne przyrzeczenie posiada również wartość prawną. Ben tarzał się ze śmiechu i ja także, przy czym obaj śmialiśmy się z mojego idiotyzmu. Wyszedszy na ulicę śmiałem się jeszcze długo; przypuszczam, iż Philip Ben także.

Poszedłem z kolei do mojego wydawcy, który wydał moją książkę w języku hebrajskim nie pytając mnie nawet nigdy o zdanie, kiedy poprosiłem go o forszę, prosił mnie, abym przyszedł za tydzień. Po tygodniu sekretarka jego oświadczyła mi, iż matka mego wydawcy jest chora; po dwóch tygodniach on sam zapadł na zdrowiu; po trzech powołano go do wojska; a po dwu miesiącach zbankrutował. Poszedłem do adwokata, adwokat powiedział mi, abym dał sobie spokój.

Był to ciężki czas; rzuciłem pracę na budowie, ponieważ liczyłem się z możliwością wrócenia do kraju, a mój bohater pozytywny poradził mi, abym nie pracował na budowie, do

dziś nie wiem jednak, dlaczego praca robotnika budowlanego jest sprawą hańbiącą dla człowieka piszącego po polsku. Była to zresztą świetna praca; pracujący tam ludzie należeli do grupy Izaaka Sterna i w czasie przerwy obiadowej wciąż opowiadano sobie o zamachach bombowych, terrorze i o śmierci Sterna, którego tak głupio opisał Wańkiewicz. Wszyscy ci ludzie stali się po roku czterdziestym ósmym ludźmi niepotrzebnymi, była to analogiczna sytuacja jak u nas w Polsce z ludźmi Armii Krajowej.

Terrorysty zrobili swoje; terrorysty walczyli najdzielniej ze wszystkich, po czym poszli w odstawkę.

Straciłem pracę na budowie: druh mój i przyjaciel młodości, Janek Rojewski, otrzymawszy posadę architekta wyeliminował mnie z kręgu swych znajomych; i tak zaczął się dla mnie czas głodu. Po dziesięciu dniach niejedzenia zacząłem mieć halucynacje; pamiętam, że poszedłem kiedyś wieczorem na plażę i zobaczyłem jakąś starą damę, która weszła do wody pozostawiając lornetkę; chwyciłem lornetkę i poszedłem do portiera hotelu, w którym kiedyś mieszkałem.

- Słuchaj - powiedziałem. - Ja pociągnę jeszcze parę dni. Daj mi pokój.

Chcę po prostu umrzeć w łóżku. Lornetka i buty twoje.

Miałem wtedy świetne buty, które kupiłem sobie w firmie „Budapest” w Berlinie, portier otaksował mnie fachowo spojrzeniem i powiedział:

- Dobrze. Właściciel hotelu jest w Ameryce. Buty i lornetka od razu.

Dostaniesz jedynekę.

„Jedynką” był pokój przy sraczu; kiedyś była to łazienka z sedesem, ale właściciel hotelu uznał, iż można zrobić z tego jeszcze jeden pokój; sracz przedzielono ścianką z tektury i tam poszedłem, aby wykorkować. Byłem tak zupełnie pewien swojej śmierci, że oddałem mu buty i lornetkę, po czym położyłem się w spodniach w łóżku, gdyż nie miałem już siły, aby się rozebrać. Nie czułem ani niepokoju, ani rozpacz, ani niczego z tych rzeczy, o których czytamy; po prostu wiedziałem, że umrę. Portier przyniósł mi dzban wody; budząc się od czasu do czasu piłem wodę, po czym natychmiast zasypiałem. Miałem halucynacje, ale to były zawsze wizje pogodne i miłe; Dostojewski pisząc o snach swoich bohaterów mówi, że ludzie chorzy miewają sny bardzo wyraziste i dręczące. Ale ja nie byłem chory; byłem zdrow jak byk i umierałem z głodu mając lat dwadzieścia pięć, metr osiemdziesiąt trzy wzrostu i osiemdziesiąt kilo wagi. Od czasu do czasu wchodził portier i w milczeniu podchodził do mego łóżka podnosząc mi powiekę; po czym wychodził.

Nie zapomnę jego ręki unoszącej fachowym ruchem moją powiekę; po czym rozmowa toczyła się dalej i nie pada nawet słowo na temat martwego człowieka.

Któregoś dnia obudził mnie portier; dał mi filiżankę piekielnie gorącej kawy i bułkę z szynką; znów zasnąłem, ale po godzinie znów obudził mnie wlewając mi kawę do ust i mówiąc coś długo, czego zupełnie nie rozumiałem.

Wreszcie powiedział mi: szuka mnie konsul amerykański; mam tam pójść podjąć jakieś należne mi pieniądze. Przyniósł mi gorący obiad i musiał mnie przy tym karmić.

- Dobra - powiedziałem. - Trzeba to iść podjąć. Dawaj buty.

- Jakie buty?

- No, moje buty.

- Przecież ty mi te buty dałeś.

- Ale powiedziałem, że wykorkuję. A nie wykorkowałem.

- To mnie nic nie obchodzi - powiedział. - Już widziałem wielu takich.

Byłem pewien, że wykorkujesz. Buty sprzedałem.

- Przecież nie mogę iść do Ambasady Amerykańskiej na bosaka.

- Nie mogłem o tym wiedzieć. Powiedziałeś, że jesteś na wykończeniu.

Zrobiłem ci przysługę.

- Ale ja żyję.

- To twoja sprawa. Kiedy tu przyszedłeś, myślałem, że za trzy dni będzie po wszystkim. I całe szczęście, że właściciel wyjechał do Stanów. Inaczej musiałbym położyć cię na plaży.

Wreszcie portier poszedł i pożyczył buty od jakiegoś misjonarza; buty duchownego uwierały mnie, ale jakoś dowlekliśmy się do Konsulatu Amerykańskiego; dostałem czek i musiałem iść kupić buty; sprzedawcą był znajomy mojego portiera z hotelu. Siedząc w sklepie i przymierzając buty, zobaczyłem jakiegoś nieznanego mi człowieka, który siedział naprzeciw i przedrzeźniał mnie; miał zapadniętą twarz, dzikie oczy i dwutygodniowy zarost. Kiedy ja wkładałem but na prawą nogę, on robił to samo, kiedy ja wstawałem, aby spróbować, czy but jest dobry, on czynił to samo.

- Misza - powiedziałem do mojego portiera. - Powiedz temu facetowi, aby się odpieprzył. Ty przecież wiesz, ja nie znam hebrajskiego.

Popatrzyli na mnie; i ten naprzeciw mnie też patrzył na mnie; i milczeliśmy tak przez chwilę wszyscy czworo. Ale było nas tylko troje: to jest sytuacja ze złego opowiadania, jest tylko próbą wyjaśnienia, którą winien jestem niektórym ludziom.

Przez jakiś czas mieszkaliśmy wspólnie z kolegą Dyziem T., młodym naukowcem, wyróżniającym się pijaństwem. Zdawałoby się, iż Ziemia Święta, miejsce pobytu Jezusa



Chrystusa, Barabasa i Dawida, nie jest miejscem, w którym można byłoby człowieka czymś zadziwić; Dyziowi to się udało.

Pamiętam, jak szliśmy kiedyś przez ulicę Ben-Jehuda; było może czterdzieści stopni, a Dyzio zgłosił projekt skonsumowania butelki koniaku. Weszliśmy do knajpy; tam było jeszcze bardziej duszno i pot lał się z nas po wypiciu każdego kieliszka. Kiedy skończyliśmy butelkę, Dyzio powiedział:

- Właściwie to wcale nie miałem ochoty na wódkę.
- No to po co wypiliśmy tę butelkę? - zapytałem.
- A tak, przez rozum - rzekł Dyzio.

Miałem w owym czasie fatalną historię; wszedłszy kiedyś do baru przy ulicy Yaarkon poprosiłem o kieliszek koniaku. Dosiadła się do mnie jakaś dziewczyna i poprosiła mnie, abym postawił jej także. Powiedziałem, że jestem pusty i uprzedziłem barmana, że płacę tylko za siebie. Po czym poprosiłem o drugi i trzeci kieliszek; młoda dama piła wraz ze mną.

Wreszcie dostałem rachunek; barman wystawił mi rachunek za sześć kolejek.

- Nic z tego nie będzie - powiedziałem. - Uprzedzałem, że płacę tylko za siebie.

Barman dał mi dobry rachunek; sięgnąłem po popielniczkę, aby strząsnąć popiół, ale rozwścieczona córka Koryntu odsunęła popielniczkę.

- Dla takich gości jak ty szkoda nawet popielniczki - powiedziała.
- To ty to powiedziałaś - rzekłem i zgasilem papierosa na jej policzku.

Zaareztowano mnie; w parę lat później przeczytałem, że mój ukochany Humphrey Bogart zachował się kiedyś w analogiczny sposób i na pytanie sędziego: „Czy był pan wtedy pijany?”, Bogart spojrzawszy na niego z najwyższym zdumieniem, powiedział: „A któż jest trzeźwy o godzinie czwartej rano?” Kiedy zwalniano mnie z więzienia, Maariv przysłał swego fotografa, aby zrobił mi zdjęcie: jestem na nim między dwoma policjantami. Zdjęcie to przysporzyło mi wiele popularności i sympatii; po jakimś czasie, kiedy żeniłem się z Sonią, zapobiegliwi dziennikarze niemieccy zakupili to zdjęcie i przeszło ono przez szpalty wszystkich niemieckich brukowców zaopatrzone w podtytuł: „I ty myślisz, że uda ci się go poprawić?” Było to pytanie skierowane do mojej żony.

W owym czasie ciężko było dostać pracę i to w dodatku na lewo; przyjechało mnóstwo nowych imigrantów z krajów Wschodnich; byli to ludzie starsi i co trzeci z nich był lekarzem. Idąc po ulicy Tel-Awivu widziało się na każdej bramie po parę tabliczek z nazwiskiem doktorów. O fizyczną pracę ciężko było i w Tel-awivie, i w Haifie; koledzy poradzili mi, abym pojechał do Ejlatu, dodając, że nawet jeśli nie znajdę pracy, to będzie mi

się tam podobać, gdyż Ejlat jest wesołym miastem.

Wysiadłszy z samolotu trudno było mi stwierdzić od razu czy Ejlat jest miastem atrakcyjnym, czy nie. Ale nie przeszedłem ani dziesięciu kroków, kiedy zatrzymał mnie jakiś młody mężczyzna.

- To ty jesteś Hłaskower? - zapytał.

- Ja.

- Znam twoje zdjęcie z gazety - powiedział. - Przyjdź dziś wieczorem do tej knajpy.

Przyszedłem; mój znajomy czekał już z innymi. O jednym z nich dowiedziałem się, że w czasie wojny czterdziestego ósmego roku, będąc dowódcą czołgu o otrzymawszy rozkaz ataku, pojechał pod jakiś arabski bank i kilkoma silnymi strzałami rozwalił kasę pancerną i pozbawił życia urzędników; po czym z forszą w kieszeniach pojechali do ataku. Drugi był niegdyś cenionym kontrabandzistą; w czasie sprzeczki zastrzelił na ulicy w Jerozolimie dwóch Arabów twierdząc, iż ci go sprowokowali. Obaj znaleźli się w Izraelu zdezerterowawszy poprzednio z armii radzieckiej i dokonawszy na terenie Niemiec szeregu napadów rabunkowych i morderstw. Do stolika przysiadł się nowy towarzysz i mieszkaniec wesołego miasta Ejlat; będąc oficerem NKWD zamordował całą rodzinę ukraińską, która wydała jego rodzinę Niemcom, po czym uciekł przez Polskę i Czechosłowację do Niemiec. Ale najstraszliwszy był jeszcze jeden, który dosiadł się najpóźniej i który nic nie mówił o sobie, a którego historię przeczytałem w gazecie; urodzony w Polsce wyemigrował do Izraela. Po jakimś czasie dowiedział się, że Niemiec, który własnoręcznie wymordował jego rodzinę, jest obecnie w Legii Cudzoziemskiej; uciekł bez paszportu z Izraela do Francji; wstąpił do Legii i w czasie walk w Indochinach zabił mordercę swej rodziny; następnie zdezerterował z Legii Cudzoziemskiej i wrócił jako lewy pasażer statkiem do Izraela. Czekają go trzy sprawy: nielegalne przekroczenie granicy izraelskiej i służba w obcej armii; za to miano go sądzić w Izraelu.

Natomiast deportacji jego domagała się również Francja; dezercja z Legii i wyrównanie rachunków z SS-manem. Wypiliśmy po parę kieliszków i znów przysiadł się nowy towarzysz: będąc dzieckiem bogatych rodziców wpadł na pomysł, aby obrabować bank; złapano go i zasądono na piętnaście lat; uciekł z więzienia i poprzez Meksyk i kraje Ameryki Południowej dostał się do Izraela.

Wszyscy ci ludzie nie byli w Ejlacie dobrowolnie; zesłała ich tu policja na okres trzech czy pięciu lat. Ci wszyscy, których poznałem, wyglądali o dziesięć lat starzej, niż każdy z nich miał w rzeczywistości; szybko tracili włosy i zęby. Niektórzy z nich stawali się potwornie grubi; inni wysuszeni i o twarzach pokrytych bruzdami. Do każdego posiłku

dostawało się po dwie tabletki soli; w tym klimacie człowiek wypaca z siebie wszystko.

Pito piwo w ogromnych ilościach; nocami koniak. W owym czasie nie było jeszcze kina w Ejlacie; były natomiast kluby, w których grano w karty.

Klęską tych ludzi był brak kobiet; kobiety urodzone w Europie nie chciały tu przyjeżdżać, gdyż po dwóch latach zamieniały się w staruszki. Sambry nie miały najmniejszej ochoty wiązać się z kryminalistami.

Kiedy ja tam byłem, temperatura dochodziła do pięćdziesięciu stopni, ale powiedziano mi, że bywa gorzej. Mimo to pito w sposób straszliwy; górnicy pracują w kopalni miedzi po otrzymaniu czeku w dniu wypłaty przychodzili do knajpy i rzucając knajpiarzowi czek, mówili: „Powiedz kiedy”; jedzenie i spanie otrzymywali za darmo. Inni z nich ciułali znów pieniądze, aby z chwilą kiedy przestaną być podopiecznymi policji móc rozpocząć nowe życie; kończyło się to przeważnie w ten sposób, iż piekielnie znudzeni brakiem kobiet i rozrywek, szli do któregoś z klubów, gdzie grali w karty; po pewnym czasie nie mieli znów pieniędzy i zaczęli oszczędzać na nowo; w Ejlacie nie płaciło się podatków.

Nie znalazłem jednak pracy w Ejlacie; wracając autobusem przejeżdżałem przez Beer-Szebę i tam zostałem na okres dwóch dni u jednego z moich kolegów. Wpakowałem się w sam środek zabawy; było to akurat w tym czasie, kiedy tak zwani „czarni Żydzi” poczęli buntować się przeciw „białym”.

Sytuacja „czarnych” nie była najlepsza; byli to Safardyjczycy, ludzie, którzy zachowali arabskie zwyczaje, nie znający ani rzemiosła, ani języka.

Oczywiście, że dostawali pracę gorzej płatną od ludzi z Europy czy też urodzonych w Izraelu. Kiedy wysiadłem w Beer-Szebie, zaczęło się; rozwścieczeni „czarni” gonili mnie przez dwa dni z nożami krzycząc za mną „wus-wus”. Nie znając żydowskiego, znali tylko jedno słowo; i tak wszystkich „białych”. Żydów nazywali „wus-wus”. Zdemolowali wtedy pocztę i przecięli druty telefoniczne; wreszcie po paru dniach policja opanowała sytuację i zapanował spokój. Podobne incydenty zdarzały się również w Haifie. Zmęczony czterdziestoosiogodzinnym biegiem po ulicach miasta i stale zachęcany jest do utrzymania tempa przez tłum Safardyjczyków z nożami, zrezygnowałem z pracy w Beer-Szebie i wróciłem do Tel-Awivu.

Znów poszedłem do Polskiego Konsulatu; wizy dla mnie nie było. Ludzie z Rosji, z którymi na ten temat rozmawiałem, błagali mnie, abym tego nie robił, mówiąc: „Komuniści nie przebaczą”. Ale byłem wtedy, jak człowiek głuchy i ślepy: chciałem wrócić do Polski i stanąć przed sądem oskarżony o szpiegostwo; to był mój pomysł na spędzenie życia. Mieli odwagę nazwać mnie szpiegiem, ale nie mieli odwagi, by wziąć odpowiedzialność za własne

słowa; tak więc, kiedy myślę o nich dzisiaj, tchórzostwo wydaje się mi ich jedyną ludzką cechą.

Pracę znalazł mi mój kolega z Warszawy, Jurek. Praca była świetna: mianowicie w hucie produkującej szklaną watę. Na zewnątrz temperatura dochodziła do pięćdziesięciu stopni; wewnątrz sali stał piec hutniczy.

Nieszczęście polegało na tym, iż wirujące w powietrzu odrobiny szklanej waty przechodziły przez nasze koszule i kombinezony i wchodziły głęboko pod skórę; tak więc przysypani talkiem i pokryci bąblami, wyglądaliśmy jak statyści grający trędownych w filmie Ben-Hur. Rano chodziło się na plażę po nocnej pracy i tam się człowiek starał spalić własną skórę; to nieco pomagało, gdyż wtedy skóra przestawała piec, a zaczynała swędzieć, lub odwrotnie. Ja twierdziłem, że mnie piecze; mój majster twierdził, iż go swędzi. W fabryce też pracowałem pod obcym nazwiskiem, gdyż jako turysta nie miałem pozwolenia na pracę. Nocami, rozmawiając ze swym majstrem pochodzącym z Węgier, opowiadałem mu tajniki mego życia rodzinnego, moje kłopoty z żoną córką; i po jakimś czasie tak wzięłem się w tę rolę, że zacząłem wciąż zmyślać nowe perypetie małżeńskie - oczywiście wszystko jako Buchbinder-Press. Po jakimś czasie wszyscy zaczęli mi dawać dobre rady jak postępować z żoną i córką; ja wymyślałem nowe sytuacje i komplikacje, i tak schodziły nam noce. Kiedy wreszcie odszedłem z tej fabryki i znalazłem sobie inną pracę, nie mogłem w żaden sposób oswoić się z myślą, iż nie mam już żony i córki; i dalej mówiłem o swoich kłopotach rodzinnych. Myślę, że Jurek Press wybaczy mi to wszystko, jeśli kiedyś przeczyta powyższe, ale czy wybaczy mi to jego żona, Hania, która nie wiedziała nawet, że przez długi czas miała dwóch mężów; na to pytanie nie jestem w stanie odpowiedzieć.

Nie umiałbym nigdy napisać reportażu o Izraelu czy na ten temat czegoś sensownego, z tej prostej przyczyny, iż ludzie ci ocalili mi życie. Kiedy nie miałem co jeść, dano mi pracę w fabryce i wszyscy wiedzieli, że pracuję na lewych papierach; kiedy indziej skierowano mnie do pracy na budowie jako człowieka psychicznie chorego; w moim wypadku zachodziła konieczność terapii pracą; pracowałem więc razem z innymi schizofrenikami i alkoholikami. Pomagali mi ludzie świeżo przybyli z Polski, choć sytuacja ich nie była dobra i mieli pełne prawo nienawidzić każdego, kto pochodził z Polski. Wielu z nich przyjechało tylko po to, aby przekonać się, iż są Polakami a nie Żydami; ale commies nie pozwolili im na powrót.

Herling-Grudziński w swojej książce opisuje występ marynarza śpiewającego pieśń Razkinułoś morie sziroko; miejscem występuj jest sowiecki obóz pract, niemniej ludzie śpiewający wraz z marynarzem. Wsiewołodem doznają uczucia nostalgii i tęsknoty za krajem, od którego zostali oddzieleni; za krajem terroru, głodu i rozpacz. Podobne sceny

obserwowałem w Izraelu: osobnik przedstawiający się zazwyczaj: Kapitan Abakarow, adstawnój oficer narodnowo komisariata wnutriennych dzieł, śpiewał arię Lenskiego lirycznym tenorem; inny mieszkaniec Ejlatu siedząc w nocy na tarasie restauracji, ubrany tylko w podkoszulek śpiewał, że mnogo, mnogo, mnogo w żyzni prejdieno; na ziemi i na wodzie; no sowieckoj naszej rodziny nie zabili my nigdzie. Moi polscy koledzy śpiewali zazwyczaj pieśni z repertuaru Mieczysława Fogga; tylko ludzie przybyli z Niemiec nie śpiewali nigdy i nic. Kiedy pytałem ludzi: „Po co żeście tu przyjechali” - odpowiadają mi zawsze w sposób jednakowy: „Bo wypuszczali”.

Ich asymilacja nie była sprawą łatwą: Sabry nie bardzo lubią przybyszów ze Wschodniej Europy, wstydząc się masakry Żydów i ich bezwolności w czasie wojny. Kiedyś Konsulant Polski urządził wystawę z okazji rocznicy powstania w getcie warszawskim; przechodziłem akurat tamtędy z jedną ładną Sabrą.

- Popatrz, Esther - powiedziałem. - Tak to mniej więcej wyglądało.

Popatrzyła przez sekundę na zdjęcia rozstrzelanych dzieci i ludzi pędzonych do gazu, po czym wołała:

- Spóźnimy się. Chcę zobaczyć Monty Cliffa. w kinie naprzeciw wyświetlano akurat film: Nagle, ostatniego lata z Montgomery Cliffem i Eliszewą Taylor. Eliszewa Taylor jak wiadomo przeszła na wyznanie mojżeszowe w czasie zawierania któregoś z kolejnych małżeństw i z Elizabeth stała się Eliszewą; prasa izraelska była szczęśliwa, a ja szedłem akurat wtedy przez miejskie targowisko, gdzie sprzedawca biustonoszy demonstrował nabywcom sztuczne biustonosze o rozmiarach biustów ulubionych gwiazd filmowych, tak oto zachwalając swój towar:

- Lollobrigida jesz. Pampni jesz. Mansfield jesz. - Po czym robił efektowną pauzę i wyciągnąwszy biustonosz olbrzymiej wielkości krzyczał: - Eliszewa Taylor, szesz lira, jesz, Ejze likwidacja! ejze likwidacja!

Tak więc Esther poszła popatrzeć na Eliszewę, a jaostałem chwilę przed zdjęciami; zatrzymali się tam ludzie przybyli z Europy; młodzi, silni mężczyźni, którzy tak skromnie nazwali się sami „Sabrami”, przechodzili obojętnie. Oni sami, wychowani w pogardzie dla życia i gotowi każdej chwili zginąć za Izrael, nie byli w stanie wzruszać się obrazem bezbronnych ludzi idących bez oporu na śmierć. Ludzie przybywający z Europy nie zyskali ich sympatii, oni sami przyzwyczajeni do ciężkiej pracy fizycznej patrzyli z politowaniem na tych wszystkich, którzy usiłowali urządzić się w sklepach, biurach czy szpitalach. W zasadzie człowiek mógł zdobyć sympatię Sabry tylko jedną rzeczą: pracą. Człowiek bojący się słońca i wysiłku fizycznego nie mógł liczyć na to, iż pewnego dnia któryś z ludzi urodzonych w

Izraelu powie o nim: hewra-man.

Nie było to jednak tak łatwo z tą pracą. Pamiętam, jak kiedyś poszliśmy pracować razem z moim kolegą, młodym zdolnym dziennikarzem z Katowic. Nasza praca była prosta; wyroby progów betonowych. Brało się formę ważącą około siedemdziesięciu kilo i wlewało w nią sto dziesięć kilo betonu; po czym odkładało się ją na bok czekając, aż beton zaschnie. Zaczęliśmy pracę o piątej rano; o dziesiątej musieliśmy przerywać: kolega mój nie wytrzymał fizycznie.

Wobec tego sam zabrałem się do pracy i zacząłem ładować na samochód ciężarowy te cholerne progi; ale pracowałem z Arabami, którzy bali się jak ognia konkurencji; praca ta była tak straszna, że nie było na nią amatorów nawet wśród Saborów; niemniej Arabowie bali się każdego człowieka przystępującego do tej pracy, stanowiącej źródło ich utrzymania. Tak więc jeden z nich upuścił mi blok betonowy na rękę; i o godzinie dwunastej musiałem stamtąd odejść i pójść prosto do szpitala. W szpitalu doktor zapytał mnie, jak to się stało; powiedziałem mu, że nie mogę tego niestety powiedzieć, gdyż nie mam pozwolenia na wykonywanie pracy i mój szef może mieć przykrości. Doktor popatrzył na mnie i kiedy chciałem już odejść, kazał mi się odwrócić i w milczeniu opatrzył mi rękę.

- Teraz pan z kolei będzie w kolizji z prawem - powiedziałem.

Nie przerywając oglądania zdjęcia roentgenowskiego powiedział:

- Pan oczywiście nie jest Żydem. Inaczej nie zadawałby pan takich głupich pytań. Żydzi zawsze są w kolizji z prawem, ale to nie wynika z ich inicjatywy. Skąd pan jest?

- Z Polski - powiedziałem.

- A to zabawne - rzekł. - Wczoraj miałem pacjenta, który pracował w waszej policji politycznej i uciekł tutaj. I tutaj go pokrajali nożem tamci, których on pilnował, a którzy uciekli wcześniej. Teraz on pewnie z kolei gdzieś ucieknie, a tam już będą czekać na niego inni, którzy uciekali przed innymi. I tak bez końca.

Opatrzył mi rękę: w dwa miesiące później znowu byłem u niego: tym razem rozwaliłem sobie rękę sam, gdyż nie chciało mi się założyć ochronnych rękawic podczas szlifowania; również i tym razem pracowałem na czarno. Znowu opatrzył mi rękę i znowu powiedziałem mu, iż nie mogę mu podać miejsca pracy; i tak było ze mną ciągle źle, i wciąż mi pomagali. Pracowałem kiedyś w firmie mierniczej; miejsce to dla mnie znalazł człowiek, któremu całą rodzinę zasypali szmalcownicy. Biegałem po polach z tyczkami, a mój boss krzyczał coś do mnie poprzez pole:

- Nie słyszę - odkrzykiwałem.

Machał ręką; leciałem do niego poprzez pół kilometra.

- Ch... pana w d... - krzyczał. - Pan źle naciągnął kabel.

- Nie mówi się ch... pan, tylko ch... panu - odkrzykiwałem wesoło i znów biegłem w słońcu. Praca ta miała dodatkowe atrakcje; a mianowicie węże kłuszące człowieka po nogach. Aby uniknąć kontaktu z gadami i płazami nosiło się długie buty; przez jakiś czas pracował ze mną Anglik, który zabijał węże gołymi rękami, mówią przy tym:

- The fucking snake...

- Co on mówi? - dopytywał się mój szef.

- P... wąż - krzyczałem poprzez pole składając ręce w trąbę.

- Że co? - krzyczał mój szef.

Biegłem znów poprzez pole czując pot spływający wzdłuż mojego ciała; ale musiałem biec, ponieważ mój boss był człowiekiem ciekawym i musiał wiedzieć, o czym mówiłem z Anglikiem. Tak więc biegłem poprzez pole...

- On mówi. że p... wąż - krzyczałem, kiedy byłem już o sto metrów od swego szefa.

- Pan go powie, żeby nie zawracał głowy, tylko żeby pracował - odwrzaskiwał mój szef.

- Jemu - krzyczałem.

- Co jemu!

- Nie mówi się „pan go powie”, tylko „jemu” - wyłem trzymając ręce złożone przy ustach. I tak mijały nam dni; wieczorami mój szef miał zazwyczaj dobry humor. Pracowało się normalnie po czternaście godzin dziennie; rankiem szef budził nas o trzeciej i pracowało się do zmroku.

Któregoś dnia, kiedy wymierzaliśmy pole w okolicach Twerii, zobaczyłem mojego szefa biegnącego przez pole i wywijającego gazetą trzymaną w ręku/.

- Złapali mu! - wył. - Złapali mu!

- Komu? - zapytałem.

- Eichmanna - powiedział mój szef, Usiedli wszyscy i poczęto czytać gazetę z wiadomością o porwaniu Eichmanna, ja stanąłem z boku i zapaliłem papierosa. Mój szef spojrzał na mnie groźnie.

- Pan mnie p... nie będzie - powiedział. - Pan jesteś szajgec. Ja panu proszę się z powrotem wziąć za robotę.

Również i mojemu szefowi ludzie tej samej religii co ja wybili wszystkich; mógł mi powiedzieć, abym wyniósł się, ale nie zrobił tego. Tak więc wszystko, co piszę o Izraelu, nie może być tym, co ja sam nazywam „zmyśleniem prawdziwym; zbyt wiele tym ludziom zawdzięczam. I co także nie jest stwierdzeniem obiektywnym: zawdzięczam im to, iż w ogóle

żyć; ta sprawa może być ważna dla mnie, a nie dla innych. Ocalał mi życie ludzie wymordowani przez ludzi mojej religii; tak więc nie umiem być tu obiektywny.

Mieszkałem wtedy w hotelu „Victory”; hotel ten był urządony równie prosto jak i solidnie; wchodząc do hotelu człowiek rozbierał się w hallu i dawało się ubranie portierowi, które je zamykał; po czym w kalesonach wchodziło się ogólną salę; procedura oddania ciuchów była niestety niekonieczna, gdyż niektórzy klienci hotelu żyli przeważnie z kradzieży.

Oczywiście nie było o tym mowy, aby jeden fachowy złodziej nawalił drugiemu garderobę, ale sytuację komplikowała wkraczająca w życie młodzież ze sfer przestępczych, nie znająca jeszcze etyki obowiązującej w tym świecie. Ja pracowałem w firmie mierniczej, kiedy indziej zacząłem pracę dla pewnej spółki filmowej. Spółka, dla której pracowałem nie miała biura; siedzibą jej była kawiarnia „Noga”. Prezydentem był niejaki pan Zyskind; wiceprezydentem - pan Fiszbajn; akcjonariuszami spółki byli wszyscy kelnerzy i bywalcy kawiarni „Noga”. Kiedy nie było pieniędzy na kawę, po prostu brało się na wspólnika do przyszłego zysku kelnera i w ten sposób spółka prosperowała; ja inkasowałem swoje honorarium w alkoholu. Byłem tam aktorem, scenarzystą, doradcą prezydenta Zyskinda do spraw artystycznych i rzecz jasna również udziałowcem.

Siedziałem otepiały w kawiarni i inkasowałem swoje honorarium w alkoholu zmieniając co chwila treść scenariusza; raz był scenariusz o Eichmannie; potem przerobiło się Eichmanna na dramat Sabry wychodzącej za mąż za bardzo bogatego Amerykanina i tęskniącej za krajem; potem prezydent kazał mi to przerobić w ten sposób, żeby było dużo humoru i żeby pływali, bo wtedy dziewczęta mogą się rozbierać, a publika to lubi; przerobiło się to na dramat z życia rybaków w Ejlacie; z historii o rybakach zrobiło się następnie mrozącą krew w żyłach opowieść o szantażystach sprzedających Żydom w czasie okupacji aspirynę miast cyjanku potasu; po czterech dniach mieliśmy z tego już historię o oddziale żołnierzy izraelskich siedzących w samym środku pola minowego; potem zrobiła się z tego opowieść o dobrym Niemcu, który przyjechał do Izraela, aby odpokutować za winy swych rodziców; i już dokonawszy kilku niezbędnych poprawek przerobiło się to na historię o dziewczynie, która zaszła w ciążę i opuściwszy kibić wyszła na ulicę, aby sprzedawać swe ciało.

Bywały kwestie drażliwe, kiedy chodziło o pieniądze, a ja oczywiście nie powinienem wiedzieć za dużo; wtedy prezydent z wiceprezydentem wychodzili do sracza i zamknąwszy się na klucz dyskutowali sprawy przyszłych zarobków; omówiwszy zagadnienia wracali z powrotem na salę. W kilka lat później pojechałem do Londynu na zaproszenie jednego z



najbardziej znanych reżyserów świata, który postanowił zostać również producentem; w pewnym momencie przeprosił mnie i udał się wraz ze swym doradcą finansowym do sracza, gdzie rozmawiali równo pół godziny; również i w tym wypadku nie powinienem wiedzieć za dużo. Szkoda, że sprawa zrobienia dobrego filmu jest w zasadzie tylko sprawą przypadku, a nieprzemyślenia i wizji. Pracując w Madrycie musiałem pracować w jednym pokoju z reżyserem, jego sekretarką, jego doradcą finansowym; było tam również dwóch agentów reprezentujących interesy swych klientów - aktorów z Hollywood. Jeśli, przypuścmy, pracowało się nad jakąś sceną, którą miał grać X - natychmiast wstawał agent Y i protestował, mówiąc, że scena jest za długa i że publiczność pocznie interesować się bardziej aktorem X niż aktorem Y. Reżyser dostawał szału, był on jednak zależny od tuzina innych głupków reprezentujemy aktorów, producenta, banki i tak dalej. Nie umiem odpowiedzieć, skąd biorą się dobre filmy; i nie wiem, czy w ogóle jest ktoś, kto umie na to pytanie odpowiedzieć.

Siedząc kiedyś w spodenkach kąpielowych w hotelu „Victory” i prowadząc rozmowę towarzyską z innymi oprychami, zobaczyłem, że do hotelu wchodzi moja przyszła żona, z którą rozszedłem się w gniewie przed dwu laty. Byłem wtedy akurat po goleniu i wciąż jeszcze trzymałem w ręku maszynkę do golenia i dziurę obrzeżoną skrawkiem materiału; były to moje przybory toaletowe. Odłożyłem je na stół, aby przywitać się z ukochaną istotą; uczyniłem ku niej dwa kroki i natychmiast, zrozumiawszy swój tragiczny błąd, odwróciłem się wstecz, moja maszynka do golenia i dziura ze strzępami materiału znikły. Ktoś nawalił ten cały klops wykorzystawszy chwilową euforię mych uczuć. Została mi tylko żona, popatrzyszy na nią i będąc z usposobienia romantykiem, dokonałem pośpiesznej tylko analizy swych uczuć i skontaktowawszy, iż nie mam absolutnie nie przeciw walucie zachodniemieckiej, postanowiłem ją poślubić.

Wyjechałem z Izraela i przestałem myśleć o commies. Miałem zresztą poważniejsze zmartwienia: okupacja niemiecka, która skończyła się dla ludzi wiele lat temu, zaczęła się znowu dla mnie.